Rys. Dariusz Romanowicz

- Partner dla mieszczucha — str. 3
- Cmentarz Łyczakowski — str. 4
- Kto wydał kozaków Stalinowi? — str. 4
- Socjalizm w Izraelu — str. 2
- Ile spółek jest w „UNIONTEXIE"? — str. 6
- Morderczy urlop — str. 16

Z ekipą filmową w Katyniu i Kozielsku.

Tak blisko i tak daleko

WŁADYSŁAW KOROWAJCZYK

Jedziemy! Jeszcze nie mogę w to uwierzyć, ale monotonny stukot kół pociągu jest zaprzeczeniem moich wątpliwości. Do ostatniej chwili ten wyjazd stał pod znakiem zapytania, lecz ostatecznie doszedł do skutku.

Andrzej Wajda i Marceli Łoziński kręcą film o zbrodni ludobójstwa na polskich oficerach pomordowanych w Katyniu. Jest jedenastoosobowa ekipa filmowa, ale senatorskie obowiązki kazały pozostać twórcy „Człowieka z żelaza" w stolicy. Poza profesjonalistami jest nas dwadzieścia cztery osoby, wszyscy powiązani rodzinnie z Tymi spoczywającymi w Lesie Katyńskim.

Brześć Litewski. To pierwsze moje spotkanie z historią sprzed pół wieku.

To tu właśnie, w pierwszej dekadzie września 1939 roku, ppor. Leonard Korowajczyk — mój ojciec, wraz ze swoim 3 Dywizjonem Artylerii Przeciwlotniczej stacjonował przez krótki czas. Tutaj w Brześciu przeszłość rozjechała się z moją współczesnością. Tamten pociąg pojechał na południe ku Dołgunom i dalej, a nasz skierował się na wschód.

Orsza wita nas spochmurniałym rankiem, a Smoleńsk nasilającą się mżawką. Jesteśmy na miejscu. Podstawiony autokar odwozi nas do hotelu, gdzie rozmieszczamy się w naszych pokojach. Jest 4 lipca 1989 roku.

Krótka przerwa na doprowadzenie siebie do ładu. I już autokar podwozi nas na jakąś bocznicę dworca w Smoleńsku. Tam czeka na nas dwuwagonowy pociąg. Tak jak wtedy, przed czterdziestu dziewięciu laty, kiedy wieziono Tamtych.

Smoleńska bocznica. Czy na tych samych torach stały tamte transporty? Nie wiemy i chyba nigdy tego się nie dowiemy. Mglistość przechodzi w drobny kapuśniaczek. Jest coraz chłodniej, ale nikt nie zwraca na to uwagi. W napięciu wczuwam się w miarowy stukot naszych wagonów. Tak jak Tamci. Wszyscy jesteśmy skupieni, zatopieni w myślach. Każdy przeżywa w sobie ten kilkunastokilometrowy odcinek między Smoleńskiem, a Gniezdowem. Staram się odtworzyć co czuli Tamci. Wiem, że jest to śmieszne i nierealne, ale natrectwa są silniejsze od wszystkiego. Czy inni z naszej grupy przeżywają tak samo...

Gniezdowo. Wychodzimy na peron. Tamci też czytali ten sam napis. W ułamku chwili widzieli budynek stacyjki i już znikali w głębi autobusu z zamazanymi wapnem szybami.

Stoimy na peronie, na którym nie dane było Tamtym stanąć. Deszcz jest coraz większy. Rezygnujemy z pieszej pielgrzymki i wsiadamy do zwykłego autobusu specjalnie dla nas podstawionego.

Duża, chyba hektarowa polana. Pośrodku stoi dębowy pięciometrowy krzyż poświęcony 2 września 1988 roku przez prymasa Polski kardynała Józefa Glempa. Dwie jednobrzmiące czarne marmurowe tablice z wyrytymi napisami po polsku i rosyjsku:

„Oficerom polskim pomordowanym przez hitlerowskich faszystów w 1941 roku".

I ta trzecia zapowiadająca, że tu właśnie zostanie postawiony pomnik poświęcony polskim oficerom pomordowanym w Katyniu.

Czarne tablice łączy krata stylizowana na drut kolczasty. Zejście do tego Sanktuarium tarasowatymi stopniami. Po bokach cztery niewielkie okrawężnikowane trawniki. To one mają kryć 4143 szczątki zamordowanych tu oficerów. Deszcz leje coraz większy. Pod krzyżem w przyklęku rozmodlone postacie. Po twarzach wszystkich spływają stróżki i nie wiadomo czy łzy, czy krople deszczu.

Filmowcy szaleją ze swoimi kamerami. Chcą uchwycić wszystko. Każdy gest, każde słowo. Ale robią to cicho, prawie bezszelestnie. Wszyscy i ci z ekipy, i ci pielgrzymujący statyści porozumiewają się szeptem. Nikt nie nakazał tej ciszy. Szum deszczu jest głośniejszy od przytłumionych rozmów.

Jakiś mężczyzna z naszej grupy załamującym się głosem opowiada, że był tu wtedy, kiedy spod warstw ziemi odkrywano w 1943 roku równe szeregi oficerów w polskich mundurach z przestrzelonymi potylicami. Głos mu się łamie, przechodzi w łkanie. Po chwili opanowuje się i opowiada historię wyciągniętej z oficerskiego munduru marynarskiego fotografii.

Przy świątecznie ubranej choince młoda, ładna pani z kilkuletnią dziewczynką na kolanach. Na odwrocie podpis: *„Kochanemu Romeczkowi Lusia z Robaczkiem"*. Po latach odnalazł panią Lusię i Robaczka. Deszcz ustaje, ale twarze są mokre.

Wieczorem Msza Święta w hotelowym pokoju ks. Czesława Szymańskiego kapelana naszej filmowej pielgrzymki. Na zakończenie ks. Czesław prosi „A teraz pomódlmy się, by jutro była pogoda". Deszcz monotonnie bębni po blaszanym parapecie, spływa strugami po szybach hotelowego okna.

Środa, 5 lipca 1989 roku — dzień drugi.

Pogoda przepiękna, jakby wymodlona. Znowu autokar sprzed hotelu. Po drodze zatrzymujemy się, staramy nawiązać kontakty z tutejszymi ludźmi. Tylko bardzo stareńka babulka decyduje się na rozmowę. Ale ona nic nie wie. W 1946

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 45 (1649) ROK XXXII 5 LISTOPADA 1989 ROKU CENA 200 ZŁ

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70; 32-89-70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka literacka: Henryk Pustkowski.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski,
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski,
Graficy: Dariusz Romanowicz, Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Paryż — Londyn), Grzegorz Gazda, Janusz Janyst, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Moskwa), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A. Makowski, Zenon J. Michalski, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Maciej Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5 tel. 32-59-11.

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz**, tel. 36-89-99

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa Książka Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa Książka-Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa Książka Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23 00-958 Warszawa konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658 201045 139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. D-10

Przegląd prasy

W powstaniu NSZZ „Solidarność" i demontażu ustroju PRL ważną rolę odegrał Komitet Obrony Robotników. O działalności tej organizacji pisze w miesięczniku „WIĘŹ" (nr 7—8) Jan Józef Lipski.

KOR powstał 23 września 1976 roku. Powołały go trzy główne środowiska: uczestnicy wydarzeń marcowych 1968 r. skupieni koło Jacka Kuronia i Adama Michnika; działacze harcerscy wywodzący się z „Czarnej Jedynki" przy Liceum im. Reytana; członkowie i sympatycy Klubu Krzywego Koła. Trudno dziś ustalić, kto wymyślił nazwę organizacji, ale ideę KOR stworzyli przede wszystkim Jacek Kuroń i Antoni Macierewicz.

„Założycielami KOR było formalnie 14 osób: Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Ludwik Cohn, Jacek Kuroń, Edward Lipiński, Jan Józef Lipski, Antoni Macierewicz, Piotr Naimski, Antoni Pajdak, Józef Rybicki, Aniela Steinsbergowa, Adam Szczypiorski, ks. Jan Zieja, Wojciech Ziembiński; faktycznie — osób 16: Adam Michnik wyjechał wcześniej do Paryża — i tam zajął się wielką akcją propagandową na rzecz KOR; Halina Mikołajska przez bałaganiarstwo organizacyjne nie zdołała w porę podpisać dokumentu, zrobiła to po 2 dniach.

A oto spis dalszych członków: Mirosław Chojecki, Emil Morgiewicz, Wacław Zawadzki, Bogdan Borusewicz, Józef Śreniowski, Anka Kowalska, Stefan Kaczorowski, Wojciech Onyszkiewicz, Adam Michnik, ks. Zbigniew Kamiński, Jan Kielanowski, Konrad Bieliński, Seweryn Blumsztajn, Andrzej Celiński, Leszek Kołakowski, Jan Lityński, Zbigniew Romaszewski, Maria Wosiek, Henryk Wujec, Jerzy Ficowski, Wiesław Piotr Kęcik, Jerzy Nowacki, Ewa Milewicz.

W czasie istnienia KOR zmarło 2 jego członków: 1978 Wacław Zawadzki i 1979 Adam Szczypiorski. W 1977 trzech członków odeszło do Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela: Wojciech Ziembiński, Emil Morgiewicz, Stefan Kaczorowski. W 1980 odszedł z KOR z przyczyn osobistych Jerzy Nowacki".

Komitet Obrony Robotników przekształcił się 29 września 1977 roku w Komitet Samoobrony Społecznej „KOR". Jan Józef Lipski twierdzi, że z ruchu KOR wypączkował gdański komitet założycielski Wolnych Związków Zawodowych. Jego głównymi działaczami byli: Bogdan Borusewicz, Joanna Duda-Gwiazda, Andrzej Gwiazda, Andrzej Kołodziej, Bogdan Lis, Alina Pieńkowska, Anna Walentynowicz, Lech Wałęsa, Błażej Wyszkowski, Krzysztof Wyszkowski, Jan Zapolnik.

W ruchu strajkowym lipca i sierpnia 1980 roku KSS „KOR" (głównie Jacek Kuroń i Ewa Kulik) zorganizował obsługę informacyjną. W strajkującej Stoczni Gdańskiej im. Lenina ludzie z KOR (Mirosław Chojecki, Konrad Bieliński, Ewa Milewicz) zorganizowali poligrafię i redagowali dziennik „Solidarność". Po podpisaniu porozumień gdańskich i utworzeniu „Solidarności" rola KSS „KOR" gwałtownie malała. Jan Józef Lipski pisze:

„Ogromna większość jego członków i współpracowników poświęciła się bez reszty pracy na rzecz Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego. W tych warunkach praca KOR zamierała. Jednocześnie stawało się oczywiste, że dalsze istnienie Komitetu, rozporządzającego dużym autorytetem i wpływami, będzie budzić niepokój, że „Solidarność" jest tą drogą manipulowana przez grupę działaczy nie pochodzących z wyboru. 28 września 1981 r. senior Komitetu, prof. Edward Lipiński, odczytał z trybuny I Ogólnopolskiego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność" uchwałę o samorozwiązaniu się w nowej sytuacji. Jeszcze tylko spór na sali zjazdowej wokół zgłoszonego przez rejon radomski NSZZ „Solidarność" wniosku o podziękowanie KOR, który przekonał mnie, że tymi pięcioma latami, bardzo ciężkimi, zasłużyliśmy sobie na nienawiść nie tylko z tej strony, z której mogłem się spodziewać. Na szczęście nie to stanowisko przeważyło".

Stefan Niesiołowski twierdzi w tygodniku „ŁAD" (nr 42), że pod koniec lat siedemdziesiątych KOR był najsilniejszym przejawem opozycyjnej lewicy laickiej. Walcząc o wzrost wolności grupa ta nie umiała jednak zdobyć się na tolerancję dla inaczej myślących. Już wówczas dążyła do monopolizacji działań niezależnych i występowała w imieniu całego społeczeństwa.

ROZŁAM W ZWIĄZKU

Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność" jest rozbity co najmniej na dwa ugrupowania. Przywódcą pierwszego jest Lech Wałęsa, a drugiego Marian Jurczyk. Rozłam pogłębił się z chwilą utworzenia Porozumienia na Rzecz Przeprowadzenia Demokratycznych Wyborów w NSZZ „Solidarność". Pomysł powstał w Łodzi 20 maja 1989 roku podczas posiedzenia Grupy Roboczej Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność".

W skład Sekretariatu „Porozumienia" wchodzi m.in. Stanisław Kocjan (sekretarz Prezydium Zarządu Regionu Pomorza Zachodniego w Szczecinie). Rozmawia z nim w tygodniku „SPRAWY I LUDZIE" (nr 41) Marek Zagajewski.

Winą za rozłam w „Solidarności" Stanisław Kocjan obarcza Lecha Wałęsę. Zarzuca mu, że odtrącił ludzi wybitnie zasłużonych dla Związku (jak Marian Jurczyk, Andrzej Gwiazda, Jan Rulewski, Andrzej Słowik) i otoczył się osobami, które nie zostały zaakceptowane przez I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność". W 1981 roku przepadli w wyborach — mimo wielokrotnych podejść — Bronisław Geremek, Lech Kaczyński, Andrzej Celiński, a dziś odgrywają bardzo ważną rolę.

Dotychczas odbyły się cztery spotkania „Porozumienia": w Szczecinie (lipiec i sierpień), Będzinie (wrzesień) i Piotrkowie Trybunalskim (7 październik). Przeciętnie uczestniczyło w nich około 200 osób z danego regionu i gości z różnych stron kraju.

Marian Jurczyk mówi w wywiadzie udzielonym Annie Krajewskiej z „WYBRZEŻA" (nr 44), że kierowana przez niego „Solidarność" powstała z winy komunistów i pewnej grupki działaczy solidarnościowych. Wszystko zaczęło się już w 1984 roku, kiedy wyszła z więzienia tzw. jedenastka. Jej część — określana mianem lewicy laickiej — postanowiła dogadać się z rządem.

„Komuniści postawili jej jednak warunek, żeby zgodziła się na wyeliminowanie z życia politycznego pewnych działaczy. To znaczy, w pierwszej fazie, chodziło jej o czterech: Andrzeja Gwiazdę, Janka Rulewskiego, Andrzeja Rozpłochowskiego, no i mnie. Lewica laicka wyraziła na to zgodę, powstała tylko kwestia, jak to zrobić w praktyce, jako że wsadzenie tej naszej czwórki z powrotem do więzienia nie wchodziło w grę, choćby ze względu na opinię publiczną".

Marian Jurczyk twierdzi, że nie czuje do Lecha Wałęsy osobistej antypatii, lecz krytykuje go jako przewodniczącego Związku. Nie może zaakceptować aneksu zakazującego organizowanie strajków, mianowania przywódców poszczególnych regionów i ograniczania w obecnych warunkach działalności związkowej. Jego zdaniem, właśnie teraz potrzebny jest silny Związek, ponieważ trwa proces biologicznego wyniszczania narodu polskiego.

O potrzebie obrony interesów pracowniczych mówi w tygodniku RKW „Solidarność" Dolny Śląsk „REGION" (nr 53) Karol Modzelewski. Uważa on, że rząd Tadeusza Mazowieckiego przyjął neoficko nadgorliwą filozofię skrajnie liberalną. Polityka wolnego rynku i wolnej gry cen drastycznie rozmija się z oczekiwaniami społecznymi. Trzeba natychmiast ukrócić paskarskie praktyki windowania cen. W przeciwnym bowiem razie zlikwidujemy kolejki poprzez wyeliminowanie stojących w kolejkach.

SOCJALIZM W IZRAELU

Osiemdziesiąt lat temu w Palestynie powstał zalążek ustroju socjalistycznego. Założono pierwsze osiedle spółdzielcze (kibuc) „Degania" — „niebieski". Pod koniec lat sześćdziesiątych członkowie kibuców stanowili 3,5 proc. ludności Izraela (aż 30 proc. żydowskich rolników). Była to próba stworzenia społeczności bezklasowej. Poza przedmiotami osobistego użytku w kibucach wszystko jest wspólną własnością. Obowiązuje zasada równości. (Zob. R. Dyoniziak, Izrael. Przemiany społeczne, Warszawa 1971, s. 23—39).

Obecnie w Izraelu jest około 280 kibuców. Żyje w nich 3,5 proc. mieszkańców państwa. Zygmunt Słomkowski z „TRYBUNY LUDU" (nr 246) odwiedził kibuc „Tzora" leżący 30 km na południowy zachód od Jerozolimy. Jego członkowie uprawiają bawełnę, winogrona, migdały, owoce avocado i specjalny olejek kosmetyczny. W zautomatyzowanej oborze znajduje się 700 krów. Kibuc ma też fermę indyczą (rocznie dostarcza 900 ton mięsa) oraz wytwórnię mebli biurowych, fabrykę odzieżową i wytwórnię zabawek.

W kibucu „Tzora" mieszka około tysiąca osób: 360 członków i 390 dzieci oraz młodzi ochotnicy z Ameryki Północnej, Australii, Republiki Południowej Afryki. Młodzież przyjeżdża tu pracować za pośrednictwem organizacji syjonistycznych. O wszystkich podstawowych sprawach kibucu decyduje walne zebranie, które na dwuletnią kadencję wybiera 15-osobowy sekretariat. O przyjęciu nowych członków rozstrzyga zebranie ogólne. Kandydatów obowiązuje roczny okres próbny, po którym zostaną przyjęci lub nie.

„Podstawową formą wynagradzania — równego dla wszystkich — jest wyżywienie w stołówce (trzy razy dziennie), mieszkanie i roczne — także równe dla wszystkich — „kieszonkowe", jak również prawo korzystania z kawiarni (kawa, napoje, ciastka) i wszelkich urządzeń bytowych, sportowych itp. Każda rodzina z dziećmi ma mieszkanie o powierzchni 57 m. kw. Małżeństwa bezdzietne — nieco mniejsze, samotni — kawalerki. Umeblowanie obecnie jest własne, kiedyś zapewniał je również kibuc. Każde mieszkanie posiada telewizor kibucowy. Zanim to nastąpiło, nikt nie miał prawa sam kupić odbiornika — ani zamontować go, jeśli nawet otrzymał aparat bezpłatnie.

Małe dzieci przebywają od 7.00 do 16.00 w żłobkach lub przedszkolach. Dawniej już od niemowlęctwa dzieci czas cały znajdowały się w żłobkach, a następnie przedszkolach; przebywały z rodzicami tylko w wolne dni od pracy. Utrzymanie i koszty młodzieży studiującej pokrywa kibuc. Po studiach młody człowiek może pozostać w kibucu, ale musi się starać o przyjęcie na członka. (...)

Jak widać, życie w kibucu organizowane jest na zasadach przypominających koncepcję socjalistów utopijnych. Jest to coś więcej, niż organizacja produkcji i życia, to także sposób bycia. Swego czasu w niektórych kibucach eksperymenty szły bardzo daleko. Np. akceptowano wolne związki chłopców i dziewcząt, a do okresu dojrzewania dzieci mieszkały razem, bez podziału na płeć. Natomiast do dziś zachowała się praktyka dyżurów przy najmniej atrakcyjnych zajęciach, jak np. pomoc w stołówce. Każdy podlega takim dyżurom, łącznie z wysokimi funkcjonariuszami państwowymi pozostającymi członkami kibuców, a tacy — w tym ministrowie — są".

Po kibucu „Tzora" oprowadzała polskiego dziennikarza Silvia Dekel. Urodziła się w Boliwii, ale jej rodzice pochodzą z Polski. Matka mieszkała w Aleksandrowie Kujawskim. Silvia jest fryzjerką i dodatkowo przewodniczką w kibucu.

E. L.

Tydzień w Łodzi

☆ Drugie posiedzenie łódzkiego „okrągłego stołu" obradowało — podobnie jak pierwsze — przy drzwiach zamkniętych. Ciekawe, czy jego uczestnicy boją się czegoś, czy wstydzą? Tym bardziej że opublikowany w prasie komunikat, wysoce kuriozalny, mówi, że nic nie mówi. Kpina (z nas, łodzian), podszyta bzdurą, przybiera postać czystej paranoi. A ku-ku. Qrwa!

☆ Ukonstytuował się zarząd Łódzkiego Towarzystwa Inicjatyw Społecznych. Prezesem został dr **Jerzy Drygalski**, a wiceprezesami **Tomasz Filipczak** i **Bolesław Parzyjagła.** Towarzystwo przyjęło pod swą opiekę pierwsze w Łodzi prywatne liceum oraz postanowiło patronować powstawaniu alternatywnej, prywatnej służby zdrowia, obejmującej pacjentów ubezpieczeniami społecznymi, ale nie w ZUS, tylko w innej firmie ubezpieczeniowej, która tym sposobem przełamie kolejny monopol państwowy.

☆ W gościnnych progach Teatru Studyjnego odbyło się drugie już spotkanie twórców kultury, działaczy i dziennikarzy z wicedyrektorem Wydziału Kultury i Sztuki UMŁ, **Andrzejem Reiterem.** Spotkania te zainicjował właśnie dyr. Reiter, który analizując stan łódzkiej kultury uplasował się „między wyobraźnią a bezradnością", mając na uwadze również możliwości (a raczej: niemożliwości) reprezentowanego przez siebie Wydziału. Po gorącej dyskusji niektórzy jej uczestnicy (-czki) wyszli poobrażani na siebie. I z kim tu pracować, panie dyrektorze?

☆ Komitet Organizacyjny Stowarzyszenia „Konstrukcja w procesie" powołał **Fundację „Muzeum Artystów" w Łodzi. Łódź**, jako miasto leżące w środku Polski (Polska zaś w środku Europy) — czytamy w projekcie Fundacji — stanowiąc siedzibę Muzeum Artystów powinna stać się miejscem spotkań, dyskusji i nowych impulsów dla artystów i twórców kultury z różnych krajów świata, albo — używając terminów dziś bardziej aktualnych — Muzeum Artystów powinno w obszarze sztuki otwierać drzwi do nowej jakościowo, otwartej, zintegrowanej Europy i wolnego świata.

☆ W kinie „Przedwiośnie" — pierwszym prywatnym kinie w naszym mieście — spotkali się prywatni właściciele podobnych przybytków sztuki z Krakowa, Gdańska, Warszawy i Łodzi, by omówić szczegóły powołania filmowej spółki dystrybucyjnej, konkurencyjnej dla OPRF-ów i CDF-u. Znając upodobania i fachowość tych ludzi, a także rzutkość i wyobraźnię, można mieć pewność, że przyszły repertuar ich kin — ambitny, artystyczny, ale i kasowy — przyniesie wytchnienie od tandety, krwi, mordobicia i hard-porno, które zalewa i zalewać będzie coraz bardziej kina państwowe, nastawione wyłącznie na zysk.

☆ W podwórku przy al. Kościuszki 53, 8-letni Mateusz K. przewrócił i wytarzał w piachu 6-letniego Michała M. Jest to jedno z niewielu negatywnych zdarzeń w ostatnim czasie w Łodzi, którego nie usiłowano usprawiedliwić brakiem prezydenta.

☆ Na dworze jest ciepło, a w mieszkaniach jeszcze cieplej, bo grzeją kaloryfery. Trzeba otwierać okna, żeby się nie zaparzyć. Ktoś jest odpowiedzialny za marnowanie tysięcy ton węgla, którego może zabraknąć zimą, o czym się już nieśmiało zaczyna mówić. Ale tylko mówić. Ci, którzy powinni coś robić, nic nie robią. W razie czego, można będzie wyślizgać się od odpowiedzialności zwalając winę na fakt, że miasto nie ma prezydenta. Niech im zima lekką będzie. I nam też.

☆ Zainteresowanych wydarzeniami większej wagi, jak: kto, kogo i dlaczego pozdrowił, pożegnał, przywitał, zamknął lub wypuścił, gdzie wystaje kołek z chodnika, a gdzie leży kupa piachu, po ile można kupić grzyby i kefir, itd. — odsyłam do telewizyjnych „Łódzkich Wiadomości Dnia".

M.K.

* **Z WŁASNEGO PODWÓRKA.** W środę, 26 października 1989 roku redakcję odwiedziła grupa uczniów **Szkoły Podstawowej nr 11 na Retkini.** Byli to uczniowie klas ósmych. Pytaniom i uwagom nie było końca. Spotkanie w redakcji trwało blisko 2 godziny. Zarzucono nam, że mało piszemy o sprawach młodzieży i ... o ekologii. Obiecaliśmy poprawę. Pytano niemal o wszystko, a były to — wierzcie nam — wcale mądre i przemyślane pytania. Niektórzy z naszych gości pytali, jak zostać dziennikarzem? Być może są to przyszli nasi koledzy.

L.W.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Za oknem brzask, a my na rowerach i w pińskie błota! Zaszyliśmy się w sianie, które tam suszyli na drewnianych stojakach. Wokół pustkowie i wilki wyją. Zjedliśmy okruchy chleba pieczonego w liściach chrzanu. Wybrałem na mapie Stolin i ruszamy. Patrzę, a tu idzie taki w długich łachach z brodą do pasa. Myślałem, że zbój, a to był pop. Dogadaliśmy się jakoś, pokazał drogę przez strumień, gdzie za wielką wodą miała być wieś. Szmat drogi, ale wieś była, a w niej wielu Żydów na gospodarstwach. Częstowali nas pierdziołkami i kwaśnymi ogórkami. Jak człowiek tam wlazł w krzaki, to wszędzie syczały żmije... Żegnani sykiem żmij i żydowskim błogosławieństwem ruszyliśmy dalej. W lasach trafiliśmy na leśniczówkę. Okazało się, że stąd do granicy rosyjskiej jest zaledwie siedem kilometrów. Pewien student znał dobrze rosyjski i przetłumaczył słowa spikera, że Polski już nie ma, po prostu czwarty rozbiór — reportaż RYSZARDA BINKOWSKIEGO pt. „Los cywila".

— W migotliwym świetle drżącego płomyka zdało mu się, iż poprzez zalane deszczem szyby auta dostrzega siedzącego za kierownicą człowieka z głową opuszczoną nisko na piersi. Przechodzień w czarnym płaszczu drgnął nieznacznie, przez twarz przemknął mu bolesny skurcz, automatycznym ruchem schował zapalniczkę i starannie otulił się płachtą nocnego materiału, wpatrując się badawczo w siedzącą nieruchomo postać. Nagle cofnął się z widocznym przerażeniem, wykonał kilka szaleńczych i nieskoordynowanych ruchów, zdradzających narastający strach i chęć ucieczki. Nie mógł jednak rozpoznać twarzy wciąż pozostającego w bezruchu mężczyzny w starym samochodzie. Zamazane parą i wodą szyby utrudniały obserwację, a przechodzień z jakiegoś powodu bał się podejść bliżej. Cisnął niedopałek i zdecydowanym krokiem wszedł do pobliskiej bramy. Rozejrzał się ostrożnie — pisze MACIEJ ŚWIERKOCKI.

— Zapaliłem papierosa, a wypaloną zapałkę włożyłem do pudełka. Minister po zaczerpnięciu oddechu kończył pouczający przykład. I wtedy pudełko zapałek stało się ognistą gwiazdą, meteorem, granatem. Wszyscy zerwali się z miejsc. Patrzą z przerażeniem, jakby nigdy nie odrzucali palących się w ręku zapałek. Boczne drzwi otwierają się szybko. Wpadają cywile o obliczach nadzwyczaj niewesołych. Rzucają się w moim kierunku, chcą mnie obezwładnić — kolejny fragment wspomnień TADEUSZA CHRÓŚCIELEWSKIEGO pt. „Jak dokonałem zamachu na ministra kultury i sztuki".

— Łódź była pierwszym miastem w Kongresówce, które zrealizowało postulat powszechnego, bezpłatnego nauczania. Został zgłoszony już na pierwszym, inauguracyjnym zebraniu Rady Miejskiej 27 marca 1919 roku — artykuł ANDRZEJA KEMPY na temat dziejów samorządu w przedwojennej Łodzi.

Miasto i wieś

Partner dla mieszczucha

Rozmowa z PIOTREM KOCHANOWSKIM — przewodniczącym Tymczasowej Rady NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność", rolnikiem ze wsi Bedoń.

Pamięta pan: „Jak nas zarejestrujecie, chleb z szynką jeść będziecie". Albo inne hasło, które mówi, że wieś polska potrafi wyżywić cały naród. I co? Jaką mamy praktykę? Wysokie ceny. Tanie jadłodajnie dla ubogich. Prośby o pomoc z zagranicy, aby Polacy mogli przezimować.

— Pamiętam. I inni też pamiętają. Rozmawiałem z wieloma rolnikami i wszyscy są oburzeni, wręcz obrażeni w poczuciu ich godności, że na Zachodzie robi się zbiórki żywności dla głodujących Polaków. Rolnicy są nadal przekonani, że potrafią sami wyżywić cały naród.

— Co temu przeszkadza?

— Skoro pani zaczęła od przypomnienia odległych czasów, to i ja do nich powrócę, a nawet do jeszcze odleglejszych. Przypomnę te „zielone światła" ciągle zapalane przed rolnictwem i zaraz gaszone, głoszoną wyższość sektora uspołecznionego nad rolnictwem indywidualnym, a jednocześnie stale zmniejszający się areał ziemi będący w posiadaniu indywidualnego rolnictwa. Wspomnę o „podkowie śmierci" obejmującej wschodnie województwa, gdzie zwiększał się obszar ziem porzuconych. Podobnie było i na zachodzie Polski. Proces zmniejszania się ziem w posiadaniu rolników indywidualnych trwał tak za czasów Edwarda Gierka, jak i w stanie wojennym. No i wreszcie sprawa najważniejsza: równe traktowanie wszystkich trzech sektorów prywatnego, spółdzielczego, państwowego. W teorii mówiono tak, ale w praktyce środki produkcji dla rolnictwa łatwiej i szybciej trafiały do spółdzielni i PGR.

— Ale rolnicy doczekali się zapisu w Konstytucji o trwałości gospodarstw rodzinnych.

— Owszem. Trzeba jednak wiedzieć, że rolnicy są tytularnie właścicielami ziemi.

— Co to znaczy?

— Przepisy i praktyka administracyjna jest taka, że w każdej chwili każdy rolnik może być wywłaszczony. Decyduje o tym naczelnik, a możliwość odwołania się od tej decyzji jest żadna. Proszę do tego dodać jeszcze i taki fakt, że propaganda w Polsce przez długie lata robiła wszystko, aby zachwiać wiarę społeczną w trwałość własności prywatnej. I to wszystko w sumie złożyło się na takie rolnictwo, jakie właśnie mamy. Ale ono takie wcale nie musi być.

— Co zatem trzeba zrobić, aby było inne?

— Najprościej ujmując: trzeba stworzyć na wsi takie warunki, aby ludzie mogli wykazywać się własną inicjatywą.

— A rozszerzając to?

— Na początek niech zaczną przywozić mleko w bańkach, bo te inicjatywy muszą się rodzić na wsi. Tam musi powstać przetwórstwo, którego rezultaty dotrą bezpośrednio do miasta. Na wsi chłopi muszą wykazać się inicjatywami, pomóc w tym powinni im ludzie wykształceni. Musi nastąpić złamanie struktur monopolistycznych, o sile których stanowią ludzie, etaty, pieniądze.

— Czy chłopi zechcą wykazać się inicjatywami i czy to będą inicjatywy trwałe?

— Dlatego wsi potrzebna jest osłona organizacji politycznych i społecznych. Potrzeba, też osłony władz administracyjnych wyższego szczebla, gdyż władze niższych szczebli przywykłe do działania na sygnały z góry nic same nie zrobią.

— To jest przekonywające, co pan mówi. Ale ludzie w mieście patrzą na skuteczność pracy rolników przez pryzmat cen w sklepie mięsnym, nabiałowym i spożywczym. A te ceny... Sam pan zresztą wie.

— Po pierwsze — to jest proces. Jego początek wziął się ze zniesienia dotacji do produktów rolnych. I stąd ta obłędna gonitwa cen. Po drugie — coś tu się zaczyna już zmieniać. Z różnych stron Polski docierają wieści, że ceny zaczynają powoli spadać. W bydgoskim obniżono ceny mleka. Rozmawiałem z jednym z prezesów PSS „Społem" który zapewniał mnie, że oni mogą zrezygnować z części marży, ale rolnicy muszą też obniżyć ceny. Powoli — może zbyt powoli w stosunku do społecznych oczekiwań — zaczynają tu działać mechanizmy rynku.

— Nie wszyscy na przykład rozumieją, dlaczego rolnicy porównują cenę litra mleka z ceną litra ropy naftowej?

— Mogliby na przykład porównywać do ceny złota. Nie czynią tego z prostego powodu: chcą produkować żywność a nie chować złoto pod poduszką.

— Czy nie sądzi pan, że są to relacje przeniesione z Zachodu, które dla nas są za bardzo na wyrost?

— Zgadzam się. Są to relacje zbyt wywindowane w górę. Na Zachodzie namawia się ludzi do kupowania, u nas nic nie można kupić. A rolnik musi kupować: maszyny, nawozy, traktor...

— Czy każdy rolnik musi mieć traktor?

— Dodałbym do tego pytania jeszcze: i komplet maszyn? Teraz odpowiem: teoretycznie nie. Praktycznie — tak. Teoretycznie nie dlatego, że gdyby istniały na wsi takie organizacje, którymi sterowaliby sami rolnicy, to współpracowaliby między sobą dla wspólnego dobra. Ale tak nie jest. Uspółdzielczanie na siłę rozerwało wszelkie powiązania na wsi między ludźmi, zniechęciło do współpracy i współdziałania i teraz rolnik, aby mógł czuć się bezpieczny jako producent żywności, musi dysponować maksymalnie pełnym wyposażeniem technicznym.

— Przecież spółdzielczość — w tym również wiejska — nie jest niczym nowym. Istniała i rozwijała się przed wojną.

— Właśnie. Tragedia wsi polskiej polega między innymi na tym, że znalazła się ona w 1939 roku jakby z powrotem w 1945 roku. To znaczy w momencie, kiedy po wojnie zaczynaliśmy na wsi tworzyć różne związki.

Przedstawię to może na przykładzie wsi francuskiej, którą dobrze znam. Tam po wojnie każdy zaczynał od umacniania własnego gospodarstwa i handlu z miastem na własną rękę. Powoli poszczególni wytwórcy dochodzili do przekonania, że razem będzie lepiej, łatwiej i taniej. Zaczęli więc sami, od dołu tworzyć spółdzielnie i sami nimi do dziś zarządzają. Państwo im tego nie odebrało, mimo że we Francji kontrola państwowa jest niebywale silna.

Otóż wieś polska jest właśnie w tym momencie, w którym wieś francuska była w 1945 roku.

— Poza tym polski chłop nie bardzo ma co i gdzie kupić. Jak to zmienić na lepsze?

— Możliwości są. Znam na przykład „Wifamę". Ma ona wolne moce produkcyjne. Gdyby tym zainteresować zagraniczny kapitał, to można byłoby uruchomić produkcję kosiarek, sieczkarni, maszyn do zbioru kukurydzy.

— Jakie są przeszkody?

— Potrzebna jest dobra dokumentacja oraz gwarancja, że to, co będą produkować znajdzie nabywcę.

— A znajdzie?

— Zapewne, tyle tylko, że sprzedaż jest scentralizowana i na przykład „Agroma" nie jest jaką inicjatywą zbytnio zainteresowana.

— Czy sądzi pan, że zachodni kapitał byłby tym też zainteresowany?

— Mam też pewne obawy, bo — moim zdaniem — byłby bardziej zainteresowany wchodzeniem w spółki z małymi fabryczkami, zatrudniającymi do 200 osób, które mogłyby produkować proste narzędzia rolnicze. Ale próbować trzeba na wszystkie sposoby.

— Przedstawię teraz w sposób uproszczony jak myślą ludzie w mieście. Ich zdaniem rolnikowi nic się nie opłaca, a przecież ma swój dom, za który nie płaci czynszu, ma własną żywność, której nie musi kupować w sklepie i stać po nią w kolejce...

— Znam to. Można do tego dodać, że nie musi się napracować, bo mu wszystko samo rośnie. Ale to nie jest tak. Byłem niedawno we wsi oddalonej od Łodzi o 100 km. W Łodzi ziemniaki sprzedaje się teraz po 30000 złotych za 100 kg. Tam w tej wsi chłopi gotowi są sprzedać kg po 140 złotych, czyli 100 kg kosztowałoby 14 000 złotych. I nikt nie chce kupować!

— Dlaczego?

— W wyniku złej struktury organizacyjnej skupu, zaopatrzenia i handlu. Jest tam GS „Samopomoc Chłopska" i nic więcej.

— Jeśli zlikwiduje się ten monopol, to co na wsi zostanie?

— Ja stawiam na samorząd. Tak w mieście, jak i na wsi. Kierownik sklepu z upoważnienia samorządu musi tak działać, żeby i sklep był należycie zaopatrzony i zaczął funkcjonować skup. Sklep wiejski — ale nie tylko — powinien być elementem mechanizmu gospodarczego, który przynosi zyski tym, którzy w nim pracują, a klienci znajdują towar. Sklep nie może działać tylko w oparciu o najbardziej nawet szczytne hasła o społecznym zaopatrzeniu ludności. To musi być interes.

— A co to da miastu?

— Po pierwsze — ułatwi skup produktów, które później trafią do miasta. Po drugie — na takiej zasadzie powinny powstawać w miastach sklepy producentów.

— Powstaną? W Łodzi na przykład?

— Powstaną. W Łodzi przede wszystkim. Mamy już zgodę na 5 sklepów. Na początek. Troje ludzi podpisało już umowy.

— Na jakiej zasadzie będzie to działało?

— Chcemy, aby ci ludzie zajęli się skupem, ubojem i dostawą mięsa do tych sklepów. Eliminujemy pośredników. Rzeźnie będą na wsi, sprzedaż w mieście. Wokół rzeźni na wsi powinny powstać przetwórnie.

— To takie proste I nie musi dotyczyć tylko mięsa. Co temu do tej pory przeszkadzało?

— O ogólnych przeszkodach mówiłem wcześniej. Są jeszcze szczegółowe: przepisy utworzone na zasadzie „nie wolno, bo nie wolno" I koniec. Z takimi przepisami nie można ani dyskutować, ani nie ma sposobu, aby je ominąć.

Taka działalność wsi nie musi dotyczyć tylko mięsa. Zgadzam się z tym. Może dotyczyć również mleka. Wprawdzie tu też są przepisy, że „nie wolno, bo nie wolno", ale jakoś je przewalczymy. Pokażemy w ten sposób, że „Spółdzielnie Mleczarskie" są niesprawne. Nie występujemy przeciw idei spółdzielczości mleczarskiej Idea jest dobra, praktyka jest fatalna. Występujemy w obronie samodzielności mleczarni. Dlaczego dana mleczarnia nie ma obsługiwać najbliższego terenu, tylko wozić swoje wyroby do centrali?

Na wsi zresztą do dziś działa taka praktyka, że ludzie zaopatrują się u sąsiadów, co jest nielegalne. Dążą zatem do tego, aby zbyt i kupno mieć w najbliższym otoczeniu. To jest naturalne. Trzeba zatem, aby stało się to legalne. Dotyczy to nie tylko współpracy sąsiedzkiej, ale i współpracy z organizacjami handlowymi, spółdzielczymi. Upraszczajmy sobie życie, a nie komplikujmy je.

— Powszechne jest przekonanie, że fatalne zaopatrzenie Łodzi w artykuły spożywcze bierze się z okrojenia jej w 1975 roku przez ówczesny podział administracyjny.

— Dokonano wówczas karygodnego zabiegu. Wyizolowano miasto z jego naturalnego wiejskiego otoczenia. Dzieła temu — w sensie ujemnym oczywiście — powstały warunki dla szczególnego zantagonizowania miasta i wsi. Wieś poczuła się opuszczona przez miasto. Rolnik jedzie do Łodzi, aby tam sprzedawać swoje produkty, ale podatki płaci poza Łodzią i często nie na jej rzecz. Rodzi to w nim poczucie osamotnienia, nietrwałości więzów, oderwania wsi od miasta.

Korekta podziału administracyjnego, przywrócenie naturalnych więzów Łodzi z jej wiejskim zapleczem przywróci wsi poczucie ochrony prawnej. Proszę się jednak nie spodziewać natychmiastowego cudu. Zacznie się proces przywracania naturalnych więzi między wsią i miastem oraz zaczną zanikać przyczyny rodzenia się antagonizmów między miastem a wsią. Rezultaty materialne tego przyjdą później. Łódź nadal będzie musiała sprowadzać żywność z różnych rejonów Polski.

— Spotkałam się z takim poglądem: wieś stanowi ogromną siłę polityczną, ale jeszcze nie rozpoznaną. W niedalekiej przyszłości politycy będą się musieli ubiegać o poparcie właśnie wsi. Ale z drugiej strony, gdy widzę rozbicie ruchu ludowego, to mam wątpliwości, czy rzeczywiście wieś stanowi taką siłę polityczną?

— Po rewolucji 1917 roku w Rosji na emigracji powstało 7 rządów rosyjskich i 17 lub 19 gruzińskich, ale dla historii Rosji i Gruzji nie miało to większego znaczenia. Wieś jest potencjalną siłą polityczną. Była nią przed wojną za czasów Wincentego Witosa. Ale to był inny przywódca, to były inne czasy, inne warunki dla działania ruchu ludowego. Niemniej jednak dziś nawiązujemy do idei Wincentego Witosa i do programu Stanisława Mikołajczyka

Ruch ludowy w Polsce przechodzi pewien naturalny i niezbędny proces: dokonuje się krytyka przeszłości, odrzuca się obce naleciałości i poszukuje się takich idei i programów, które sprzyjając rozwojowi wsi sprzyjałyby rozwojowi całego narodu. Myślę, że w tym procesie ujawnią się nowe indywidualności takiej miary jak Józef Ślisz, Gabriel Janowski, Michał Bartoszcze. Sądzę też, że NSZZ RI „Solidarność" ma przed sobą dużą przyszłość, choć PSL z Hanną Chorążyną odgrywa również poważną rolę. Gromadzi ono starsze pokolenie chłopów, którzy pamiętają spacyfikowane wybory w 1946 roku i rozumieją nieszczęście, jakie spotkało polską wieś.

— A co z ZSL, który gwałtownie chce zmienić szyld?

— ZSL nie reprezentuje wsi, posiada jednak duży i przygotowany aparat administracyjny pochodzący spoza wsi. Jak go wykorzystać? Członkowie ZSL oczekują zmian. Sprawy te rozwiązać musi kongres ludowy, na którym powstaną autentyczne reprezentacje chłopskie i przyjmą program oraz nazwę partii ludowej. Na kongresie tym musi się zaakcentować dorobek „Solidarności" na wsi. Czy zlikwiduje się podziały? Jeśli wynikają one z różnych warunków działania i tradycji, to zapewne pozostaną.

— Ilu rolników skupia wasz związek i dlaczego zdecydowaliście się wysunąć kandydata na prezydenta Łodzi?

— 5 listopada 1989 roku odbędzie się w Łodzi zjazd NSZZ RI „Solidarność". Szacujemy, że będzie nas około 2000. W gminie Zgierz mamy 236 członków. Obejmujemy 10 gmin. Stąd ten szacunek. Rzecz jednak nie w liczbie, a w programie, a o programie już mówiłem.

Powiada się, że jak ktoś chce coś „położyć", to powołuje do tego 7 docentów. Chcemy być w mieście partnerem dla działalności politycznej i gospodarczej. Znaliśmy człowieka, który umie myśleć po gospodarsku, pragmatycznie. Łodzi potrzebny jest taki prezydent. Stąd nasz kandydat: Waldemar Bohdanowicz. Radni jakoś nie zorientowali się, że choć obaj kandydaci firmowani byli przez „Solidarność", to przecież była tu jednak istotna różnica. No i mamy tego konsekwencje. Czekamy teraz na decyzję premiera Tadeusza Mazowieckiego.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Z tej ziemi.

Potrzeba odwagi chirurga

1.

Poskarżył mi się pewien młody początkujący dziennikarz, że spotkał się z niezrozumieniem czytelników, że opowiadają o nim „na mieście" różne bzdury, a on jest bezradny. Wyjaśniłem młodzieńcowi, że dziennikarstwo to taki zawód, który uprawia się publicznie i stąd dziennikarz naraża się na publiczne o nim sądzenie przez różnych ludzi, którzy często jego słowa odbierają tak, jak im wygodnie. Trzeba zatem robić swoje rzetelnie, uczciwie, z odwagą głoszenia własnych poglądów, co nie jest ani takie łatwe, ani takie bezpieczne. Nawet dziś. Innej drogi, innego sposobu nie ma.

Nikt nie będzie przecież biegał „po mieście" i każdemu tłumaczył, że on wcale nie jest taki, jakim go przedstawiają ludzie mu nieżyczliwi, nienawistni, wrogowie wszelkiej maści, zawistnicy z natury, charakteru i przyzwyczajenia. Trzeba robić swoje, byle rzetelnie i uczciwie. A jeśli zarzucą ci, że zmieniasz poglądy, to bacz abyś to robił zgodnie ze zmieniającą się rzeczywistością — tłumaczyłem młodzieńcowi — aby były one wynikiem rzetelnej analizy tej rzeczywistości. Przyznanie się do tego, że kiedyś było się w błędzie, bo któż nie był, nikomu nie powinno przynosić ujmy. Wręcz przeciwnie. A poza tym, aby zmienić poglądy, trzeba je mieć. Wielu chciałoby dokonać tego bohaterskiego aktu, ale — niestety — nie mają co zmieniać.

2.

Partie polityczne starej koalicji: PZPR, SD i ZSL stanęły przed dylematem: zmienić nazwę, czy nie zmienić? Centralna Komisja Zjazdowa PZPR dysponuje około 70 propozycjami zmiany nazwy. Stronnictwo Demokratyczne w wyniku wewnętrznego plebiscytu pozostanie przy starej nazwie. Taka jest wola jego czołników. Niektóre komitety wojewódzkie ZSL dokonały już takiej zmiany i przybrały nazwę PSL. Do nazwy tej pretenduje kilka różnych ugrupowań ruchu ludowego. ZSL ogłosiło termin nadzwyczajnego kongresu. Jest ono najsilniej krytykowane, niektórzy odbierają wręcz ZSL prawo do reprezentowania interesów chłopa i wsi polskiej.

Najbardziej bici są zawsze ci, którzy coś robili, nie oglądali się na innych. Po wojnie, gdy stalinizm rozprawiał się krwawo ze swoimi przeciwnikami spod znaku *„Polski burżuazyjnej"*, a również spod znaku *„niestalinowskiej lewicy"* najlepiej wychodzili ci, którzy się niczym „nie splamili", podczas okupacji handlowali rąbanką, a przed wojną żyli sobie cicho i spokojnie. Rosjanie mówią: — *„Tisze jediesz, dalsze budziesz!"*. Maksyma ta sprawdzała się w minionej rzeczywistości, ale nie powinna sprawdzać się dziś. Przecież ci, którzy dziś głoszą nowe hasła, tworzą nową rzeczywistość, walczą o demokrację parlamentarną i głoszą — niekiedy jedynie taktycznie — pluralizm, z gwiazd nie spadli, nagle się w Polsce nie objawili, też coś kiedyś robili. Myślę, że czas wziąć się za kształtowanie przyszłości, a nie nieustanne grzebanie się w przeszłości... Cudzej oczywiście!

Zmiany nazwy partii i stronnictw, choć potrzebne, niczego jednak nie zmienią, jeśli nie będą wynikiem zmiany programu, metod działania, ludzi wreszcie, którzy nie obciążeni nawykami przeszłości, będą mieli więcej odwagi w kształtowaniu przyszłości.

3.

Zmieniają się czasy, zmieniają się nazwy, zmieniają się ludzie. To zrozumiałe i naturalne, że wraz z tymi zmianami zmienia się ludzie na różnych stanowiskach: w prasie, radiu, telewizji też. Jest to proces naturalny, choć — bez wątpienia — bolesny. Potrzeba tu spokoju i wyrozumiałości dla... samego siebie. Nikt na stałe nie przyrasta do swego stanowiska. Mogę to napisać z całą odpowiedzialnością, bo mnie zdjęto niegdyś i przyjdzie czas, że będę musiał odejść. Mogę to też napisać dlatego, że są ludzie, których siłą nie można oderwać od ich fotela. Słucham opowieści o takich „podchodach" z niesmakiem. To wszystko, co mogę napisać na ten temat.

4.

W prasie roi się od oświadczeń i protestów. Na przykład OKR PPS Łódź protestuje przeciw dalszemu utrzymywaniu spadku poziomu życia. OKR PPS Łódź uważa, że *„dalszy gwałtowny spadek poziomu życia warstw społeczeństwa łatwo może stać się przyczyną manipulacji ze strony odsuwanej od władzy komunistyczno-OPZZ-owskiej nomenklatury, grozić może nieobliczalnymi konsekwencjami"*. Śmieszy mnie ten blok: *„komunistyczno-OPZZ-towski"*, bo jest to zupełnie nowy straszak. Nomenklatura niewątpliwie istnieje, ale aby tworzyła taki zwarty blok, to już zbytnie jej przecenianie. Podzielona ona jest, jak wszystko w Polsce i jeśli politycy tego nie dostrzegają, to być może są słabymi politykami.

Rada WPZZ 23 października 1989 roku przyjęła stanowisko, w którym domaga się podjęcia skutecznych działań *„na rzecz poprawy zaopatrzenia naszego województwa w podstawowe artykuły pierwszej potrzeby w asortymentach poszukiwanych przez mieszkańców, a nie tylko tych, które przynoszą producentom maksymalny zysk"*. Poza tym Rada WPZZ wyraziła swoją solidarność z wszelkimi apelami i oświadczeniami, jakie w ostatnim czasie opublikowano w Łodzi *„w obronie poziomu życia mieszkańców naszego województwa"*.

Mnie też smuci to, że żyje się nam coraz ciężej i trudniej, że pieniędzy nie starcza do pierwszego, choć maszyny drukują ich coraz więcej, już wkrótce ukaże się banknot pięćdziesięciotysięczny, co dowodzi o rosnącej inflacji. Martwi mnie to, że ludzie stoją w kolejce już niemal po wszystko, że w sklepach półki są puste, a fabryki pracują na pół mocy. Martwi mnie to, że mimo pięknych haseł i deklaracji głoszonych już co najmniej od 9 lat, kryzys wcale się nie zmniejsza, a przeciwnie — powiększa się. Martwi mnie — i już wręcz przeraża — to, co można zaobserwować na każdej niemal poczcie, gdzie dziesiątki emerytów upomina się o swoją rentę, bo poczta nie jest w stanie dostarczyć im jej do domu. Przeraża mnie degrengolada miasta, które — co tu ukrywać — coraz bardziej parszywieje.

Wiem, że nasza gospodarka jest ciężko chora. Objawy tej choroby możemy obserwować na każdym niemal kroku. Oto, choćby przed „Pewexem", przed „Uniwersalem", wszędzie tam, gdzie dziesiątki młodych, zdrowych mężczyzn bawi się w *„kantory wymiany dewiz"*, czyli w pośrednictwo. Olbrzymiejące pośrednictwo, narastające spółki, wszelkie sposoby przechwytywania pieniędzy są niczym innym, jak właśnie objawami ciężkiej choroby, na jaką zapadła nasza gospodarka. Rosną dochody niektórych grup, spada produkcja przemysłowa. Ludziom nie opłaca się pracować, bo płaca nie ma bezpośredniego związku z pracą. Wszyscy krzyczą, że nie wolno dopuścić do programowego bezrobocia, a ci wszyscy zgodnie tolerują tysiące ludzi, którzy biorą pieniądze tylko za to, że przychodzą do pracy. Gospodarka nasza nie uniknie, jeśli ma wyzdrowieć, ciężkiej operacji przesunięcia tysięcy ludzi zbędnych w fabrykach i urzędach do tych działów produkcji, usług i tak dalej, w których brakuje ludzi do pracy. Na pocztę choćby nawet. Pod warunkiem wszakże, że praca na poczcie zacznie się ludziom opłacać.

Każda operacja na żywym organizmie jest bolesna i niebezpieczna. Wymaga sprawnej ręki chirurga. Jego zdecydowania i... bezwzględności. Czy Jacek Kuroń, który co wtorek ma odwagę mówić Polakom przez telewizję rzeczy niepopularne i smutne nawet, zdobędzie się na odwagę chirurga?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Brytyjczycy dla świętego spokoju wyspiarzy oddali tych, którzy w maju 1945 roku schronili się pod ich skrzydła.

Nikołaj Tołstoj szuka winnych

MAREK BRZEZIŃSKI

Z Opactwa Westminsterskiego do Gmachu Parlamentu kamieniem dorzucić. Trzeba może tylko uważać, aby nie uszkodzić stojącego tam w pół drogi pomnika Winstona Churchilla, bo Ryszard Lwie Serce, w zbroi na koniu stoi nieco z boku. Od czasów średniowiecza, w pierwszych dniach października kroczyli tędy w procesji sędziowie — seniorzy. W czerwonych togach, kołnierzach z gronostai, w dyndających długimi lokami perukach, na nogach mieli trzewiki ze sprzączkami i pończochy z czarnego jedwabiu. Najpierw nabożeństwo w Opactwie, potem procesja do Hallu Westminsterskiego, w którym mieścił się podówczas Sąd Najwyższy. W okresie reformacji przed nabożeństwem wszyscy spożywali obfite śniadanie.

Sądy przeniesiono na Strand, u wylotu urokliwej i staroświeckiej Fleet Street, na której podwórkach zakonspirowały się stare puby. Stałymi bywalcami są w nich bądź dziennikarze, bądź pracownicy. W tym roku uroczystą procesję, niemal w przeddzień, odwołano. Powodem ma być rzekome znudzenie sędziów całą tą pompą. Pozostało więc nabożeństwo w Opactwie i śniadanie u Lorda Kanclerza. Nie tylko odwołanie uroczystego orszaku budzi niepokoje miłośników tradycji, ale również bardziej sprawa rozpoczęcia pracy. Bo wprawdzie po uroczystościach sędziowie rozpoczynali, po południu przesłuchiwanie stron, lecz zwykle praca sądów tak naprawdę rozpoczynała się następnego dnia. W tym roku ma się rozpocząć natychmiast po śniadaniu u Lorda Kanclerza. I to od razu od sprawy, która niemal pół wieku, ale skutecznie bulwersuje brytyjską opinię publiczną.

DYSKRETNY UROK „BIAŁOGWARDYJSKICH CERKWI"

Śpiewna modlitwa brodatego popa, oszołamiający zapach kadzideł, surowe twarze świętych, na poczerniałych ze starości ikonach, ledwo dostrzegalne w mroku rozcinanym mdlącymi płomieniami świec, mocno oddziaływał na wyobraźnię dziesięcioletniego Nikołaja. To wrażenie potęgował jeszcze ruch londyńskiej ulicy, która czekała za progiem cerkwi. Wprawdzie Nikołaj Tołstoj, potomek hrabiego Tołstoja urodził się już w Anglii, do której jego ojciec przybył w latach 20., ale los zaginionych kozaków, za dusze których modlili się popi i o zagładzie których szeptali rosyjscy emigranci, tak mocno zapadł w duszę małego Nikołaja, że postanowił wyjaśnić dzieje kozackiego legionu.

Przez długie lata studiował tę mało znaną kartę II wojny światowej, a właściwie konsekwencji jej przebiegu i zakończenia. W 1976 roku nadeszła chwila, gdy mógł sięgnąć po dokumentację, którą udostępnił rząd JKM Elżbiety II. Efektem pracy Nikołaja Tołstoja jest dwutomowa saga. Jej najnowsza część, zatytułowana: „Minister i Masakra", stała się powodem otwarcia przez Sąd Najwyższy w Londynie sprawy między Nikołajem Tołstojem a Lordem Aldingtonem.

BANKIER I POLITYK

Przed 44 laty, między 2 a 26 maja 1945 roku, w Austrii, w Karyntii, 31-letni podówczas Tobby Low, w randze brygadiera, pełnił funkcję starszego oficera sztabowego V Korpusu brytyjskiego pod dowództwem generała-lejtnanta Charlesa Keightleya. Po odbyciu służby wojskowej, z wysokimi odznaczeniami brytyjskimi, Tobby Low wrócił do Londynu. Rzucił się w wir City, gdzie wkrótce zrobił majątek i karierę polityczną. Teraz dawny Tobby Low, a obecnie Lord Aldington, jeden z wielkich grandów partii torysów, oskarżył Nikołaja Tołstoja, że zniekształcając obraz tamtych dni, bezpodstawnie obarczył go winą za świadomy udział w przekazaniu przez Brytyjczyków Józefowi Stalinowi i Josipowi Broz-Ticie, tysięcy obywateli ZSRR oraz Serbów i Chorwatów przypieczętowując tym ich tragiczny los.

Sprawą zajęła się również czteroosobowa komisja pod kierownictwem emerytowanego brygadiera Anthony Cowgilla.

JAŁTAŃSKI BUSINESS

Kamieniem milowym dla późniejszego przebiegu wydarzeń było podpisane w Jałcie porozumienie, w którym formalnie dokonano podziału Europy. Na jego mocy, wszyscy obywatele radzieccy przebywający w brytyjskiej strefie okupacyjnej mieli być przekazani Armii Czerwonej, która ze swej strony zobowiązała się do repatriacji wszystkich żołnierzy brytyjskich. Rząd JKM zdawał sobie sprawę z konsekwencji takiego kroku. Sekretarz stanu do spraw wojny Sir John Grieg, jeszcze w sierpniu 1944 roku dzielił się z kolegami wątpliwościami co do tego — jak to ujął — *„nieprzyjemnego interesu"*. John Grieg był przekonany, że dla wielu spośród repatriantów, odesłanie do ZSRR będzie *„wysłaniem wprost w objęcia śmierci"*. Jednakże cena tego „interesu" była wystarczająco wysoka — dobre stosunki z Józefem Stalinem i powrót jeńców brytyjskich. Udało się skłonić Józefa Stalina do pewnego ustępstwa. Dotyczyło ono definicji tego, kogo uważa się za obywatela radzieckiego. Miały o tym decydować granice ZSRR z 1 września 1939 roku. W ten sposób *„zwrot obywateli radzieckich"* nie dotyczył Polaków ani mieszkańców byłych państw bałtyckich — Litwinów, Estończyków i Łotyszy.

KARYNTIA ANNO DOMINI 1945

Tymczasem Brytyjska 8 Armia pod dowództwem marszałka polnego Harolda H. Alexandra usilnie starała się w maleńkiej enklawie w Austrii nie zaprzepaścić owoców zwycięstwa. Na wschodniej flance wojskom marszałka Harolda H. Alexandrowi zagrażały oddziały Armii Czerwonej pod dowództwem marszałka Fiodora Tołbuchina. Na południu rozlokowały się oddziały partyzanckie Josipa Broz-Tito, który miał ochotę na bezprawne zagarnięcie znacznej części Włoch, a nawet na inwazję na Austrię. Interesów Zachodu broniło w Karyntii 50 tysięcy wyczerpanych żołnierzy V Korpusu, którzy pilnowali niemal pół miliona jeńców niemieckich, 80 tysięcy rosyjskich, w tym 50 tysięcy Kozaków, 40 tysięcy Serbów i Chorwatów. Wśród Kozaków, którzy walczyli po stronie hitlerowców, jedną czwartą stanowiły kobiety i dzieci. Nie brakowało i „białych" Rosjan, którzy już od 1917 roku uciekali przed bolszewikami.

Początek maja 1945 przyniósł potworne zamieszanie w kwaterze głównej 8 Armii marszałka H. H. Alexandra. Nieporozumienie i chaos spowodowane brakiem rozeznania w sytuacji panowały również w kwaterze głównej V Korpusu w Klagenfurcie. Obydwaj dowódcy zdecydowani są zaprowadzić porządek za wszelką cenę. Miała temu sprzyjać wizyta ministra rezydenta Harolda Macmillena, który przybył do Klagenfurtu 13 maja. Minister Macmillan sugerował dowództwu Alianckich Sił Powietrznych (AFHQ) skontaktowanie się z marszałkiem Fiodorem Tołbuchinem, który wyrażał gotowość do natychmiastowego przejęcia Kozaków. AFHQ potwierdziła, że Brytyjczycy uważają, iż *„wszyscy Rosjanie powinni być przekazani stronie radzieckiej"*.

14 maja 1945 roku do generała-lejtnanta Keightleya dociera wiadomość, że w stronę Karyntii posuwa się ogromna, 200-tysięczna kolumna Chorwatów, którzy chcą się poddać Brytyjczykom. Keightley zwraca się do dowództwa 8 Armii z pytaniem: jak ma w tej sprawie postąpić. W odpowiedzi dowiaduje się, że *„cały personel jugosłowiański, który służył w armii niemieckiej został przekazany jugosłowiańskim siłom zbrojnym"*. Wcześniej, bo w marcu 1945 roku, Harold H. Alexander otrzymał rozkaz, aby *„wszystkie osoby, których radzieckie obywatelstwo nie powoduje wątpliwości, przekazano w ręce władz radzieckich nawet wbrew życzeniom tych osób"*. 2 maja, na osobisty rozkaz Winstona Churchilla, brytyjskie ministerstwo spraw zagranicznych wydaje oświadczenie, iż marcowy rozkaz nie dotyczy Jugosłowian, o ile nie są oni uznani za przestępców wojennych. Zalecenia rządu brytyjskiego nie dotyczyły również Rosjan nie mających obywatelstwa radzieckiego; a więc „biało-gwardiejców", a wśród nich Kozaków, o ile sami nie wyrażą ochoty przejścia w strefę radziecką. Brytyjskie ministerstwo spraw zagranicznych wyraźnie miało na uwadze los antykomunistycznych ugrupowań partyzanckich walczących przeciwko armii Josipa [illegible] jednak się jednak wydaje ani kwatera główna 8 Armii, ani tym bardziej V Korpusu nie była w stanie odróżnić Kozaków od Rosjan, „biało-", od „czerwono-" gwardzistów, nie mówiąc już o odróżnieniu częstokroć bardziej sadystycznych od Niemców Ustaszy, którzy z hitlerowcami kolaborowali, od zwolenników monarchii — Czetników, którzy zwalczali zarówno hitlerowców, jak i komunistów Josipa Broz-Tito. Z tego wszystkiego zdawano sobie sprawę nad Tamizą, ale nie w Karyntii, gdzie ci, którzy jeszcze wczoraj walczyli przeciwko aliantom, wywoływali głęboką niechęć, o ile nie wrogość zmęczonych wojną żołnierzy brytyjskich. Oficerom zaś częstokroć brakowało cierpliwości, aby wnikliwie zapoznać się z układem wśród 120-tysięcznej rzeszy jeńców, których wrzucono do jednego wora: *„walczyli przeciwko aliantom"*.

15 maja 1945 r. kolumna Chorwatów została zatrzymana zanim dotarła do sektora zajmowanego przez V Korpus. Brytyjskie dowództwo było wystarczająco przerażone i przez to zdecydowane zaprowadzić siłą porządek. 17 maja — AFHQ — zaleca, aby wszystkich jugosłowiańskich jeńców przetransportować do obozów we Włoszech. Do dziś nie wiadomo czy rozkaz ten dotarł do kwatery głównej 8 Armii i V Korpusu. 19 maja 1945 r. o 7 wieczorem, do Klagenfurtu przybywa wysłannik Josipa Broz-Tity — pułkownik Ivanovic, który ma za zadanie omówić szczegóły przeprowadzenia operacji. Raport z opisem przebiegu rozmów dociera do kwatery głównej 8 Armii następnego dnia. Zorientowano się tam natychmiast w rozbieżnościach między porozumieniem Josipa Broz-Tito, a rozkazem AFHQ. 22 maja ustalono, że *„żaden Jugosłowianin nie będzie przekazany siłom zbrojnym Jugosławii wbrew swojej woli"*. Jednakże akcja trwała już od pewnego czasu. Niemal wszyscy spośród przekazanych Josipowi Tito 25 tysięcy Serbów zaginęło bez wieści.

21 maja 1945 r. w Klagenfurt, w zgodzie z literą porozumiej jałtańskich zapada decyzja o rozpoczęciu repatriacji Kozaków. Uzgodniono, że *„wszystkie przypadki wątpliwe będzie się traktowało jako dotyczące obywateli radzieckich"*. Poza tym stwierdzono, że *„nie będzie się rozpatrywało poszczególnych przypadków, chyba że byłyby w ich sprawie wywierane specjalne naciski"*.

Brytyjscy dziennikarze podkreślają okrucieństwo i bestialstwo, z jakim brytyjscy żołnierze obchodzili się z Kozakami: mężczyznami, kobietami i dziećmi. Zdaniem „Timesa" brutalność wojska przeprowadzającego akcję oddawania Kozaków w ręce radzieckie, skazując ich tym samym na niechybną śmierć, doprowadzał do tego, że wiele matek wrzucało swoje dzieci do wartko płynącej rzeki, po czym samemu rzucało się w jej nurt popełniając samobójstwo.

EPILOG PIERWSZY

Obydwie strony: Lord Aldington i Nikołaj Tołstoj zgodne są co do tego, że cała ta sprawa rzuca się złym światłem na dobre imię Wielkiej Brytanii. Dziennikarze uważają, że sprawa odpowiedzialności za wydarzenia sprzed 44 lat jest bardzo niejasna.

EPILOG DRUGI

Nastąpi po wydaniu wyroku przez Sąd Najwyższy na Strandzie.

Cmentarz Łyczakowski we Lwowie.

Dopiero zatrzymano proces niszczenia

JANUSZ KOZŁOWSKI

Przez długie lata Lwów i usytuowany niezwykle malowniczo w obrębie niego cmentarz Łyczakowski — najstarsza polska nekropolia (erygowana oficjalnie w 1786 r.) i najsławniejsza w Europie — były tematem tabu w publicystyce i literaturze. A przecież — jak wiadomo — w dziejach kultury polskiej Lwów odegrał ogromną rolę. Niepowtarzalny koloryt tego miasta tworzyło współżycie obok siebie kilku prężnych narodowości: polskiej, ukraińskiej, żydowskiej, ormiańskiej, niemieckiej i rosyjskiej. Lwi Gród był też stolicą biskupią trzech obrządków: rzymskiego, greckokatolickiego i ormiańskiego.

Cmentarz Łyczakowski z biegiem lat przeobraził się w ogromną nekropolię — stopniowo stając się Sepulcrum Patriae („Grobem Ojczyzny"), do którego od połowy XIX wieku zaczęto również przenosić prochy wybitnych Polaków, zmarłych na emigracji w Zachodniej Europie. Tu między innymi złożono, sprowadzone z Florencji w 1887 r., szczątki Juliana Konstantego Ordona, bohatera Mickiewiczowskiej „Reduty".

Na dwustuletnim Łyczakowie pochowanych jest około pół miliona osób różnych wyznań i narodowości: Polaków, Ukraińców, Ormian, Austriaków, Francuzów, Rosjan. Dwadzieścia tysięcy spośród nich — zdaniem znawców to

postacie nieprzeciętne, które pozostawiły trwały ślad w wielu dziedzinach życia: nauce, literaturze, architekturze, gospodarce. Spoczywają tutaj luminarze polskiej nauki i literatury, m.in.: **Artur Grottger, Franciszek Smolka, Karol Szajnocha, Maria Konopnicka, Benedykt Dybowski.** Ich pogrzeby przeradzały się w wielkie manifestacje patriotyczne.

Leżą na cmentarzu Łyczakowskim powstańcy listopadowi i styczniowi, zesłańcy syberyjscy. Wyodrębnioną, składową częścią nekropolii łyczakowskiej jest monumentalny Cmentarz Orląt, na którym pochowani są polscy obrońcy Lwowa z 1920 r.

Spoczywa tutaj też pięciu polskich generałów: **Tadeusz Rozwadowski, Edmund Kessler, Jan Thullie, Bolesław Popowicz, Wacław Iwaszkiewicz.** Dwóch z nich — **Wacław Iwaszkiewicz** i **Edmund Kessler** — zapisało chlubną kartę zarówno w dziejach oręża polskiego, jak i rosyjskiego. Po drugiej wojnie światowej mogiły polskich generałów zostały sprofanowane. W miejscu tym wybudowano zakład produkcyjny.

Na Cmentarzu Orląt pochowani są również trzej lotnicy amerykańscy: **Arthur H. Kelly, Edmund P. Gravers i George Mac Callun.** W 1919 roku zgłosili oni, wraz z czterema kolegami, chęć udziału po stronie polskiej w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. Ofertę ich przyjęto. Dziewiąta eskadra lotnicza, w której walczyli pod lwowskim niebem, i pod którym ponieśli śmierć, ochrzczona została imieniem Tadeusza Kościuszki. Wyróżnili się oni szczególnie w walkach z konnicą Siemiona Budionnego. Dla uczczenia pamięci zestrzelonych amerykańskich lotników wzniesiono w 1925 r. okazały pomnik. Po nastaniu ery „zimnej wojny" został on w latach czterdziestych — pomimo protestów — zniszczony. Dziś w tej części cmentarza znajdują się garaże dla ciężarowych samochodów.

Kiedy utalentowany opolski historyk doc. dr Stanisław S. Nicieja, specjalizujący się w historii ruchu robotniczego, przebywał w latach 1980—1985 kilkakrotnie we Lwowie na stypendium w tamtejszym uniwersytecie — a mało kto z naszych rodaków wówczas tam jeździł — zauroczyła go bez reszty łyczakowska nekropolia. Zaczął zbierać o niej materiały i sporządzać dokumentację fotograficzną (wykonał kilkanaście tysięcy zdjęć). Gromadził informacje o cmentarzu z pełną świadomością, że opracowanie burzliwych jego dziejów, nad którym zaczął pracować, może trafić do szuflady.

Książka obrosła w osobliwą legendę dziesięcioletnich zmagań autora. Poprzedził ją cykl esejów zatytułowany: „Dzieje łyczakowskiej nekropolii", opublikowanych w latach 1983—1986 przez Stanisława S. Nicieję na łamach miesięcznika „Opole". Eseje te spotkały się z emocjonalnym odbiorem wśród czytelników. Nadesłali oni do redakcji kilkaset listów. Dołączali do nich bardzo często unikatowe pamiątki rodzinne: fotografie, nekrologi i wspomnienia o zmarłych. Z nadesłanych przez czytelników uzupełnień i dodatkowych informacji zrodziły się następne szkice.

Powstała w ten sposób, oparta na nich, pierwsza powojenna publikacja przerywająca znowu milczenia wokół lwowskiej nekropolii, piękne wydawnictwo albumowe „Ossolineum" — „Cmentarz łyczakowski we Lwowie w latach 1786—1986". Odbijają się w nim jak w zwierciadle losy mieszkańców Lwowa w ostatnich dwustu latach.

Po nastaniu „głasnosti" pojawiły się pierwsze publikacje prasowe, bijące na alarm o ratowanie zdewastowanej i zarastającej chwastami łyczakowskiej nekropolii. Przejmująco zabrzmiały reporterskie reminiscencje **Adama Hollanka** z wycieczki do Lwowa i odwiedzin rodzinnego Łyczakowa:

„Na Cmentarzu Łyczakowskim, my obłędni wycieczkowicze, poszukiwacze swoich familijnych korzeni sprzed półwiecza i jego wcześniejszej przeszłości, zdenerwowani, rozgorączkowani żądzą znalezienia właśnie tutaj, przecież tu je zostawiliśmy — grobów dziadków, babek, wujów, ciotek i przyjaciół. Galopują natychmiast przed oczami sceny z dzieciństwa niedorzeczne, komiczne, naiwne, ale ukochane, postacie utraconych bliskich wyłaniają się i uwypuklają na tle tej wspaniałej łyczakowskiej zieleni, mimo że często robi ona wrażenie specjalnie pielęgnowanej i sytuowanej dla zasłaniania, dla ukrywania tego, co było i co jeszcze pozostało, mur zieloności przesłania podobnie Kopiec Unii Lubelskiej, pomnik Bartosza Głowackiego czy bazylikę Matki Boskiej O-strobramskiej na Łyczakowie w sposób prawie nieprzenikalny".

Jaki jest stan dzisiejszy cmentarza? Oddajmy głos kompetentnemu znawcy, historykowi sztuki, bezpośrednio zaangażowanemu w odrestaurowanie Łyczakowa, doc. dr. **Ryszardowi Brykowskiemu** z IS PAN.

„Ciągle chowa się tu ludzi i to zarówno tam, gdzie jest trochę miejsca, jak i tam gdzie go nie ma. W substancję zabytkową wciska się współczesność. Między nagrobkami kamiennymi i żeliwnymi, na miejscu grobów ziemnych, pojawiają się nowe, murowane, zrobione np. z lastrico, co oczywiście musi razić zabytkoznawcę. Cmentarz ginie powoli, ale przecież ginie jego przeszłość... Widać, że między nagrobki polskie wchodzą obce, z innego już kręgu kulturowego, i to w większości chyba niedobrowolnie. Znikają ślady polskości. Znikają, bo ci których przodkowie pochowani byli na Łyczakowie w większości nie mieszkają we Lwowie, a ci spoza kordonu mieli dotąd duże trudności by groby pielęgnowali... Jest to już dziś zupełnie inny cmentarz niż [illegible] dziesięciu laty".

Dla ratowania sypiącej się i zmieniającej całkowicie swój charakter łyczakowskiej nekropolii doniosłe znaczenie miało powołanie polsko-ukraińskiej Komisji do Spraw Ochrony, Konserwacji i Rekonstrukcji Cmentarza na Łyczakowie. Stronie ukraińskiej przewodniczy prof. **Emanuel Pietrowicz-Myśko** (rzeźbiarz, rektor lwowskiego Instytutu Sztuk Użytkowych, stojący na czele zarządu Ukraińskiej Fundacji Kultury). W skład grupy rzeczoznawców ukraińskich wchodzą m.in.: **Oleg Konstantynowicz Czamara** (główny architekt miasta Lwowa), **Roman Mikołajewicz Fedoriw** (dyrektor Architektonicznego Kompleksu Zabytkowego we Lwowie). Pracami strony polskiej kieruje prof. dr hab. **Alfred Jahn**, wybitny geograf, członek Polskiej Akademii Nauk. W charakterze rzeczoznawców biorą udział w komisji m.in.: doc. dr hab. **Ryszard Brykowski** (Instytut Sztuki PAN w Warszawie), prof. **Marian Konieczny** (rzeźbiarz), doc. dr hab. **Tadeusz Polak** (dyrektor naczelny PP „Pracownie Konserwacji Zabytków", prezes Zarządu Fundacji Kultury Polskiej w Warszawie), prof. dr hab. **Stanisław Nicieja** (historyk z WSP w Opolu), inż. **Władysław Niesner** (dyrektor PP „Pracownie Konserwacji Zabytków Oddział w Krakowie). W charakterze obserwatorów zaproszeni zostali: **Józef Fijal** (konsul polski we Lwowie) i prof. **Leszek Mazepa** (przewodniczący Polskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego we Lwowie).

Pierwsze spotkanie mieszanej polsko-ukraińskiej komisji odbyło się we Lwowie 15 i 16 maja 1989 r. Przyjęto, iż cmentarz Łyczakowski stanowi zabytkowy zespół o randze europejskiej. Uznano, że obecny stan cmentarza wymaga pilnego podjęcia prac konserwatorsko-rekonstrukcyjnych. W tym celu powołano dwie mieszane podkomisje: do spraw inwentaryzacji oraz konserwatorsko-techniczną. Strona polska zgłosiła postulat całkowitego wstrzymania chowania zmarłych na Łyczakowie.

Najważniejszym postanowieniem — przyjętym na propozycję strony ukraińskiej — było rozszerzenie kompetencji komisji na wszystkie ukraińskie zabytki sztuki i kultury znajdujące się w Polsce i pamiątki polskie na Ukrainie.

Strona polska planuje w pierwszej kolejności przeprowadzić odnowienie nagrobków osób szczególnie zasłużonych dla Lwowa i polskiej kultury; **Walerego Łozińskiego** (znanego powieściopisarza historycznego), prof. **Leona Pinińskiego** (namiestnika Galicji i wybitnego jurysty), **Benedykta Dybowskiego** (sławnego przyrodnika), **Ksawerego Liske** (twórcy lwowskiej szkoły historycznej, założyciela i pierwszego prezesa Polskiego Towarzystwa Historycznego), **Zygmunta Hałacińskiego** (wielce zasłużonego dla rozwoju czasopiśmiennictwa lwowskiego), **Arnolda Rohringa** (projektodawcy parku Stryjskiego), **Władysława Abrahama** (historyka).

Pod patronatem Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa ma być między innymi odnawiany Cmentarz Orląt. Gromadzone są społeczne fundusze na sfinansowanie prac konserwatorskich. Polacy zatrudnieni na budowach w Związku Radzieckim zadeklarowali po jednym rublu miesięcznie na ten wzniosły cel. Jak dotąd zebrano ze składek społecznych 8 milionów zł, co nie jest sumą zbyt wielką, w stosunku do ogromnych potrzeb.

Reporter „Odgłosów" nie bał się iść samotnie przez most Cipci-Rypci, na którym Murzyni napadają białych.

Zbrodnia w Abidżanie

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Na Wybrzeżu Kości Słoniowej byłem po raz pierwszy w 1981 roku i marynarze mówili wtedy, że w Abidżanie, stolicy kraju i porcie, można łatwo oberwać.

Jest tam most zwany w gwarze matrosów Cipci-Rypci. Nawet w oficjalnych księgach okrętowych ostrzega się przed tym mostem jako pułapką, gdzie wielu białych straciło już życie. Oprócz bezcennego życia można również stracić tam aparat fotograficzny, zegarek i pieniądze, nikt bowiem nie morduje przecież dla samej przyjemności.

Zła fama, która ciążyła na tym moście, nie trafiła do mojej sceptycznej wyobraźni. Chodziłem często ową drogą z portu do miasta i nikt mnie nigdy nie zaczepił, aczkolwiek trzeba od razu powiedzieć, że Murzyni w Zachodniej Afryce są bezczelni i agresywni. Podobnie jak w Senegalu, Gambii, Nigerii, Ghanie, Sierra Leone i Togo, Murzyn zachodnioafrykański w Abidżanie afiszuje się demonstracyjnie swoim czarnym rasizmem, a rasizm w każdym wydaniu jest niebezpieczny.

Kiedy po siedmiu latach ponownie znalazłem się w Abidżanie, znowu wszyscy mówili o moście Cipci-Rypci, była nawet specjalna odprawa dla załogi i pasażerów, podczas której przestrzegano nas przed samotnymi wyprawami do miasta. Bandytyzm rozkwita tam podobno w najlepsze a każda biała morda budzi nienawiść i pragnienie odwetu.

Jeśli chodzi o mnie, problem polega na tym, że lubię samotne spacery. W ogóle jestem odludkiem, rzadko wkładam zegarek, nie mam aparatu fotograficznego który w gruncie rzeczy rozprasza autorów i paraliżuje ich zmysł postrzegania; pieniędzy dużych przy sobie nie noszę z tego prostego powodu, że nie zdążyłem się ich jeszcze dorobić: zatem pomaszerowałem w południe przez most Cipci-Rypci z lekkim sercem i bez trwogi w duszy.

Amerykańska psychologia twierdzi, że ofiara ściąga swojego mordercę, prowokuje go podświadomie i uwodzi. Sądzę, że jest w tym dużo prawdy. Uczucie permanentnego strachu sprawia, że psy atakują przede wszystkim tych, którzy się boją. Ciemnoskórzy marynarze z Tajlandii, Malezji i Singapuru nawet głuchą nocą łażą po dzielnicach portowych w pojedynkę i nie zdarzyło się jeszcze aby zostali zaatakowani przez zgraję Murzynów. Są wysportowani, biegli w różnych azjatyckich odmianach walki przy udziale wszystkich czterech kończyn, pracuje na nich poza tym fama niezwyciężonych mistrzów karate i kung-fu upowszechniana skutecznie przez film i komiksy.

Biały człowiek, aczkolwiek historia Afryki zarzuca mu okrucieństwo, uchodzi w mentalności Murzynów za osobnika miękkiego i tchórzliwego, bez pazurów których pozbawiła go cywilizacja, i w większości wypadków bez mięśni. Jeśli więc trzeba kogoś zamordować, zgwałcić lub ograbić, biały człowiek nadaje się do tego najbardziej.

Wychodząc z portu przez odrutowaną bramę miiasz najpierw bazar z gąszczem straganów które zaopatrzone są lepiej niż „Moda Polska" i „Delikatesy", potem po obydwu stronach ulicy ciągną się na świeżym powietrzu niezliczone fryzjernie gdzie panowie mogą ostrzyc się i ogolić dalej po lewej stronie stoi wielki elewator Grand Moulin d'Abidjan a następnie, za skwerem, zaczyna się już ten most nad szeroką i cichą laguną.

Szedłem więc tym mostem; jeździły przetaczały się samochody, a na chodniku oprócz pieszych zamajaczył nieraz cyklista lub motorowerzysta. Za laguną, u wejścia do miasta, był krótki tunel i tam już naprawdę trzeba było uważać. Jeśli Murzyn przystanął nagle w tunelu udając, że oddaje mocz, bądź zapala papierosa, było to sygnałem dla każdego białego cwaniaka. W takiej sytuacji należy zatrzymać się i poczekać, aż Murzyn załatwi swoje sprawy i wyleziе na światło dzienne.

Za tunelem jest poczta od której zaczyna swój bieg Boulevard de la Republique, główna ulica stolicy. Jest tam również po lewej stronie od poczty restauracja i dworzec kolejowy Abidjan-Niger. Czasami, niczym widmo z minionych bezpowrotnie lat, pojawia się tam na wąskich, wypaczonych przez upały torach pociąg — zabawka o kubaturze łódzkiego tramwaju. Pociąg ma tylko cztery wagony — ostatni jest wagonem towarowym, a pierwszy spełnia równocześnie funkcję lokomotywy. Murzyni, także kobiety i dzieci, rzucają się na ten pociąg z wrzaskiem, co nie stanowi jednak dla Polaka żadnej rewelacji. My też rzucamy się na pociągi z wrzaskiem (nie mówiąc o tym że również gwałcimy i mordujemy) i jeśli pociąg na Wybrzeżu Kości Słoniowej różni się czymkolwiek od naszego rodzimego pociągu, to chyba tylko tym, że ci, którzy nie znaleźli miejsca w środku, podróżują tam w makabryczny sposób na buforach, stopniach i dachach.

Abidżan jest miastem pięknym i przez tych siedem lat mojej nieobecności doczekał się nowych wspaniałych budowli, jakich na próżno byś szukał w Polsce Ludowej.

Oczy trawią nawet architekturę blokową; gmachy użyteczności publicznej: biura, szkoły, ambasady i stadiony są okazałe. Z okazji wizyty Jana Pawła II wzniesiono u końca Boulevard de la Republique wielką nowoczesną katedrę, choć na Wybrzeżu Kości Słoniowej więcej jest wyznawców Mahometa niż Chrystusa, a w wioskach kultywuje się jeszcze gusła, czary i miłość do murzyńskich Bogów. Stoi obok katedry duży pomnik polskiego papieża: innych polskich akcentów brak w Abidżanie. Kraj ten sporo ma do zawdzięczenia Francji, między innymi wspomniana już architekturę, strukturę średniego i wyższego szkolnictwa, silny wymienialny na całym świecie pieniądz oraz, co wydaje mi się najistotniejsze, język. Większość mieszkańców Wybrzeża Kości Słoniowej mówi ze sobą wyłącznie po francusku, i to zarówno na ulicy, jak i w domach. W portach mówi się po angielsku.

Spędziłem owego dnia w mieście sześć bitych godzin pozwalając sobie na krótkie przerwy w eleganckich kawiarniach. Na statek wróciłem już po kolacji, która w portach podaje się o piątej tak, aby kucharze i stewardzi wcześniej mogli skończyć robotę i wyskoczyć na spacer. Wypiłem butelkę wody sodowej i wszedłem pod prysznic, a tu nagle ktoś zaczął łomotać do drzwi. Otworzyłem kabinę i zobaczyłem marynarza pokładowego, Mariana Pfeiffera. Był zdenerwowany. Machnął ręką i powiedział:

— *W porządku.*

Chciał odejść, ale zatrzymałem go.

— Co się stało?

— *Widzieliśmy jak wychodzi pan samotnie do miasta, no więc przyszedłem sprawdzić, czy pan wrócił. Niepokoiliśmy się o pana, bo pokroili nożem jednego gościa.*

— Od **nas?**

— *Nie. Od Ruskich.*

— I gdzie on jest?

— *Na dole, u lekarza. Gołaszewski udziela mu pierwszej pomocy.*

— Marynarz?

— *Tak.*

— Bardzo ładnie, ale dlaczego nie udziela mu pierwszej pomocy lekarz radziecki. Stoją tu przecież dwa sierpy i młoty, a więc powinno być dwóch ruskich konowałów, tak czy nie?

— *Tak, ale ruskie konowały zawieruszyły się gdzieś. Chlają albo robią biznes.*

Zeszliśmy na niższy pokład do ambulatorium i był tam tłok. Było tam kilku Rosjan, kilku Murzynów i kilkunastu Polaków.

Murzyni sprzedawali ananasy i pomarańcze, nie przejmując się wcale incydentem, a Polacy i Rosjanie byli wstrząśnięci. Widziałem ponad ich głowami wnętrze ambulatorium. Na wąskim białym łóżku leżał w szoku drobny, przerażliwie blady Rosjanin, nad którym krzątał się polski lekarz. Bandażował go w okolicach pachwiny próbując powstrzymać obfite krwawienie. Pierwszy oficer MS „Łokietek", Czesław Piotrowski, namierzył murzyńskich handlarzy i wytykając palcem owoce krzyknął:

— *Takie it up and go away!*

Ktoś zawtórował:

— *Wypierdalać!*

Murzyni odeszli bez pośpiechu, a szczupły, wysoki dwudziestoparoletni Rosjanin, przyjaciel rannego, opowiedział, jak doszło do tego wypadku. Szli w czterech przez most Cipci-Rypci w stronę portu, a ten ranny miał ze sobą aparat fotograficzny, chociaż rutyna jest taka, żeby nie zabierać nic na spacer. Podbiegło dwóch Murzynów i jeden strzelił z całej siły nożem, wyszarpując aparat i rzucając się do ucieczki.

— Po co kroił, skoro miał aparat?

— *Żeby utrzymać na moście temperaturę grozy. Poza tym, jak ktoś jest ciężko ranny, to nie goni rabusia. Nie gonią go również towarzysze rannego, bo trzeba udzielić koledze pomocy. On umrze?*

Doktor Gołaszewski wyszedł z ambulatorium i powiedział:

— *Nie wiem, ale rana jest głęboka. Dostał w nerkę, może być uszkodzony miąższ. Trzeba go natychmiast przetransportować do szpitala.*

Pokazał się nagle lekarz radziecki, uśmiechnięty od ucha do ucha i roztaczający wokół czar mocnego alkoholu. Próbował wysztukować parę słów po angielsku, nie szło mu jednak, więc przerzucił się na ruszczyznę. W tym zakresie też nie wygrałby olimpiady szkolnej dla średnio-zaawansowanych. Bełkotał skurwysyn aż miło:

— *To sportowiec, nic mu nie będzie. Na statek go weźmiemy, rebiata.*

— *Jemu nie wolno chodzić!* — zaprotestował Gołaszewski. — *Potrzebny jest samochód.*

Oczy wszystkich spoczęły na Murzynie, agencie portowym. Murzyn wiercił oczyskami które były nieprawe i wredne. Wrzasnął na niego pierwszy oficer:

— *Podstaw pan swój wóz do trapu!*

— *Mój wóz jest za mały, żeby przewieźć rannego* — wykręcał się czarny przechera.

— *To dawaj pan platformę!*

— *Na platformie będzie go trzęsło.*

— *Panie, po cholerę pan tu jest?* — zapytał Piotrowski. — *Po jasną cholerę pan tu w ogóle jest?*

Czarny agent przeraził się, że wyrzucą go na zbitą mordę z roboty i zaczął nagle bawić się w detektywa. Chłopak krwawił, a on wypytywał ruskich matrosów, czy poznaliby bandziora z nożem.

Jasne, żebym go poznał — odpowiedział szczupły wysoki Rosjanin. Mówił śliczną angielszczyzną i sprawiał miłe wrażenie. Był blady ze zdenerwowania i brał agenta poważnie. Ale inni nie brali go poważnie.

— *Powinien natychmiast jechać do szpitala* — powtórzył swoją opinię polski lekarz.

— *Nie da rady* — powiedział agent.

Radziecki konował potakiwał agentowi głową, jakby mu wyrażona przez niego opinia była **na rękę**. Rzadki był, dopraw-dy, skurwysyn z tego konowała. I uśmiechał się, bydlę, bez przerwy. Bohater! Gwizdał na **śmierć** i nie dbał o życie pod warunkiem, że dotyczyło to innych, nie jego. Polskie, a i rosyjskie chłopaki już się poznały na draniu. Któryś szepnął:

— *Trzymajta mnie, bo kopnę w piguły!*

— *Co ty od niego chcesz?* — odezwał się inny. — *On czyni szlachetne wysiłki, aby zaoszczędzić ojczyźnie niepotrzebnych wydatków i dostanie za to medal.*

— *Pies!*

— *Skatina!*

— *Za takie zbrodnie* — zawyrokował brodaty marynarz mając na myśli tragedię na moście — *w Zairze rozstrzeliwuje się publicznie na stadionie. Bandyci biorą to pod uwagę i rzadko kiedy jest rozbój.*

— *W Tanzanii i w Kenii w ogóle nie ma rozbojów.*

— *Co ty gadasz o Afryce Wschodniej! Nawet w nocy nie tkną tam pijaka.*

— *Najgorzej jest w Monrowii.*

— *I w Dakarze.*

— *Pan ma w ogóle zamiar zawiadomić policję?* — zwrócił się Piotrowski do agenta.

— *Tak.*

— *Bo jak nie, to my to zrobimy.*

Widać było, że agent przeklina dzień, w którym matka wydała go na świat. Ileż to roboty! Straciła niezłego podłapał i oświadczył nieoczekiwanie, że zawiezie rannego Rosjanina na macierzysty statek.

Odeszli.

Tego wieczoru poprosił mnie na rozmowę kapitan i otrzymałem zakaz samotnego wychodzenia do miasta.

Nazajutrz poszedłem więc przez most Cipci-Rypci w towarzystwie dwóch członków łódzkiej wyprawy naukowej, docenta Andrzeja Piechockiego i doktora Jerzego Nadolskiego. Minęliśmy się po drodze z grupą radzieckich matrosów i chłopy były zestresowane. Rozglądali się niespokojnie na wszystkie strony, a rozmawiali ze sobą wyciszonymi monosylabami. Jeden trzymał pod koszulą fotograficzny aparat, którego zapewne nie zdołał sprzedać w mieście. Każdy miał na lewej kiści nieopalony ślad po zegarku, a w torbach nieśli cytrusy. Chciałem zapytać ich o los kumpla, ale nie miałem pewności, czy są z tego samego statku, bo, jako się rzekło, w porcie stały dwa narzędziowce.

Wałęsaliśmy się po ulicach, których niekwestionowana uroda i elegancja kłóciła się z obecnością niezliczonych handlarzy, czyniących wysiłki, aby wtrynić turyście pierścionek z tombaku, zegarek albo jakiegoś maszkarona w drewnie. Nad rozłożystą akacją krążyło niestrudzenie ogromne stado latających psów; muzułmanie bili łbem w dywany na chodnikach, a gdzieś z oddali napływał dźwięk spiżowych dzwonów.

W trzy dni później opuściliśmy Wybrzeże Kości Słoniowej.

Popłynęliśmy do dużego francuskiego portu Nantes nad Loarą. Radzieckie statki wcześniej opuściły Abidżan: rozciągnął się nad laguną ponury śpiew matrosów, a holowniki buczały na trwogę.

Ranny został ostatecznie umieszczony w abidżańskim szpitalu. Był w stanie krytycznym. Wiedza medyczna radzieckiego konowała nie sprostała postępowi choroby.

Pocieszaliśmy się, że wyżyje, ale nie mieliśmy na ten temat żadnych informacji. Przekazano nam natomiast wiadomość, że policja schwytała obydwu napastników — tego, co uderzył nożem i tego, który mu towarzyszył.

Marynarze mawiają:

— *Life is brutal and full of zasadzkas.*

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

Dubrownik

Miasto przed zimą.

Żeby było ciepło

Do rozmowy przy prostokątnym stole zasiadłem wraz z zastępcą dyrektora do spraw handlowo-administracyjnych — **Wacławem Gajdą**, głównym inżynierem do spraw eksploatacji sieci — **Stanisławem Wasiakiem**, głównym inżynierem do spraw rozwoju sieci — **Jerzym Piechotą** i kierownikiem wydziału zbytu energii — **Jerzym Polem**. Wszyscy z **Zakładu Sieci Cieplnej**.

— Na termometrach ponad 20 stopni, ale kaloryfery grzeją. Dlaczego?

— Bez przesady — grzeją nawet nie „na pół gwizdka", po drugie — wie pan doskonale, że operacja włączenia bądź wyłączenia całego miasta trwa w idealnych układach 3—4 dni, a oziębienie może przyjść w każdej chwili.

— Wiem, bo o automatyce sterującej ciepłowniczym zaworem możemy tylko pomarzyć. Wiem też że dramatycznie zwiększyła się ilość awarii ciepłowniczych!

— Nie jest ich ani mniej, ani więcej niż zwykle. Może tylko wykopki, które faktycznie przeciągnęły się z letnich remontów takie sprawiają wrażenie. No ale cóż: odeszło sporo ludzi, materiały dotarły w tym roku wyjątkowo późno, wycofało się też z pierwotnie zaplanowanych prac wiele firm państwowych i spółdzielczych.

— Odeszło, bo płaciliście kiepsko.

— Dziś każdy płacze, że mało. A u nas człowiek z kwalifikacjami, z przyzwoitym stażem — „wyciąga" spokojnie 230 tysięcy, z nadgodzinami — do 300 tysięcy miesięcznie. Czy to mało?

— Co to za historia z tym wycofaniem się specjalistycznych firm z wcześniej przyjętych robót?

— Wycofali się też i spółdzielczy wykonawcy, czyli rzemieślnicy. Nie opłacało im się: inflacja sprawiła, że po paru miesiącach za otrzymane pieniądze nie byli w stanie nawet materiałów odkupić...

— Rozumiem, że są odcinki podziemnej sieci, które miały być wyremontowane a nie zostały?

— Owszem, są.

— Gdzie jest największe zagrożenie w czasie zimy?

— To trudno prorokować, ale jest takie miejsce, z którego wycofało się ŁPRI, a gdzie potężna magistrala przechodzi pod torami kolejowymi. Trzymajmy za ten rejon kciuki, bo ta magistrala dla odmiany „trzyma" całą Retkinię...

— Ile średnio w roku wymieniacie kilometrów sieci ciepłowniczej, a ile — powinniście, by spokojnie przetrzymać ciężki sezon zimowy?

— Nie byłby on ciężki, gdybyśmy, niezależnie od innych zdolności, mogli w ciągu roku wymienić do 12 kilometrów rur. Tymczasem w najlepszych latach wymienialiśmy do 7 kilometrów, ostatnio — zaledwie — pięć...

— A łączna długość.

— Około 620 kilometrów, wraz z siecią parową, w tym — uprzedzę od razu pańskie pytanie — jeszcze około 50—60 kilometrów słynnego pianobetonu.

— Ale są przecież odcinki, gdzie jak wiem, rurki leżą w ziemi dłużej niż 25 lat i doskonale się mają.

— To prawda: tak starej sieci wciąż jeszcze mamy w mieście ponad 50 kilometrów. W wielu miejscach, co stwierdzamy w czasie wykopów, jest nadal w niezłym stanie, gwarantującym niezawodne funkcjonowanie przez kolejne 10—15 lat.

— Ile awarii mamy dziś w mieście, oczywiście nie tych drobnych?

— Jak mówiliśmy — średnio, czyli około 30 pozycji. Choćby przy Źródłowej, Narutowicza, Wierzbowej, na Kuraku „wisi" bodajże 18 budynków, dalej...

— Ponoć wzorem Zakładu Energetycznego straszyliście państwowych dłużników wyłączeniami energii cieplnej?

— Czas było już skończyć z tym trwającym od kilku lat bałaganem. Była to zresztą bolączka ogólnokrajowa, czyli „wtórne kredytowanie"; opłacało się płacić kary, zamiast terminowo regulować należności za ciepło. My z kolei — co tu ukrywać — nie płaciliśmy na przykład za węgiel i był moment, że zalegaliśmy na okrągłą kwotę półtora miliarda złotych.

— Piękny wynik, a ile wam zalegano?

— Łączna kwota zadłużeń wynosiła prawie trzy miliardy, tak było jeszcze we wrześniu. Wystarczyła seria telegramów z wyjaśnieniem możliwych konsekwencji i w ciągu miesiąca łódzki przemysł zmniejszył długi, bo jeszcze te kilkadziesiąt milionów pozostało.

— Nie płacą także — podobno — spółdzielnie mieszkaniowe?

— Nie tylko one, kłopot jest z całą sferą budżetową; gdy skończyły się dotacje — zaczęły się problemy. Niektóre spółdzielnie, szpitale, szkoły, a nawet kluby sportowe zalegają spore kwoty.

— Najwięksi dłużnicy wśród spółdzielni mieszkaniowych?

— „Osiedle Młodych" — 184 miliony złotych i „Polesie" — 150 milionów. Nie ma też szpitala, który miałby czyste konto, „Matka Polka" jest nam winna 17 milionów, a RTS „Widzew" — 6,5 miliona złotych. Ze wszystkimi prowadzimy rozmowy, ale w wielu wypadkach pozostały już wkrótce po wyczerpaniu wyznaczonych terminów — wyłączenia...

Rozmawiał:
DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Co kryje się za spółkami w „Uniontexie"?

Rozbiór molocha

1.

Rozbiór **„Uniontexu"**, największego łódzkiego zakładu, pracy dokonuje się bez reformatorskich uniesień, w atmosferze niepewności. Gdy przechodzi się przez hale produkcyjne, na twarzach nie widać żadnego uśmiechu. Kierownicy boją się wychodzić z biura, bo kiedy się pojawią, otacza ich gromadka wypytujących o podwyżkę.

— Zaleciłem — wyznaje szczerze dyrektor naczelny, **Józef Grzegorczyk** — aby nie szwendali się niepotrzebnie po wydziałach, bo po co prowokować? I tak cała kadra zajmuje się tylko tym, jak utrzymać spokój w załodze.

Niedawno dyrektor spotkał się z delegacją kobiet. Zażądały, aby podnieść płace do wysokości 30 procent ogólnych kosztów produkcji. Tak mniej więcej, jak na Zachodzie. Bo na razie jest 18 procent, co we wrześniu dało średnią płacę w granicach 230 tys. złotych.

— Lepiej — odpowiedział — wyjdźcie już na ulicę, niż byście miały strajkować. Na ulicy przestraszycie chociaż władzę, a za strajk i tak nie zapłacę, bo nie mam z czego...

I w takiej atmosferze trzeba ludzi przekonywać, żeby jednak nie uciekali z zakładu, tylko spróbowali inaczej — tu, na miejscu, w **„Uniontexie"**. Jest to przecież potencjalnie bogata firma. Pomoże im założyć spółkę, dołoży do udziałów. Będą się wtedy czuć, jak na swoim, wypychając portfele dywidentami z akcji. W ten sposób, spółka po spółce, otoczą kolejno pierścieniem spółek cały **„Uniontex"**, aż w końcu zostanie z niego jedynie dyrekcja, przekształciwszy się pierwej w holding, czyli — zarząd spółek.

Tak to sobie wyobraża dyrektor **Józef Grzegorczyk**.

2.

Od kiedy sternicy polskiej gospodarki postawili na liberalizację, a ostatnio — prywatyzację, nieomal wszędzie ruszono do tworzenia spółek. O skali zjawiska świadczy fakt, że **V Wydział Cywilny Sądu Rejonowego w Łodzi** tylko w pierwszym półroczu 1989 roku przyjął ponad 500 wniosków o rejestrację.

Łódzkie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju „Uniontex" mają udziały już w kilkunastu spółkach z innymi fabrykami i instytucjami, tak polskimi, jak i zagranicznymi, a także z udziałem osób prywatnych. Niektóre z nich już działają, inne — rozpoczną działalność w najbliższej przyszłości, jeszcze inne są na razie w planach.

— Jesteśmy otwarci na wszelkie propozycje, które mogłyby przynieść nam dodatkowy zysk — mówi naczelny **„Uniontexu"** — szczególnie zaś ze strony kapitału zagranicznego, gdyż stwarza to szanse unowocześnienia parku maszynowego. Jest on przestarzały i w znacznym stopniu powinien ulec wymianie, jeśli chcemy być konkurencyjni na światowych rynkach.

Dyrektor **Józef Grzegorczyk** wyjaśnia, że obowiązujący system podatkowy jest dla państwowych przedsiębiorstw zabójczy. Odprowadzają one do Skarbu Państwa ponad 80 procent zarobionych pieniędzy. W efekcie, pozostałe w zakładzie środki na modernizację, remonty i inwestycje w minimalnym stopniu odpowiadają potrzebom. Te zaś są ogromne, gdyż większość fabrycznych budynków pamięta jeszcze czasy „Ziemi obiecanej", a na niektórych maszynach widnieje data ich produkcji z przełomu XIX i XX wieku. Nie trzeba dodawać, że nowe maszyny sprowadzane są prawie wyłącznie za dewizy. Stąd jedyna nadzieja w spółkach z kapitałem zagranicznym, które — eksportując swe wyroby — zatrzymują 65 procent dewiz, które — w proporcji do udziału **„Uniontexu"** — przeznaczone być mogą na zakup nowoczesnych maszyn. Niestety, rozmowy z zagranicznymi kontrahentami nie są łatwe, gdyż to, co odpowiada stronie polskiej, wcale nie musi zadowalać tamtych, i na odwrót.

„Uniontex" ma przede wszystkim do zaoferowania wolne powierzchnie w budynkach oraz częściowo — stosunkowo tanią siłę roboczą, choć z tym jest coraz gorzej, jako że ludzie im po prostu uciekają. W 1989 roku odeszło na przykład aż 700 osób — głównie młodych, najbardziej dynamicznych. Oczekuje zaś od potencjalnych współudziałowców głównie nowoczesnych maszyn i technologii. Same pieniądze już się nie liczą.

— Zgłosiła się — opowiada dyrektor **Józef Grzegorczyk** — firma prywatno-państwowa, chcąca utworzyć z nami spółkę, która przejęłaby przędzalnię cienką. Zgodziliśmy się, ale pod warunkiem wniesienia 6 mld zł w dewizach w postaci zakupionych maszyn, co pozwoliłoby z miejsca potroić produkcję. Firma wycofała się z propozycji. Z kolei „Westa" pragnie przystąpić do spółki, oferując 5 mld zł wkładu, ale i z tego chyba nic nie będzie.

Dodatkową przeszkodę stanowi konieczność wydzielenia zamkniętej powierzchni dla spółek, które nie mogą przecież działać wewnątrz przedsiębiorstwa. I tak można by na przykład oddać jakiejś spółce aż półtora hektara pod dachem w tkalni „C", ale nie sposób tego odgrodzić od reszty i sprawa upada.

Z kolei firmy zagraniczne, które stać na wejście do spółki z odpowiednim aportem maszynowym, boją się wciąż zbytniego zaangażowania, czekając na stabilizację i ustawę o prywatyzacji majątku państwowego. Dlatego, choć do dyrekcji **„Uniontexu"** zaglądali już biznesmeni z Wielkiej Brytanii, Włoch, Kanady i Japonii, utworzono dopiero dwie spółki z kapitałem zagranicznym, z których jedna (polsko-kanadyjska) już działa, a druga (polsko-włoska) jest w stadium organizacji, czekając na zarejestrowanie.

3.

Spółki interesują nie tylko dyrekcję, ale również załogę przedsiębiorstwa. Nic więc dziwnego, że kiedy na początku sierpnia 1988 r. strajkowa fala dotarła do **„Uniontexu"**, wśród postulatów przedstawionych przez komitet strajkowy pojawiło się żądanie, aby **„wyjaśnić sprawę spółek"**. Wyjaśnieniem miał być zamieszczony w gazecie zakładowej artykuł **Romana Karbowiaka** — ówczesnego pełnomocnika dyrektora ds. spółek, zatytułowany: „W odpowiedzi na postulat nr 12". Pracownicy **„Uniontexu"** mogli przeczytać w nim, że w chwili obecnej przedsiębiorstwo jest uczestnikiem 13 spółek już działających, bądź będących w końcowej fazie powstania. Zastrzegając się, iż nie sposób w krótkim arykule wymienić wszystkich spółek, w które zaangażowany jest **„Uniontex"**, autor ograniczył się do kilku przykładów. I tak, np:

1. **„Wzórtex"** S-ka z o.o. Powstała na bazie łódzkiego oddziału **Centrum Wzornictwa Przemysłu Chemicznego i Lekkiego**, działa od lipca 1988 roku. Jej udziałowcami obok **„Uniontexu"** są: **ZPW „Welux"** w Bielsku-Białej, **„Haft"** w Kaliszu i **„Uniprot"** w Łodzi. Kapitał zakładowy wynosi ponad 60 mln zł, w tym **udział „Uniontexu" — 10 mln zł.** Spółka produkuje wysokiej jakości odzież damską.

2. **Łódzki Bank Rozwoju Spółka Akcyjna**, w którym **„Uniontex"** (jeden z członków — założycieli) posiada akcje w wartości nominalnej 50 mln zł. Kapitał założycielski spółki wynosi 1 mld zł. Jako jeden z założycieli banku — **„Uniontex"** ma pierwszeństwo w uzyskiwaniu kredytów na korzystniejszych warunkach niż kredyty z NBP. Różnica jest znacząca, bowiem wynosi aż 12 procent. Począwszy od 1989 roku przedsiębiorstwo uzyskuje dywidendy od swego udziału.

3. **Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Uspołecznionego Spółka** z o.o. Powstało w czerwcu 1989 roku z inicjatywy dziewięciu łódzkich zakładów (m.in. **„Ema-Elester"**, **„Uniontex"**, **„Wizamet"**, spółdzielnia **„Bawełna"**, Zakłady Metalowe im. J. Strzelczyka). Celem podstawowym spółki jest przynajmniej częściowe rozwiązanie ogromnie palącego problemu mieszkaniowego. Pierwszych efektów (tj. mieszkań) można oczekiwać na przełomie 1990/1991 r.

4. **„Unofpo"** S-ka z o.o., która swą działalność rozpoczęła w I półroczu 1989 r. zamierza zagospodarować powstające w przedsiębiorstwie odpady produkcyjne oraz wyroby niepełnowartościowe. Kapitał zakładowy spółki wynosi około 3,3 mln zł. Z czego **„Uniontex"** posiada 51 procent, a resztę osoby fizyczne — głównie pracownicy przedsiębiorstwa. Przewidywany przez kierownictwo spółki zysk do podziału powinien zamknąć się kwotą 15 mln zł, z czego 8 mln zł zasili kasę **„Uniontexu"**.

5. **P.P.H. „Lomonta"** Spółka z o.o. — z udziałem kapitału zagranicznego, która swą praktyczną działalność rozpocznie w IV kwartale 1989 r. na bazie dotychczasowego Wydziału Konfekcji. Kapitał zakładowy spółki wynosi 361 mln zł, w tym 220 tys. dolarów kanadyjskich. **„Uniontex"** posiada 46 proc. udziałów w spółce. Udziały przekazane są w formie aportu rzeczowego (powierzchnie produkcyjne, magazyny i urządzenia). Pozostałymi wspólnikami są **„Textilimpex"** S-ka z o.o. i **„Dalimpex"**. Ltd. Przedmiotem działania spółki będzie produkcja bielizny pościelowej, ręczników, obrusów oraz konfekcji z tkanin i dzianin. Spółka prowadzić będzie również działalność eksportowo-importową.

Tyle artykuł, który kończy się następującym stwierdzeniem: „Dalsze zamierzenia przedsiębiorstwa w zakresie tworzenia nowych spółek (...) są szerokie. Jednak omówienie tych planów przekracza ramy niniejszej publikacji".

4.

Zarówno dyrekcja, jak i rada pracownicza **ŁZPB im. Obrońców Pokoju** uważają, iż załoga informowana jest w wystarczającym stopniu o powstających spółkach, zaś artykuł **Romana Karbowiaka** — obecnie prezesa **„Lomonty"** — powinien był rozwiać wątpliwości, jeśli takowe istniały. Wszystkie spółki utworzono przecież na mocy obowiązującego prawa i nic podejrzanego za nimi się nie kryje. Nie ma przypadków wyprzedaży majątku przedsiębiorstwa prominentnym osobom (tzw. uwłaszczenie nomenklatury) ani też nie prowadzi się pośrednictwa, które ogranicza się do podbijania ceny. Na to nikt by w **„Uniontexie"** nie poszedł — przekonuje **Jan Adamski**, wiceprzewodniczący rady. Trudno natomiast na razie powiedzieć jak wygląda działalność większości owych spółek, a to dlatego, że nie zdążyły jeszcze rozwinąć skrzydeł. Trzeba dać im na to czas, a potem dopiero oceniać.

5.

Dyrektor **Józef Grzegorczyk** nie zna wszystkich szczegółów, więc o szczegółach powie jego pełnomocnik ds. spółek. Po to jest. On natomiast może bardziej ogólnie, co nie znaczy, że ma przed prasą coś do ukrycia. Ma tylko wątpliwości, czy warto zajmować się tymi wszystkimi małymi spółkami, które w porównaniu z potencjałem całego przedsiębiorstwa nie mają na razie większego znaczenia? Tak naprawdę liczy się tylko **„Lomonta"** oraz udział w **Łódzkim Banku Rozwoju**, a dołączyć do nich może jeszcze projektowana spółka z Włochami. Wpływy z pozostałych to dla **„Uniontexu"** raczej margines. Ale — oczywiście — dobrze że istnieją, choć nie zawsze chodzi wyłącznie o zyski. Na przykład **„Unofpo"** zajmuje się m.in. zagospodarowaniem żużla z zakładowej kotłowni, którego przedtem nie miał kto nawet wywieźć z zakładu. W tym przypadku najważniejsze więc, że **„Uniontex" pozbył się wreszcie kłopotu.**

Nawiasem mówiąc, takich kłopotów w **„Uniontexie"** jest więcej. Dyrektor nie miałby nic przeciwko temu, aby w spółkę przekształciła się chociażby zakładowa kotłownia. Jej pracownicy nie wyrazili jednak na razie większego zainteresowania. Właściwie to wszystkie wydziały pomocnicze mogłyby przekształcić się w spółki, świadczące usługi nie tylko **„Obrońcom Pokoju"**, ale i innym fabrykom, czy instytucjom. Na pewno poprawiłoby się dzięki temu efektywność ich pracy i wzrosłyby zarobki. Niestety, zdaniem dyrektora odważnych wśród załogi jak na lekarstwo. Młodsi wybierają sektor prywatny, a starsi wolą pracować po staremu: godzą się nawet z niskimi zarobkami, byle tylko — bez ryzyka, współodpowiedzialności i utraty świadczeń socjalnych. Tych, co odważyli się zaryzykować, obserwują z nieufnością, podejrzewając ich o niecne kombinacje.

6.

Zbigniew Zalewski, I sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR w **„Uniontexie"** dopiero od września 1989 r. jest pełnomocnikiem ds. spółek. Nie potrafi więc wymienić ich wszystkich z pamięci, a o niektórych ma jakby mgliste pojęcie. Możliwe jednak, iż sprawia jedynie takie wrażenie. Twierdzi, że nie dysponuje jeszcze wszystkimi dokumentami. Pomimo to stara się pomóc w ustaleniu kompletnej listy spółek, która — obok wymienionych już wcześniej w gazecie zakładowej — zawiera również takie pozycje, jak: **„Ital-Union Trading"** (z Włochami) oraz **„Imexpol"**, **Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłu Lekkiego „Południe"** spółka z o.o., **„Textilimpex"**, **„Lodimpex"**, **Łódzki Kombinat Budowlany „Wschód"** oraz **„Union-Procom"**.

Ponadto — informuje — przedsiębiorstwo ubiega się o udział w **„Confeximie"**, **Banku Rozwoju Eksportu** oraz w będącej dystrybutorem-monopolistą części zamiennych do radzieckich krosien STB spółce **„Textilservice"**, której udziałowcy płacą za owe części o 40 proc. mniej niż pozostali odbiorcy. Do działania przygotowuje się również **„Unionfarb"** — spółka, inicjatorem utworzenia której jest zakładowy Komitet NSZZ „Solidarność".

7.

— Tak, to prawda, zamierzamy utworzyć spółkę — przyznaje **Norbert Winerowicz**, mistrz w przędzalni odpadkowej, przewodniczący ZK NSZZ „Solidarność" w **„Uniontexie"** — brakuje nam funduszy na działalność związkową i świadczenia socjalne dla naszych członków, postanowiliśmy je więc uczciwie zarobić. Chcemy być naprawdę niezależni — także finansowo.

Spółka będzie zajmować się bieleniem, barwieniem i przewijaniem przędzy. Pomieszczenia i maszyny wydzierżawi od przedsiębiorstwa, które ma w niej 29 procent udziałów. Z pozostałych — 18 procent wykupi ZK „Solidarność", a 53 procent — przyszli pracownicy, obecnie jeszcze na etatach **„Uniontexu"**. Ze wstępnych szacunków wynika, iż **„Unionfarb"** w pierwszym roku działalności powinien wypracować około 200 mln zł zysku, licząc w cenach z czerwca br., co przy kapitale założycielskim w wysokości 8 mln zł nie jest wcale sumą małą. Licznik może zacząć bić lada dzień, pozostały do załatwienia ostatnie formalności. Gdyby ZK posiadał osobowość prawną, zapewne już byłyby one załatwione. Trzeba jednak poczekać na rozstrzygnięcia, jakie zapadną na szczeblu KKW w Gdańsku.

— A jak oceniacie działalność innych spółek z udziałem „Uniontexu"?

— Otóż to! Nie wiemy nawet, ile dokładnie ich jest, kiedy powstały, czym się zajmują i kto za nimi stoi. Próbowaliśmy dowiedzieć się tych rzeczy w dyrekcji, ale — jak dotąd — bezskutecznie. Praktycznie możemy powtarzać jedynie to, co było napisane w naszej gazecie zakładowej, oraz — krążące wśród ludzi plotki. Nie mamy pewności, czy są one prawdziwe. Musimy to dopiero sprawdzić. Jesteśmy zaniepokojeni, że dyrekcja i rada pracownicza robią wokół spółek tajemnicę.

8.

Swoją spółkę ma również konkurencyjny związek zawodowy, należący do centrali OPZZ. Udziały **„Celpolu"** są własnością trzech organizacji zakładowych — z **„Uniontexu"**, **„Stomilu"** i **Spółdzielni Pracy „Zjednoczenie"**, oraz **Wojewódzkiego Porozumienia Związków Zawodowych** i wszystkie są równe po 500 tys. zł każdy.

— Na razie — wyjaśnia przewodnicząca NSZZ Pracowników ŁZPB im. Obrońców Pokoju, **Barbara Bujak** — spółka prowadzi jedynie sklep przy ulicy Fornalskiej, zaopatrywany głównie w towary z zakładów, w których działają tworzące ją związki. Dzierżawi też dwie maszyny dziewiarskie, mające być zaczątkiem działu produkcji. Zaczynamy skromnie, co będzie dalej — zobaczymy. W każdym razie chcemy jakoś na siebie zarobić.

— A jak widzicie działalność spółek z udziałem „Uniontexu"?

— Jak najlepiej. Nie mamy zastrzeżeń.

— To znaczy, że jesteście dobrze poinformowani?

— Tak.

— O spółkach z udziałem osób prywatnych również?

— Nie, u nas przecież nie ma takich.

— Czyżby?

— Ja w każdym razie nie słyszałam.

Dokończenie w następnym numerze.

ANDRZEJ GĘBAROWSKI
PAWEŁ TOMASZEWSKI
(spółka z o.o.)

Uniontex: OPZZ, „Solidarność" i reszta.

Remis ze wskazaniem

Najpierw był „Stomil" i „Polmerino". Po kilku dniach ciszy **„Uniontex"**. Pracownice przędzalni odpadkowej Łódzkich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju przyniosły do przewodniczącej OPZZ swojego wydziału pismo ze słowami solidarności z martwiącymi się o swoje domowe budżety kobietami łódzkiego, wcale nie lekkiego przemysłu lekkiego. Jest pod nim 57 podpisów złożonych rękami nawykłymi do dźwigania ciężkich siat, masującymi „krzyż" po długich godzinach życia spędzonych w koszmarnych kolejkach. W jednych kolumnach solidarnie stoją obok siebie podpisy tych z OPZZ, „Solidarności" i niezrzeszonych.

Później niemoc znów przyczaiła się na kilka dni, by 11 października 1989 r. dać o sobie znać odezwą podpisaną przez ponad 90 kobiet. Przekazanie jej **Barbarze Bujak**, przewodniczącej NSZZ Pracowników „Uniontexu" odbyło się w szczerej, serdecznej i pełnej zrozumienia atmosferze i słowa te, choć trochę się zdyskredytowały, w gabinecie przewodniczącej nabrały znów waloru prawdziwości. Tego samego dnia odezwa znalazła się na biurku dyrektora naczelnego „Obrońców Pokoju", a dzień później podpisana **„kobiety z Uniontexu"** została opublikowana w „Głosie Robotniczym" i odczytana w „Łódzkich Wiadomościach Dnia".

I po raz trzeci, po kilku dniach bez protestów ogłaszanych drukiem, ukazało się w „Dzienniku Łódzkim" oświadczenie. Tym razem Zakładowej Komisji NSZZ „Solidarność" przy ŁZPB im. Obrońców Pokoju. Zarzuca się w nim kobietom, które podpisały odezwę, że pracując tylko na jednym z wielu oddziałów „Uniontexu" nie mają prawa reprezentować interesów całej załogi. Przy „smażeniu" tego oświadczenia popełniono jednak nieścisłość pisząc, że odezwę podpisało około 50 osób. Zapomniano przy tym jakoś o pierwszej, nie publikowanej w prasie codziennej odezwie, a ją, ponieważ też wyrażała niezadowolenie i wiązała się ze sprawą, należało również uwzględnić.

Dalej było — to dla osób, które nie czytały oświadczenia „Solidarności" — kilka słów sprzeciwu „stawiania zdrowia naszych sióstr, żon i matek na szalę taniej popularności (...)". Były także słowa o innych formach protestu z bardzo ryzykownym zwrotem: „(...) żaden ewentualny prowokator nie doprowadzi do tragedii".

Kiedy spytałem **Norberta Winerowicza**, przewodniczącego „Solidarności" przy ŁZPB, dlaczego kobiety z odezwą poszły do OPZZ, a nie do „S" usłyszałem odpowiedź, że w tym dniu nie było go w zakładzie, a poza tym nie może brać odpowiedzialności za poczynania swojego zastępcy. Prośba o wyjaśnienie, kto i po co ma prowokować kobiety grożące wyjściem na ulicę spotkała się z odpowiedzią jak powyżej zakończoną konkluzją, że **„ten temat został już przeze mnie zamknięty"**.

Natomiast co do żądania 30 procent udziału płac w cenie wyrobu, zgodziliśmy się, że wcale nie jest ono zawyżone i, jak napisano w oświadczeniu „Solidarności" — „śmieszne", bowiem w krajach najwyżej rozwiniętych udział płac w cenie wyrobu wynosi przynajmniej 30 procent, sięgając czasami ponad 45 procent, tak jak ma to miejsce na przykład w Kanadzie. Szkoda tylko, że nie wiedział tego zastępca przewodniczącego, **Eugeniusz Szydzisz**, który oświadczenie emitowane przez zakładowy radiowęzeł firmował swoim nazwiskiem.

Odpowiedzi na pytanie, dlaczego pracownice **„Uniontexu"** przyszły z odezwą do OPZZ, a nie „Solidarności" należy szukać — myślę — w zakładowej statystyce tych dwóch związków. W szeregach OPZZ jest 57 procent osób pracujących w ŁZPB, natomiast 500 osób stanowiących zaledwie 1/10 załogi, wpłacających składki do kasy „Solidarności" zdaje się świadczyć o czymś zupełnie innym niż jej popularności w zakładzie.

20 października 1989 r. w zakładowej gazecie „Tydzień w Uniontexie" ukazało się jeszcze jedno oświadczenie „Solidarności", które jednak tym razem nie znajdzie się na łamach łódzkich dzienników — **„żeby nie zaogniać konfliktu w załodze"**. Różni się od tego z „Dziennika Łódzkiego" tylko tym, że zlikwidowano w nim zdanie dotyczące śmieszności żądanych podwyżek. Reszta pozostała bez zmian.

Żeby być sprawiedliwym, koniecznie trzeba napisać, że w obydwóch swoich oświadczeniach „Solidarność" zgadza się **„z określeniem sytuacji ekonomicznej wszystkich pracowników** „Uniontexu" **jako bardzo ciężkiej"** oraz **„Żądamy również od obecnego rządu jak najszybszego rozwiązania naszych wspólnych problemów (...)"**.

Obydwa związki w **„Uniontexie"** mają za sobą pierwsze starcie. Niektórzy, nie najlepsi sprawozdawcy sportowi mówią o remisie ze wskazaniem. W ŁZPB jest podobnie — wskazanie na OPZZ, które w wyniku wyciszania niebezpiecznej erupcji ludzkiego niezadowolenia, niekorzystnego dla rządu Tadeusza Mazowieckiego, nie tylko nie zyskuje nowych zwolenników, ale — jakby czasami — traciła to, co do tej pory zyskała. Jest to oczywiście z korzyścią dla OPZZ, które w tej chwili może pokazać swoją odwagę i zmienić oblicze na, miejmy nadzieję, bardziej radykalnego obrońcę interesów ludzi zatrudnionych w polskiej gospodarce, zyskując w takiej sytuacji nowych członków, sympatyków i zwolenników.

Na 15 listopada 1989 r. zapowiedziana jest w Łodzi wizyta ministra pracy i polityki socjalnej **Jacka Kuronia**, który również odwiedzi Łódzkie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju, ale któremu chyba nie uda się zneutralizować nieprzyjemnego zapachu, jaki powstaje podczas tarć — w tym przypadku „Solidarności" i OPZZ.

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

Cmentarz

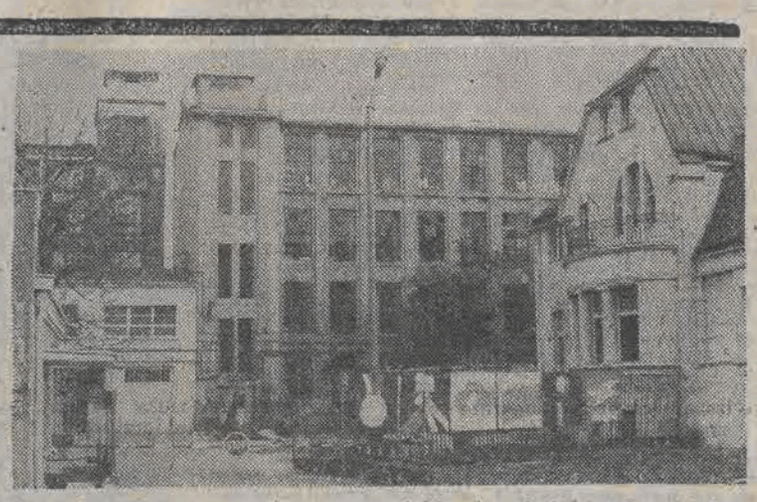

MAJED: Co ma zrobić dyrektor, który utracił zaufanie załogi?

A może obejdzie się bez taczek

Kiedy 29 września 1989 roku robotnicy **Łódzkiej Fabryki Maszyn Jedwabniczych „Polmatex-Majed"** odkręcili kurki w kranach, aby się umyć po pracy i nie poleciała z nich ani kropla jakiejkolwiek wody, do zakładowego komitetu „Solidarności" dotarł groźny pomruk:

— Taczki są już przygotowane!

Niebezpieczne głosy i groźba wybuchu niezadowolenia zostały wyciszone dla dobra zakładu. Całe szczęście, że np kompresory mają zamknięty obieg wody gdyż w przeciwnym razie uległyby zniszczeniu, co mimo inflacyjnych upodobań złotówki — przyniosłoby wielomilionowe straty. W poniedziałek 2 października 1989 r pierwsza zmiana mogła już się umyć.

Nieco wcześniej, bo 14 lipca 1989 roku nad **„Majedem"** wisiało inne niebezpieczeństwo — przyczyny podobne jak w przypadku wody. **Zakład Energetyczny Łódź-Miasto** postawił fabryce ultimatum — jeżeli do 19 lipca nie zostanie uregulowany rachunek za energię elektryczną, a było tego 11 milionów złotych, to 20 lipca **„Majed"** zostanie pozbawiony dopływu prądu. I nie wystarczyło złożenie odpowiednich dokumentów w banku. Koniecznie trzeba było dostarczyć do ZE potwierdzenie bankowe, że wpłaty dokonano. Zresztą **„Polmatex-Majed"** jest raczej stałym dłużnikiem miejskich elektrowni. Za czerwiec, a następnie lipiec zapłacono we wrześniu, zaś 14 września minął termin wpłaty ponad 4,5 miliona złotych za sierpniowe „światło". Jak będzie z rachunkami za wrzesień czas pokaże.

A wszystko to nie stało się nagle i nie spadło na **„Majed"** jak grom z jasnego nieba. Kiedy to się zaczęło trudno jednoznacznie dociec. Niektórzy twierdzą, że to dziedzictwo czasu, jaki minął od zatknięcia flag braterskich narodów na Bramie Brandenburskiej i zmiany ustroju w Polsce. Wiadomo natomiast że sposób gospodarowania i zarządzania zakładem bardzo niepokoił „Solidarność" w **„Majedzie"** i ta 17 sierpnia 1989 roku skierowała pismo do dyrekcji zakładu. Zawierało ono żądania podwyższenia płac nie mniej niż 100 procent, licząc od wynagrodzenia zasadniczego oraz dokonania analizy zasadności funkcjonowania spółek w zakładzie.

W tym miejscu należą się Czytelnikom wyjaśnienia, że **„Majed"** jest „wmieszany" we współpracę z kilkoma spółkami, wśród których dwie, bardzo niepokojące członków „Solidarności" i nie tylko, to **„Polmasz"** i **„Intex-masz"**. W tej pierwszej 51 procent udziałów ma **„Majed"**, resztę osoby prywatne wśród których jest zastępca dyrektora do spraw produkcji i były dyrektor przedsiębiorstwa. Każdy z nich ma po 7 procent udziałów. Druga spółka jest organizacyjną kalką **„Polmaszu"** — właścicielem 51 procent udziałów jest **„Polmatex-Majed"**, resztę mają osoby prywatne, wśród nich trzech zastępców dyrektora i kierownicy różnych działów w przedsiębiorstwie.

Załoga fabryki odnosi wrażenie, że od czasu kiedy dyrekcja **„Majedu"** stała się udziałowcem spółek, interesy **ŁFMJ** jakby zeszły na plan dalszy. Zresztą trudno się dziwić załodze, bo cóż innego można podejrzewać w przypadku, kiedy kierownik działu głównego mechanika zleca przegląd i konserwację urządzeń spółce **„Intex-masz"**, której sam jest prezesem. I właśnie po to, aby się dowiedzieć, jakie szkody lub rzeczywiste zyski przynosi **„Majedowi"** działanie tych dwóch spółek na jego terenie, pracy jego maszynami i jego ludźmi, „Solidarność" zażądała analizy ich działalności.

Po żądaniach następowały postulaty, wśród których załatwiony do końca, ale jakby „coś nie tak" pozostał jeden: **„uzyskiwania aprobaty Rady Pracowniczej dla osób mających wyjeżdżać na montaż za granicę"**.

Na odpowiedź dano dyrekcji czas do 21 sierpnia 1989 r., do godziny 8 rano. Po tym terminie, w przypadku braku porozumienia stron, załoga miała przystąpić do akcji protestacyjnej ze strajkiem włącznie. Do tej ostateczności jednak nie doszło, gdyż w dniu kiedy upływał termin odpowiedzi przedstawiciele załogi spotkali się z dyrekcją fabryki. Rezultatem rozmów było wytargowanie podniesienia płac o 65 procent i ustalenie, że wszystkie pozostałe żądania i postulaty będą negocjowane i egzekwowane.

29 sierpnia 1989 r. dyrektor **Łódzkiej Fabryki Maszyn Jedwabniczych „Polmatex-Majed"** przesłał do „Solidarności" pismo, w którym przytoczył wszystko to, co na temat żądań i postulatów uchwaliła Rada Pracownicza na posiedzeniu odbytym 8 dni wcześniej. Są w nim słowa pochwały za **„działalność dyrekcji w zakresie wynagrodzeń"**, a także zalecenia dla dyrektora **„Majedu"** magistra inżyniera **Zygmunta Stożka „(...) takiego realizowania zadań planowych, aby zapewnić maksymalne wyniki przedsiębiorstwa"**.

W sprawie drugiego żądania — przypomnijmy: analiza zasadności funkcjonowania spółek w zakładzie — Rada Pracownicza podjęła uchwałę akceptującą decyzję dyrektora Zygmunta Stożka **„przyjmując jako zasadę niezatrudniania pracowników** „Majedu" **w spółkach, spółdzielniach, przedsiębiorstwach i innych podmiotach gospodarczych wykonujących pracę na rzecz „Majedu" i na jego terenie"**.

Kwestię wyjazdów na zagraniczne montaże Rada Pracownicza „załatwiła" opinią, że **„decyzja kierowania odpowiednich pracowników na służbowe wyjazdy zagraniczne leży w kompetencji dyrektora przedsiębiorstwa"**. I niby wszystko w porządku, tyle tylko, że ani Rada Pracownicza, ani **dyrektor** jakoś nie mogą (?) zrozumieć, iż chodzi o to, aby nie zdarzały się sytuacje, że pan Iksiński wyjeżdża do strefy dolarowej trzy razy do roku, a pan Igrekowski raz na trzy lata do „kadeelów". Żeby nie zaszło podejrzenie partactwa, dodam, za moimi informatorami, że zarówno Iksiński jak i Igrekowski są jednakowo znakomitymi fachowcami.

Aby nie być posądzonym o przytaczanie opinii tylko jednego środowiska należą się Czytelnikom słowa o stanowisku PZPR i OPZZ. Stosunki i dążenia majedowskich PZPR i „Solidarności" przypominają koalicję, ale zgoła odmienną niż ta przy ulicy Wiejskiej. Natomiast relacje „Solidarność" — OPZZ i zamiary ich współdziałania doskonale ilustruje wypowiedź przedstawicieli OPZZ w **„Majedzie"** opublikowana w „Związkowcu" z 1 października 1989 roku: **„Kto był mocniejszy, ten dostał więcej. (...) Teraz mamy kaca moralnego w porównaniu z tym, co się dzieje na rynku. To, co nam się udało wynegocjować z dyrekcją, zdewaluowało się"**.

Dzisiejszą sytuację i nastroje panujące w **Łódzkiej Fabryce Maszyn Jedwabniczych „Polmatex-Majed"** tylko szalony optymista mógłby nazwać unormowaną. Poprzez szum tokarek, frezarek i hałasy z odlewni coraz wyraźniej można usłyszeć: **„wotum nieufności"**. Dyrektor **Zygmunt Stożek** zapytany, co zrobi gdyby je otrzymał odpowiedział:

— A co może zrobić dyrektor, do którego załoga nie ma zaufania? Tylko zrezygnować.

LUBOMIR NOSKOWSKI

MARIA BUDZIAREK-MACIEJCZYK

Glosa

Niech mi dłoń która pisze —
Ziemio moja
w obrysie śmiało rozpiętych
skrzydeł — Gniazdo nasze

Komu jak nie tobie te pieśni
Komu jak nie tobie myśli
dobre a nawet i złe — Te —
kamieniem ścierać będę na pył
i zasilę glebę jak żyłami
ciało — wodami solami
dolomitami — i bezgłośnie
w zieleń zaklnę — nowego życia

Niech mi dłoń która pisze —

Ziemio moja
pamięcią wieków obrosła w czułe
pejzaże — Gniazdo nasze

Tobie z szarości wyłuskuję słońce
Tobie od świtu niosę w trudzie chwałę
Bo jeśli nawet cierpiałaś klęskę —
to w bólu nieszczęść — jawiłaś się
silna —
wiarą milionów wolą zwycięstwa —
Niech tylko od zła ustrzeżone ręce
w które wrosłaś miłością — ślepo
nie orzą skiby — twojego jutra —
Ziemio moja Nasza

25 stycznia 1989

Półka z książkami

POKOLENIA LITERACKIE

Kazimierz Wyka pozostawił po sobie bogate archiwum (zmarł w 1975 r.), z którego pochodzi także prezentowana tu książka nosząca tytuł **„Pokolenia literackie"**. Dla Wyki ten termin posiadał kapitalne znaczenie: uważał bowiem, iż ani pisarze, ani historycy nie mogą pomijać tak ważnego faktu, jakim jest teoria pokoleń. W sumie książka, przygotowana przez **Henryka Markiewicza** i **Martę Wykę**, nie jest przeznaczona dla przeciętnego czytelnika literatury pięknej, natomiast powinna znaleźć się w księgozbiorze każdego polonisty, pisarza i badacza dziejów kultury.

Kazimierz Wyka: Pokolenia literackie. WL 1989. Str. 304. Cena 1.750 zł.

PORTRET NIETYPOWY

Od czasu do czasu pojawiają się książki pisane przez wdowy po sławnych ludziach. Do tej grupy dołączyła **Wincentyna Wodzinowska-Stopkowa** ze swoją opowieścią o znakomitym scenarzyście, rysowniku, malarzu **Andrzeju Stopce**. Jest to bardzo osobista, a przecież mocno osadzona w realiach naszego życia, opowieść o niezwykłym człowieku i o ludziach, którzy zaznaczyli swoją obecność w powojennej kulturze kraju. Całość bogato jest zilustrowana fotografiami oraz rysunkami Andrzeja Stopki.

Wincentyna Wodzinowska-Stopkowa: Portret artysty z żoną w tle. WL 1989. Str. 220. Cena 920 zł.

E. I.

Rodzime Campo Santo

Cmentarz to — jak ktoś powiedział — miejsce ostatniego schronienia człowieka, u którego bram utraca światowe znaczenie każdy — człowiek najmędrszy i prostaczek, bogaty i biedny. Tu bowiem, za cmentarną bramą, niweluja się wszelkie na świecie wyższości...

Cmentarz to jedyne, co towarzyszy każdej siedzibie ludzkiej. Jedyne miejsce, na którym kończy się żywot wielkich i małych, cichych i nieznanych, zwykłych ludzi i głośnych za życia, godnych pomników — miejsce, na którym spoczywają nasi najbliżsi i nieznani, zmarli przed dziesiątkami lat, przed rokiem, miesiącem i wczoraj; ludzie którzy zapisali się ledwie w pamięci najbliższych i ci, którzy swoim życiem wnieśli największe wartości. Święto Zmarłych jest tym dniem w roku, który skłania każdego, by wrócił wdzięczną pamięcią do będących po tamtej stronie cienia, by — wspominając bliskich — wspomniał i utrwalił w pamięci tych, których znaczące dzieje życia oddalił czas.

Mamy w naszym mieście cmentarze, po których wędrując nieomal na każdym kroku znajdujemy nazwiska nierozerwalnie związane z naszą historią, historią miasta i jego kultury. Takim rodzimym, łódzkim Campo Santo jest Stary Cmentarz liczący już sobie ponad 130 lat. Blisko 9-hektarową powierzchnię (zakupiona za 650 rubli zebranych ze środków magistrackich i datków ponad 600 znakomitych mieszkańców miasta) podzielono na trzy nierówne części — największą katolicką, we wschodnim fragmencie, zachodni obszar zajęła część protestancka, zaś pomiędzy nimi — prawosławna. „Do końca lat osiemdziesiątych XIX w. — jak piszą autorzy niedawno wydanych **„Nekropolii łódzkich"** **Maria Świątkowska** i **Marek Budziarek** — było to jedyne miejsce grzebalne chrześcijan zamieszkujących Łódź. Chowano tu tych wszystkich, którzy tworzyli miasto „Ziemi Obiecanej", tych szarych i nieznanych, ale także wielkich, a przede wszystkim bogatych... A są to imiona, bez których Łódź byłaby niczym. Zostawili oni po sobie głęboki ślad w historii miasta, ale również nadali oryginalne piętno samemu cmentarzowi".

W części protestanckiej znajdują się najbardziej okazałe pomniki, grobowce i mauzolea, bo też i spoczywający w nich posiadali największe fortuny. Tu spotkać można dominujące nad całością neogotyckie, wspaniałe mauzoleum rodziny **Scheiblera** (wg. projektu E. Lilpopa i J. Dziekońskiego, liczące sobie ponad sto lat), okazały grobowiec rodziny **Gustawa Geyera**, choć jego ojciec, „król perkalu" — **Ludwik Ferdynand** spoczywa z boku głównej alei pod skromnym, neogotyckim nagrobkiem. W głębi alei, pod marmurowymi płytami spoczywa rodzina **Traugotta, Ludwika i Alfreda Grohmanów** — trzech pokoleń przemysłowców łódzkich i cenionych działaczy społecznych. Dalej okazałe mogiły rodziny **Ludwika Meyera, Karola Bogumiła Stejnerta** i wreszcie zamykające główną aleję mauzoleum twórcy włókienniczego Widzewa — **Juliusza Kunitzera**. Na tym też cmentarzu znajdują się groby wielkich łódzkich filantropów — **Matyldy** i **Edwarda Herbstów**, którzy część swego wielkiego majątku przeznaczyli na cele charytatywne, groby przemysłowców i cenionych działaczy społecznych — **Franciszka Kindermanna** i jego syna **Juliusza Roberta**.

W tej części spotkać można także groby: zasłużonego lekarza — **Karola Jouschera**, wybitnych twórców myśli technicznej — **Bronisława Choynowskiego** i **Hermana Edwarda Wernera**, grób wielkiego patrioty polskiego i opiekuna najbiedniejszych, pastora **Rudolfa Gustawa Gundlacha**; dalej grób wydawcy pierwszych periodyków łódzkich w języku niemieckim — pastora **Wilhelma Angerstelna**; grób **Zygmunta Manitiusa**, którego ojciec — pastor **Karol Gustaw Manitius**, wspierał polski ruch narodowy w czasie insurekcji styczniowej. Tu spoczywa jeden z wybitnych działaczy społecznych, założyciel łódzkiej Straży Ogniowej Ochotniczej — **Robert Wergau**, niedaleko pionier teatru łódzkiego, **Fryderyk F. Sellin**. Tu wreszcie przyszło spocząć na wieczność utalentowanemu angielskiemu aktorowi dramatycznemu, Murzynowi, **Ira Aldridge'owi**, który zmarł w niecodziennych okolicznościach. Przybył do łódzkiego Teatru Polskiego na gościnne występy, tu zaziębił się i zmarł niespodziewanie w 1867 r. na zapalenie płuc.

Cmentarz katolicki posiada inny, mniej majestatyczny charakter — wąskie aleje, mogiły jakby zunifikowane, płyty skromne i niewyszukane, choć odnaleźć można i tu dzieła dłuta **W. Konopki**, **W. Wąsowicza**, **F. Szymańskiego**, **W. Łapińskiego** i wielu znanych i cenionych rzeźbiarzy łódzkich. Jedynym okazałym obiektem jest w tej części wielkie mauzoleum rodziny przemysłowców łódzkich, **Heinzlów**, a wśród jej przedstawicieli — twórca tej fortuny, **Juliusz baron Heinzel von Hohenfels**, koneser sztuki, opiekun artystów, inicjator budowy pomnika kościoła św. Stanisława Kostki i fundator głównego ołtarza w tej świątyni. Tu spoczywają, choć pod znacznie skromniejszymi nagrobkami, przedstawiciele łódzkiej inteligencji — **Włodzimierz Maliszewski** (1856—1932) — dyrektor Teatru Polskiego w Łodzi, **Maria Maliszewska z Romanowskich** — artystka dramatyczna, **Józef Texel** — dyrektor Teatru Polskiego (zm. 1904 r.), **Juliusz Orliński-Busiacki** — aktor polskiej sceny w Łodzi (zm. w 1917 r.). Pochowani są tu także znani i wybitni dziennikarze, że wymienimy **Wiktora Czajewskiego**, wydawcę i redaktora dziennika „Rozwój" (zm. w 1922 r.), bądź tej miary artystów plastyków, co **Władysław Strzemiński**, **Włodzimierz Czapliński**, **Marceli Sprusiak**, **Edward Grajnert**, sławny lekarz **Artur Starzyński**, twórca łódzkiej kanalizacji inż. **Stefan Skrzywan** i wielu, wielu innych.

Odwiedzając łódzkie Campo Santo nie zapomnijmy o mogiłach tych, którzy polegli w nieustępliwej walce o wolną i niepodległą Polskę. Jest tych mogił dużo — pojedyncze groby bohaterów i mogiły bratnie, jak to łódzkie narodowe sanktuarium przy kaplicy cmentarnej, skrywające szczątki powstańców insurekcji styczniowej 1863 r. Pod czerwonym piskowcem (wzniesionym w 1917 r. wg proj. W. Konopki) spoczywają bohaterscy insurgenci łódzcy: **Rudolf Chełmicki, Bronisław Lisiecki, Wojciech Jugowicz, Wojciech Kołacki vel Truszkowski, Adolf Dymel, Stanisław Jaworski** i **nieznany, 19-letni bojownik**. Niedaleko, we wspólnym grobowcu spoczywają: 24-letnia **Marianna z Rogalińskich Piotrowiczowa**, poległa w potyczce pod Dobrą, i jej mąż, Konstanty Piotrowicz zmarły z ran odniesionych w tej samej bitwie. Znaleźć tu można grób rodzinny, w którym pochowano **Anastazego Bitdorfa**, farbiarza łódzkiego, słynnego setnika kosynierów, rannego pod Dobrą, późniejszego Sybiraka. Osobną kwaterę przygotowano w Odrodzonej Polsce dla 39 byłych insurgentów, wśród których spoczywają: **Konstanty Małecki, Władysław Joachimski, Aleksander Bieńkowski, Antoni Kucner, Walerian F. Ryfiński**. Podobny charakter ma kwatera licznych mogił łodzian poległych podczas walk rewolucyjnych 1905—1907. Wśród skromnych tablic wyróżnia się płyta z białego piaskowca z Orderem Virtuti Militari.

W zapomnianej dziś kwaterze zasłużonych odnaleźć można mogiły poległych 11 listopada 1918 r.: **ppor. Józefa Bukowskiego** i **Emilii Wasiak**. Dalej groby poległych na wszystkich frontach 1919 r., m.in. kilkunastoletnich ochotników — **Kazimierza Thyma, Edwarda A. Jezierskiego, Stanisława Lachmanowicza**. Niedaleko spoczywają polegli w sierpniu 1920 r., bohaterowie Bitwy Warszawskiej: **kpt. Stefan Pogonowski** z 28. pułku Strzelców Kaniowskich, **rtm. Aleksander Napiórkowski** z 16. pułku ułanów posel na Sejm, **kpt. Benedykt Grzymała-Peczkowski** z 26. pułku, **por. Józef Sobolewski** — ochotnik z 236 pułku... Jest tu wreszcie zbiorowa mogiła kilkudziesięciu harcerzy, którzy polegli za Ojczyznę w latach 1914—1920 oraz wiele, wiele mogił symbolicznych, które przypominają nam łodzian poległych w latach 1939—1945. Na tablicach lakoniczne napisy o tragedii i śmierci, lecz nazwy jakże wymowne: Oświęcim, Pawiak, Ravensbrück, Katyń...

Odwiedzając ten cmentarz wspomnijmy czułą pamięcią wszystkich — znanych i nieznanych, ludzi wielkich i małych. Jest to bowiem dzień pamięci. A przecież pamięć o zmarłych to pamięć o przeszłości, to szacunek dla teraźniejszości.

MAREK BRUK

Skromny pomnik J. Texla — dyrektora Teatru Polskiego.

Pestki dyni

Na obrazie błękitne jezioro, niebieskie niebo, pierzaste obłoki, zadrzewione, zielone brzegi, nenufary, trzciny, biały łabędź — pełna sielanka typowego kiczu z jarmarcznej makatki. Efekt psuje tylko ten łabędź... Odbity w wodzie — wygląda zupełnie jak żywy, a po wodzie płynie jeno jego... szkielet. Autorem obrazu jest **Rafał Olbiński**. Znalazłem go w tygodniku studenckim „itd" (nr 43 br.). Ilustruje artykuł **Tomasza Kubaszewskiego „Jezioro Mikołajewskie może uratować tylko cud"**.

Kiedy nadchodzą Zaduszki, zwykle myślimy o ludziach, którzy odeszli i jest to zrozumiałe. Ale umierają nie tylko ludzie — umiera też otaczająca nas NATURA. I nie jest to — w JEJ wypadku — zwykła kolej rzeczy, lecz śmierć zadana przez nas samych, przez nas, ludzi właśnie. A to nie jest już owo dopełniające się, naturalne Koło Rzeczy — to morderstwo; także zagłada dla tych, co będą po nas.

„W roku 1989 żadne z Wielkich Jezior Mazurskich nie ma wód, które można by zaliczyć do I klasy czystości. Śniardwy, Mamry i Dargin ledwie „łapią się" w klasie II. Pozostałe — bądź to wpadły do klasy III, bądź, jak Niegocin, Ryńskie i Mikołajskie — znajdują się poza wszelką klasyfikacją, jako całkowicie nieużyteczne dla człowieka" (T. Kubaszewski).

Sądzę, że Zaduszki to dobry czas, aby uświadomić sobie, że nie jesteśmy na tej Ziemi sami, że obok są **inne życia** — równie ważne, jak nasze.

Dużo się mówi ostatnio o śmierci. Nadal każda biała plama przesiąknięta jest krwią. Przypomina papierek lakmusowy, który po włożeniu do odpowiedniego roztworu zmienia kolor. Do roztworu prawdy — dożyliśmy bowiem czasów, że jest on w dość powszechnym użyciu. Nie wszyscy wierzyli, że doczekamy. Życzymy sobie, aby ten roztwór był jak najdłużej w zastosowaniu. Nie tylko wtedy, kiedy sięgamy w czas niegdysiejszy, niech będzie stosowany i na co dzień, do „spraw bieżących". I przyszłych też — bo to ważne, bardzo ważne.

Niedawno zmarł mając 86 lat **Georges Simenon**. Fenomen. Geniusz?! — pokaże Czas.

Był istnym tytanem pióra: pisał więcej i szybciej niż ktokolwiek inny. W parę tygodni, a czasem w parę dni produkował powieści, które potem — tłumaczone na wiele języków — rozchodziły się w milionach egzemplarzy. „Ta praca taśmowa, ten kulturalny stachanowizm, owocowała utworami, które należą do najwyrazistszych i najprawdziwszych dzieł współczesnych. Podczas gdy gogusie znojnie cyzelowali klejnociki dla kapliczek literackich — ów Belg zasypywał świat lawiną książek, mających wszelkie szanse przetrwania. Dzięki czemu? Dzięki temu, że pod pozorem i niemal pod pretekstem kryminału — zawierają ważki ładunek ludzkich treści". — pisał w **„LE FIGARO" Jean d'Ormesson** (FORUM).

Simenon przeżył tragedię. 19 maja 1978 roku córkę Simenona Marie-Jo znaleziono martwą w jej prywatnym, paryskim mieszkaniu. Ten dramat wstrząsnął życiem pisarza, który zwierzał się z tego w swych **„Memoires intimes"** (Pamiętnikach intymnych). W jednym z listów, jakie Simenon pisał do swej córki długo jeszcze po śmierci czytamy: „Córeczko droga, widzimy cię przez wielkie okno. Możemy do ciebie mówić. Wiemy, że jesteś wolna, że wreszcie nie wiesz, co to lęk i że już nie boisz się — jak mówiłaś — „zamknięcia".

ANDRZEJ GRUN

P.S. Jeśli już jesteśmy przy temacie życia i śmierci — to za sprawą niemieckiego Forum Pokojowego, skupiającego różne postępowe organizacje, postawiono w stolicy RFN, Bonn, na dwie godziny co prawda i tylko na platformie samochodowej Pomnik Nieznanego Dezertera. „Żołnierz potrzebował więcej bohaterstwa i odwagi cywilnej, żeby przeciwstawić się i zdezerterować, niż żeby maszerować dalej" — mówi przewodniczący Forum Pokojowego **Manfred Sterner**. Młodzi Niemcy zadają sobie pytanie, czy tego wszystkiego — to znaczy dwóch wojen światowych — nie można byłoby uniknąć, gdyby żołnierze odmówili posłuszeństwa swym dowódcom i wykonywania zbrodniczych rozkazów. Czy wierność przysiędze obowiązuje i wówczas, gdy w jej imię trzeba popełniać zbrodnie i czy posłuszny żołnierz, który zgodnie z przysięgą ślepo walczył za führera w stalingradzkim piekle, zasłużył na uznanie, podczas gdy jego kolegę, który zrozumiał, że posłuszeństwo prowadzi go do zbrodni, czeka osąd moralny i prawny? Pomnik, zanim stanie na stałe — ma być pomnikiem... objazdowym. Holandia już otworzyła przed nim swoje granice. Włochy zamierzają to zrobić... (FORUM).

Rys. Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

NIE CHRONI ŻADNA INDEKSACJA

„Wiele przyczyn składa się na stan zagrożenia polskiej kultury — pisze „Wprost". — Podczas zebrania Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich **Władysław Terlecki** wskazał, że system wolnorynkowy, którym obecnie tak wiele osób się fascynuje, upatrując w nim lekarstwo na bolączki polskiej gospodarki, dla kultury może okazać się zgubny. Konieczne jest stworzenie „barier osłonowych" dla ludzi kultury, także dla pisarzy, których nie chroni żadna indeksacja. Za niewczesny uznano pomysł handlu papierem na wolnym rynku oraz pozostawienie wysokości honorariów wynikających z umów autorskich wyłącznie do uznania wydawców".

A skoro już mówimy o warszawskim oddziale SPP to warto odnotować, że na prezesa tego oddziału wybrano **Tomasza Łubieńskiego**, który — na pytanie „Życia Warszawy", jakie zadania stoją dziś przed pisarzami i literaturą, odpowiedział: „Skończyła się pewna epoka. Epoka, w której literatura zastępowała politykę, dziennikarstwo, informację. Obecnie w nowych warunkach, w nowej sytuacji literatura stanąć musi twarzą w twarz ze sobą samą. Literatura polska będzie miała do spełnienia znacznie mniej zadań, ale i pozbawiona zostanie wszelkich „podpórek", przede wszystkim politycznych".

„PUBLICZNA TWARZ"

„... W tworzeniu rzeczy wartościowych niezbędna jest autentyczność i niezależność, a ja zauważam bardzo groźny objaw ich zaniku — mówi **Jerzy Stuhr** w rozmowie z **Małgorzatą Dryjską** dla „Wprost". — Podam ci przykład: zadzwonił do mnie jakiś organizator juwenaliów w Krakowie z propozycją, abym poprowadził imprezę Wybory Najmilszej Studentki. Mówię mu: „Wie pan, znam tę imprezę od lat, sam ją kilka razy prowadziłem, ale gdy byłem studentem. Dlaczego jednak zwraca się pan do mnie, emerytowanego wodzireja tego kraju? Czy to znaczy, że sami nie umiecie, że pan nie wierzy w swoje środowisko?" A on mówi: „No, rzeczywiście, nie wierzę". „Jeżeli pan nie wierzy w swoich, to pan nie ma prawa być w tym organizacyjnym komitecie" — mówię do niego. I to jest różnica mentalności. Czyż przyszłoby kiedyś nam do głowy zapraszać zawodowca na studencką imprezę?! Uwielbialiśmy wtedy, pamiętam, **Marka Walczewskiego**, ale żeby oddać mu prowadzenie imprezy?! — to myśmy przed nim chcieli się pokazać i wjeżdżałem do hali Wisły na kucyku a ze mną **Jasio Rewiński** i **Grzesio Warchoł**. A dzisiaj proszą zawodowca, bo nie wierzą, że cokolwiek potrafią. Stuhr im jest potrzebny, bo inaczej biletów nikt nie kupi, a oni muszą „zarobić" na imprezie. Ludzie oduczyli się doceniać prawdziwe wartości, nie rozumieją sztuki, formy teatru. Kto w Polsce słyszał o Gardzienicach, którymi fascynuje się Zachód? Czy ktoś ci dzisiaj mówi: „Idź na tę sztukę"? „Idź na Holoubka" — tak się dzisiaj mówi. No to idziesz na Holoubka — jaka to straszna dla aktora odpowiedzialność — patrzysz, a tam „Skiz"... To są nie tylko przykre, ale i bardzo niebezpieczne zjawiska. Taka jedynie finansowa motywacja w uprawianiu sztuki, a właściwie zabezpieczenie finansowe menażera, to jest, według mnie, rzecz moralnie wielce podejrzana. Nie można przecież tylko dlatego, że się ma „publiczną twarz", obłudnie tego wykorzystywać do różnych przedsięwzięć..."

PIERWSZY W ŚWIECIE

„Krystian Zimerman — pierwszy pianista na świecie". — tak zatytułował madrycki dziennik „Ya" wywiad z polskim artystą. W publikacji podkreślono liczne walory tego wirtuoza, jego „nie podlegającą dyskusji technikę, połączoną z intuicją", przypomniano jego błyskotliwą karierę, rozwijającą się od zwycięstwa na Konkursie Chopinowskim w Warszawie w 1975 r.

Krystian Zimerman mówi o „przyjaźni, jaka go łączy z fortepianem", wyraził pragnienie dyrygowania w przyszłości orkiestrą, natomiast „z powodu braku talentu — nie zamierza powracać do młodzieńczych prób komponowania". Na temat współpracy z najwybitniejszymi artystami powiedział: „Od **Karajana** nauczyłem się wiele. Czuję się bardzo dumny z kontaktów z **Bernsteinem**, kiedy gram z nim jest to dla mnie lekcja. Bardzo bliskie więzy, jakie łączyły mnie z **Arturem Rubinsteinem** w ostatnich latach jego życia, bardzo mnie wzbogaciły duchowo".

Bliżej muzyki, bliżej człowieka

Rozmowa z BOGUSŁAWEM SCHELLEREM, popularyzatorem muzyki

— Jako prelegent Filharmonii Krakowskiej i Narodowej, autor radiowych audycji wprowadzających w sekrety muzyki poważnej, cieszy się pan opinią znakomitego popularyzatora. Czy, pana zdaniem, nawet utwory uważane za najtrudniejsze mogą trafić do każdego? A więc czy rzeczywiście: „nie taki diabeł straszny"?

— W swojej pracy wychodzę z założenia, że nie ma ludzi zupełnie na muzykę niewrażliwych. Dlatego sądzę, że każdego można zainteresować już nie tylko **Bolerem Ravela i V Symfonią Beethovena,** lecz także wieloma innymi kompozycjami. Naturalnie wskazane jest stopniowanie trudności, tzn. zaczynanie edukacji od dzieł bardziej komunikatywnych, mających przejrzystą formę i sugestywną treść emocjonalną, a po drugie — przyzwyczajenie do systematycznych kontaktów z muzyką. Na skutek częstego obcowania z wartościowymi dziełami niejako automatycznie wzmacniają się i sublimują potrzeby estetyczne. Młodzież więc przede wszystkim staram się takiej systematyczności uczyć.

— Już działalność klasyków wychowania muzycznego w Polsce — WYSOCKIEGO i JOTEYKI — wskazała, że muzykę można popularyzować podchodząc do niej w sposób analityczny, warsztatowy, albo też umieszczając ją w szerszym kontekście kulturowym. Pan, jak wiem, hołduje tej drugiej zasadzie.

— Wiadomo, że rozwój muzyki dotyczy elementów strukturalnych, ale ma również związek z dziedzinami pozamuzycznymi, np. innymi sztukami oraz nauką. Artysta reaguje bowiem na wszystkie sygnały płynące z epoki, w której żyje. W popularyzacji trzeba te aspekty uwzględnić, zachowując właściwe proporcje. Prowadzone przez siebie koncerty, szczególnie w ramach krakowskiego cyklu **„Musica ars amanda"**, staram się w związku z tym ujmować z punktu widzenia szeroko pojętej humanistyki. W realizacji interdyscyplinarnych założeń pomagają mi wydawane przez filharmonię (a redagowane przeze mnie) programy. Zawarte są w nich podstawowe informacje o wykonywanej muzyce, dzięki czemu prowadząc koncerty mogę poruszać się na wyższym piętrze uogólnienia. Są w nich też artykuły problemowe, eseje, utwory poetyckie i starannie dobrane ilustracje. W sumie dążę do tego, aby spotkanie było nie tylko przeżyciem estetycznym, lecz zarazem formą poznawania siebie i świata, próbą refleksji i odpowiedzi na pytania: kim jestem? Ku jakim wartościom zmierzam?

— Czy takie interdyscyplinarne podejście do koncertów nie wiąże się aby z tendencją do „utreściowienia" muzyki?

— Uważam muzykę za sztukę asemantyczną, będącą grą samoistnych sił i zachwycającą odbiorcę wartościami autonomicznymi. Temu poglądowi jestem wierny. I tylko wyjątkowo zdarza się, że dla doraźnych celów popularyzatorskich, głównie mając na uwadze najmłodszego adresata, dodaję niejako do objaśnianego utworu fabułę, niezależnie do intencji kompozytora. Taka „proteza" może chwilowo ułatwić percepcję przez pobudzenie do skojarzeń.

— Proszę wymienić cechy dobrego prezentera muzycznego.

— Przede wszystkim kompetencja i zaangażowanie emocjonalne, powiedziałbym nawet: pasja. Człowiek, który mówi z pasją jest zapamiętany, młodzież takiego „nie olewa". Na estradzie potrzebny jest ponadto specjalny rodzaj luzu, swoboda połączona z umiejętnością improwizacji. Dobry, będący osobowością prezenter (prelegent, konferansjer), dysponuje różnymi środkami wyrazu, jak dowcip, liryzm, patos, wyrazisty gest, a nawet ekspresja ciała. Dlatego potrafi zapanować nad każdym audytorium i zawsze umie zainteresować.

— Prowadzony przez pana z udziałem krakowskich filharmoników od 1980 r. cykl „Musica ars amanda" stał się właściwie pana programem aautorskim i zyskał w Krakowie ogromną popularność. Czy jest pan z tej akcji w pełni zadowolony?

— Chciałbym, aby bardziej przejęła się nią dyrekcja filharmonii i by poziom gry muzyków orkiestrowych nie pozostawiał nigdy nic do życzenia. Tak, jak z zasady jest w Filharmonii Narodowej, gdzie mam możność zetknięcia się również z najwybitniejszymi solistami. Oczywiście stanowi to dla mnie ogromny doping zawodowy.

— A czy redagowane przez pana comiesięczne, piątkowe audycje „Bliżej muzyki, bliżej człowieka" w IV programie Polskiego Radia mają związek z tą akcją?

— Zostały przez nią zainspirowane i są, jak gdyby, jej myślowym przedłużeniem. Redakcja programu IV obdarzyła mnie zresztą ogromnym zaufaniem — w ramach 30 minut mam pełną swobodę co do treści i formy przekazu. Audycje, poświęcone związkom muzyki z innymi dyscyplinami: poezją, filozofią, religią, plastyką, medycyną, kieruję do słuchaczy nieco bardziej wyrobionych muzycznie. W tym sezonie noszą one wspólny tytuł — **„Piękno niejedno ma imię".**

— Chętnie tych audycji posłuchamy. Dziękuję za rozmowę.

JANUSZ JANYST

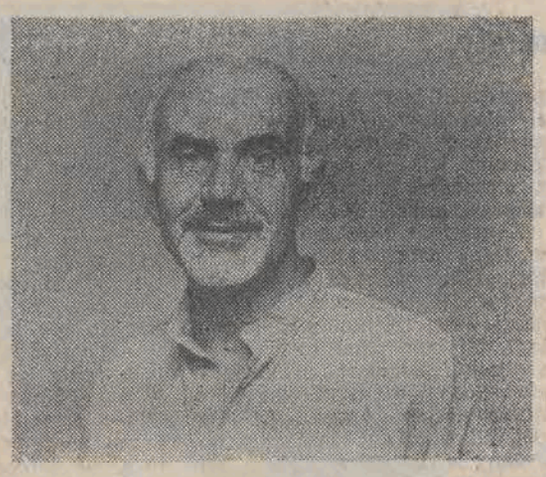

Foto.: Stanisław Chmiel

Kronika

23 października, w Muzeum Historii m. Łodzi „Moderato cantabile" Chopina w wykonaniu **Władysława Manijaka** rozpoczęło doroczne, XVIII z kolei łódzkie **„Zaduszki teatralne".** W ten sposób **Towarzystwo Przyjaciół Łodzi — Klub Miłośników Teatru,** próbują przed Świętem Zmarłych utrwalić pamięć o ludziach szczególnie dla teatru zasłużonych, za których życiem w mijającym roku kurtyna opadła na zawsze.

Wieczór — za sprawą głównej od 18 lat organizatorki, **Krystyny Bobrowskiej** — przebiegał tradycyjnie: plansza ze zdjęciami Zmarłych, kandelabr, świeca, kwiaty. Serię wspomnień przeplatała muzyka poważna — w tym roku w wykonaniu **Zenona Hodora** (skrzypce) i wspomnianego **Wł. Manijaka.**

„Cieniom sceny polskiej"

Rozpoczęła **dr Anna Kulgowska-Korzeniewska,** w sposób prosty i zwięzły kreśląc sylwetkę reżysera, aktora, autora znakomitych felietonów i nadzwyczajnego dyrektora teatru — Zygmunta Hübnera oraz innej nieprzeciętnej indywidualności, jaką był Konstanty Puzyna.

Prorektor Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie, doc. **Barbara Lasocka** swoimi wspomnieniami o Aleksandrze Śląskiej i Halinie Mikołajskiej, dokonuje rzeczy niezwykłej: sala wypełniona bardzo zróżnicowaną publicznością zastyga w zaczarowanym zasłuchaniu; to wielka sztuka w ciągu dwudziestu minut przedstawić odtwórczynie tak wielu postaci teatralnych, telewizyjnych i filmowych.

Nagłe odejście swego profesora, Stanisława Kaszyńskiego, **dr Małgorzata Leyko** przeżyła szczególnie boleśnie: było to na dzień przed obroną jej pracy doktorskiej, której patronował. Łamiącym się ze wzruszenia głosem przywołała najważniejsze cechy osobowości Zmarłego — teatrologa, historyka i krytyka teatru, tłumacza, pedagoga i przyjaciela młodzieży.

Wieczór wspomnień kończy dr **Ewelina Nurczyńska-Fidelska** przypomnieniem postaci Władysława Orłowskiego, pisarza, dramaturga, dziennikarza i filmologa. Przypomina Przyjaciela, człowieka wielkiej kultury, społecznika.

Oprac. M.K.

Rosyjscy „Emigranci"

W czasie wrześniowych **Zakopiańskich Prezentacji Artystycznych „Inspiracje '89"** wystąpił, jako jeden z dwóch zespołów zagranicznych obok **ZATA Theater** z Berlina Zach., **Teatr — Studio „Człowiek"** z Moskwy (ZSRR) z przedstawieniem **„Emigrantów" Sławomira Mrożka.** Okazało się, że jest to jubileuszowy, 150-spektakl który przez cztery lata wystawiany był nielegalnie, a dopiero 19 kwietnia 1987 r. (premiera w styczniu 1983 r.) odbyło się oficjalne przedstawienie, „które otworzyło dramaturgię Sławomira Mrożka dla teatru i widzów rosyjskich" — jak informował program.

W czasie nocnej pogawędki z zespołem, jego członkowie opowiadali o trudnościach, jakich doświadczyli grając w konspiracji, o niebezpieczeństwach, a nawet aresztowaniach. Żartobliwie skonstatowali, że od donosu do aresztowania mija w ZSRR 40 dni, tyle bowiem czasu minęło od denuncjacji do KGB (o której się dowiedzieli), do rewizji i pozamykania w „pudle" niektórych ludzi Teatru „Człowiek".

Bohaterami sztuki są dwaj emigranci, których wszystko dzieli i jedno łączy. Łączy ich los wychodźców, zamkniętych we wspólnym, obskurnym, prymitywnie urządzonym pokoju, a dzieli cała reszta: powód wyjazdu z kraju (jeden uciekł z przyczyn politycznych, drugi, aby zarobić na lepsze życie), wykształcenie, inteligencja, stosunek do życia i świata, zainteresowania, pomysły na spędzanie czasu, ocena swego losu, wreszcie dobór menu, lektury, a nawet kolor włosów. Wszystko: od rzeczy ważnych, ogólnych, do codziennych przyziemnych drobiazgów. Są zupełnie różni, a muszą ze sobą przebywać na co dzień. To powoduje, oczywiście, masę sytuacji humorystycznych, śmiesznych, ale i spięć, ostrych rozmów i konfliktów, aż do dramatycznego zakończenia, gdy w czasie wspólnie spędzanej, zakrapianej alkoholem nocy sylwestrowej, dobrali się (słownie — oczywiście) sobie do skóry nie szczędząc się nawzajem, by w efekcie lec na swych byle jakich łóżkach szlochając, w świadomości przegranej, tragicznej, bez żadnej szansy na poprawę — przyszłości i straconej przeszłości.

Roman Kozak, grający AA — emigranta politycznego, inteligenta, prowadzi rolę w skupieniu, oszczędnie, słowo u niego przeważa nad gestem, potrafi wszakże w pełnych ekspresji efektownych tyradach wykazać swemu towarzyszowi (i sobie) gorzki bezsens ich egzystencji i tragiczny brak perspektyw. **XX (Aleksander Fieklistow),** to charakter szeroki jak rosyjskie stepy, jasny, otwarty, jak jego szczera twarz typowego Rosjanina, choć już nauczony chytrości, cwaniactwa i drobnej przebiegłości człowieka o niepewnym jutrze. Zachował jednak dziecięcą naiwność prostaczka zderzonego z cywilizacją Zachodu, która objawiła się w kapitalnej scenie zachwytu nad jej zdobyczami. Po powrocie do domu z dworca kolejowego, gdzie sobie poszedł po prostu pobyć, opowiada z rozsadzającym piersi zachwytem i dumą, że postał oto przy telefonach, z których ludzie gdzieś dzwonią i rozmawiają, przy kioskach z gazetami, gdzie ludzie te gazety kupują i nawet je czytają, przeszedł się po peronie, bez peronówki!, a nawet został skokietowany przez elegancką kobietę, którą zniewolił w ubikacji wagonu pierwszej klasy. Oczywiście blagował, co wykazał metodycznie jego współtowarzysz niedoli. Fieklistow gra znakomicie, z dużym wyczuciem komizmu, ale i dramatyczne sekwencje swej roli rozgrywa doskonale, ostro, wręcz brawurowo.

Reżyser przedstawienia **Michał Mokiejew** zawierzył tekstowi Mrożka na tyle, że nie próbował prześcignąć go efektownymi pomysłami inscenizacyjnymi. Stworzył spektakl aktorski: gorący, dynamiczny, ostry, świetnie zagrany.

Wydaje się, że „Emigranci" po rosyjsku brzmią lepiej, bardziej przekonująco niż po polsku. Że drążenie zakamarków duszy ludzkiej i filozoficzne dysputy nad losem człowieka, to specjalność inteligencji rosyjskiej, tak jak (w naszym przekonaniu) proste osiągnięcia techniki i cywilizacji olśnić mogą tylko rosyjskiego wieśniaka. Polak zaś — we własnym przekonaniu — to Europejczyk obyty kulturalnie, znający się na komputerach i obsłudze sprzętu wideo, stąpający bliżej ziemi i świetnie dający sobie radę w każdej sytuacji, szczególnie gdy chodzi o robienie interesów. Tak to przynajmniej wydaje się wyglądać dziś.

Sztuka Mrożka, w kształcie w jakim powstała wiele lat temu, uaktualniła się niespodziewanie, w zaskakujący sposób u naszych wschodnich sąsiadów, co dowodzi uniwersalizmu sztuki tworzonej przez umysły przenikliwe, przewrotne, widzące świat szerzej, niż — jak to określał **Stanisław Ignacy Witkiewicz** — tylko „pępkocentrycznie".

MAREK KOPROWSKI

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

DAWNIEJ SZKORBUT, DZIŚ AIDS

Szkorbut należał do powszechnych chorób aż do XVIII w. kiedy wykryto, że jego przyczyną jest brak witaminy „C". W sferach angielskiej arystokracji prawie nie jadano jarzyn i owoców (uważanych za szkodliwe), opierając dietę głównie na mięsie. Przez całe stulecia sądzono więc, że **Król Henryk VIII** — 6-krotnie żonaty monarcha słynący ze swych podbojów miłosnych i nie znający umiarkowania w uciechach cielesnych — zmarł na syfilis w wieku 56 lat. Teoria ta nie znalazła jednak potwierdzenia, ponieważ żadna z jego dwóch córek — późniejsza **królowa Elżbieta** i **Maria** nie odziedziczyły tej choroby, wykazując natomiast objawy szkorbutu. Jak twierdzi **Susan Maclean Kybett** w magazynie „History Today", Henryk VIII zmarł przedwcześnie wskutek nadmiernej konsumpcji mięsa...

We Francji natomiast opinię publiczną zbulwersowała inna rewelacja, a stało się to za sprawą filmu **Rogera Boisseta „Żegnaj, Gerardzie"**, filmu który określa się jako skandalizujący. Otóż legendarny amant kina francuskiego lat pięćdziesiątych Gerard Philipe zmarł mając zaledwie 37 lat. Podawano różne przyczyny zgonu — raka, marskość wątroby, gruźlicę itd. Tymczasem reżyser filmu twierdzi, że Philipe zmarł na AIDS, że był pierwszą ofiarą tej groźnej choroby. Otóż prawdą ponoć jest, że ten legendarny amant, który na ekranie kreował postacie wspaniałych kochanków **(„Pustelnia Parmeńska", „Fanfan Tulipan", „Czerwone i czarne", „Diabeł wcielony", „Wielkie manewry")** był homoseksualistą. Co prawda ożenił się z Anne Marie (miał z nią dzieci), ale głównie za namową producentów, którzy nie chcieli, aby plotkowano o erotycznych skłonnościach wybitnego aktora.

Czy film Boisseta mówi prawdę, czy też jest tylko artystyczną fikcją? Faktem jest, że choroba zaatakowała go niespodziewanie: chudł „w oczach", stawał się nie do poznania, cieniem samego siebie. A może jednak reżyser chciał tym filmem wyłącznie zaszokować widownię i zgarnąć na nim majątek?...

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Jerzy Łojek (Leopold Jerzewski) „Dzieje sprawy Katynia" (Zakłady Wydawnicze „Versus", Białystok 1989) — 2500 zł (cena nominalna 1200 zł); **Paweł Jasienica „Pamiętnik"** („Znak" — 1989) — 3000 zł (cena nominalna 2000 zł); **Jerzy Kosiński „Kroki"** (PWN 1989) — 3000—5000 zł (cena nominalna 950 zł); **Czesław Miłosz „Widzenia nad Zatoką San Francisco"** (WL 1989) — 6000 zł (cena nominalna 2000 zł); **Władysław Kopaliński „Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych"** (WP 1989) — 10 000 zł (cena nominalna 4500 zł); **„Encyklopedia Powszechna PWN"** (4 t.) — 150 000 zł; **Piotr Gabryel „Katyń w pół drogi"** (Spółka Wydawnicza „Omnibus" 1987) — 2500 zł; (cena nominalna 1690 zł); **Jerzy Pawlak „Polskie eskadry w latach 1918—1939"** (Wydawnictwa Komunikacji i Łączności 1989) — 7500 zł (cena nominalna 2800 zł).

P.S. Stałemu czytelnikowi „Odgłosów", Markowi Nowakowi z Ostrowca Świętokrzyskiego dziękujemy za list. Kolejno odpowiadamy na wątpliwości:

1. Bukiniści handlujący na bazarach nowymi książkami, wykupowanymi w księgarniach bądź pochodzącymi z nielegalnych źródeł, żądający za nie kilkakrotnie bądź też kilkanaście razy ceny wyższej od nominalnej, postępują wbrew literze prawa.

2. Radzimy sprzedać przeczytane, niepotrzebne już książki w antykwariacie. Ceny antykwaryczne atrakcyjnych pozycji są zbliżone do cen na „pchlich targach", aby nie wykupywali ich w celach spekulacyjnych bukiniści.

3. Publikacje z dawnych lat wyceniane są w antykwariatach po urealnionych cenach.

Galeria pisarzy

TADEUSZ FANGRAT

Rys. Sławomir Arabski

NA ZAKOŃCZONYM 22 X br. w Opolu XIV Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Lalek duży sukces odniósł zespół łódzkiego „Arlekina". Wojciech Wieczorkiewicz otrzymał pierwszą nagrodę za reżyserię zaprezentowanego opolskiej publiczności spektaklu „Co z tego wyrośnie" (wg własnego scenariusza). **Pierwsza nagroda w dziedzinie scenografii przypadła Leokadii Serafinowicz za oprawę plastyczną tego przedstawienia.** Ponadto **Liliana Ochmańska, Joanna Stasiewicz oraz Jerzy Stasiewicz wyróżnieni zostali nagrodami za kreacje aktorskie.**

Po sukcesie w Opolu, Teatr „Arlekin" **wyjechał na Międzynarodowy Festiwal Teatralny do Mistelbach** w Austrii. Dwa spektakle, które tam pokaże, przygotowane zostały w języku niemieckim.

MUZEUM ARCHEOLOGICZNE I ETNOGRAFICZNE w Łodzi wraz ze **Śródmiejską Biblioteką Dzielnicową im. Andrzeja Struga zaprasza na wystawę pn. „Współczesna literatura polska w teatrze lalek".**

Ekspozycja czynna będzie **do 15 listopada br.** w gmachu biblioteki (ul. Andrzeja Struga 14).

Z OKAZJI PRZYPADAJĄCEGO W TYM ROKU trzydziestolecia **Zakładu Wiedzy o Filmie UŁ** (powstał jako pierwszy w Polsce), kształcącego teoretyków i popularyzatorów sztuki filmowej, **odbył się w naszym mieście Ogólnopolski Zjazd Filmoznawców.**

Obrady zjazdu poświęcone były stanowi obecnemu i perspektywom badawczym polskiego filmoznawstwa. Wzięli w nim również udział naukowcy z zagranicznych placówek badawczych tego typu.

W KAŻDĄ NIEDZIELĘ, poczynając od 5 bm., w kinie **ŁDK** odbywać się będą poranki dla dzieci. Program listopadowy, w ramach którego przewidziane jest wyświetlanie filmu **„Jesienna godzina Tadka i Marcina"**, poprowadzi **Marian Janic.** Oczekują również dzieci liczne inne atrakcje.

TWÓRCY Z ŁÓDZKIEGO „SE-MA-FORA" zebrali deszcz nagród na I Biennale Filmu Animowanego **„Fazy '89" w Bielsku-Białej. Najważniejsze** prestiżowe wyróżnienie — **Grand Prix — otrzymał** obraz **Piotra Dumały pt. „Wolność nogi".**

Wśród zdobywców głównych nagród w poszczególnych kategoriach znaleźli się m.in.: **Vadim Berestowski i Hieronim Neumann.**

Gratulujemy.

ZNANY ŁÓDZKI PISARZ Tadeusz Papier, autor licznych poczytnych książek poświęconych głównie problematyce wiejskiej, m.in.: **„Powtórnej śmierci Boryny", „Swatów", „Morgi ziemi"** — obchodził **26 października br. 75. rocznicę urodzin.**

Z tej okazji w siedzibie **łódzkiego oddziału ZLP** odbyło się **uroczyste spotkanie,** na które przybyli koledzy po piórze, wydawcy i przedstawiciele władz.

Przyłączamy się do życzeń z tym większą satysfakcją, albowiem T. Papier był również redaktorem „Odgłosów".

STARANIEM CENTRUM KULTURY MŁODYCH Kongregacji Wyznania Mojżeszowego, Stowarzyszenia Kulturalnego Żydów w Polsce, Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia" 27 października br. otwarta została w **Synagodze Kongregacji Wyznania Mojżeszowego w Łodzi** (ul. Rewolucji 1905 r. nr 28) **wystawa malarstwa autorstwa** światowej sławy artysty — **Stefana Knappa.** W czasie wojny był on pilotem RAF, od 1945 r. zamieszkał na stałe w Londynie.

Wernisaż, na którego otwarcie przybył z Anglii sam twórca, jest **wydarzeniem kulturalnym dużej rangi w naszym mieście.**

RADZIECKI REŻYSER Aleksiej German realizuje dla producenta fińskiego **dokumentalny film o** wybitnym **poecie Josifie Brodskim, laureacie Nagrody Nobla, represjonowanym w okresie stalinowskim.**

W GDAŃSKU odbywają się doroczne **Dni Kultury Chrześcijańskiej.**

JEDEN Z MIESZKAŃCÓW TARNOWA zamierza założyć prywatną lokalną stację telewizyjną. Sfinansuje ją z zarobionych za granicą pieniędzy.

Z OKAZJI POBYTU W POLSCE Czesława Miłosza w Kapitularzu o.o. **Dominikanów w Krakowie** prezentowane były jego tłumaczenia ksiąg biblijnych.

Na wystawie pokazano również szesnasto- i siedemnastowieczne **edycje Pisma Świętego, które** były drogowskazem dla Miłosza w pracy translatorskiej.

ZESPÓŁ TEATRU NOWEGO Z ŁODZI zadeklarował cały dochód z wystawianej 4 listopada br. komedii Stanisława Tyma **„Jaja jak berety"** (w reż. Jerzego Hutka) przeznaczyć na fundusz pomocy społecznej dla osób najbiedniejszych. Jednocześnie koło **ZASP** przy Teatrze Nowym zwróciło się z apelem do wszystkich teatrów w Polsce o podejmowanie podobnych inicjatyw.

W KINIE ŁDK, 23 października br., odbył się pokaz promocyjny filmu **„Powrót wabiszczura".** Obraz ten został zrealizowany przez **Zbigniewa Rebzdę — według znanej powieści naszego** redakcyjnego kolegi **Andrzeja Makowieckiego** pod tym samym tytułem.

PROF. DR HAB. MARIAN KRYSZEWSKI z łódzkiego Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN został wybrany członkiem rzeczywistym Polskiej Akademii Nauk, zaś członkami-korespondentami zostali: **prof. dr hab. Maria Olszewska z UŁ i prof. dr hab. Czesław Strumiłło — rektor PŁ.**

Gratulujemy!

Opracował: JAK

ze str. 1

przywieźli ją tu z Uralu. Młodsi albo unikają rozmów, albo energicznie zaprzeczają, że cokolwiek wiedzą. Nasi filmowcy z niespożytą energią biegają i zbierają materiały.

Z asfaltowej szosy skręcamy w leśną drogę. Idziemy duktem. Metalowe sztachety nie pozwalają przekroczyć skraju drogi. Jaką tajemnicę kryje ten las? Mijamy pomniczek poświęcony pięciuset żołnierzom sowieckim pomordowanym przez hitlerowskich faszystów. Po pół kilometrze dochodzimy do Polany z krzyżem. Cały ten teren osztachetowano metalowymi prętami. W jednym miejscu furtka z potężną kłódką. Za płotem wyraźnie młodszy las na lekko pofałdowanym terenie. Co kryje tamta gęstwina drzew, jaką tajemnicę zamykają te rygle?

Ksiądz Czesław Szymański to urzędowo wyznaczone miejsce. Jakiś wewnętrzny głos mówi mi: NIE. To nie mogło być tu. Znane z literatury miejsce inaczej wyglądało i musiało mieć znacznie większy obszar, a drzewa, jeżeli pozostały, muszą być młodsze od tego, które obejmowałem. I ten teren ogrodzony żelaznymi prętami...

I raptem ten głos, jakby odpowiadający na moje pytanie. Nie, to nie halucynacje!

— *To jest ten płot odgradzający teren, za którym znajduje się Polana Katyńska. Tam widać przecinkę leśną, to jest droga do tamtych Mogił. Tamta droga skręca w prawo i lekkim spadem schodzi ku tej Polanie, którą jeszcze oddziela tamto wzniesienie. I tam znajdują się Groby. A ta asfaltowa droga w lewo, to prawdopodobnie jakiś skrót do tamtej daczy enkawudystów.*

Zgarniam garść ziemi katyńskiej i zabieram straconą przez towarzyszyć nam będą wszędzie.

Śniadanie w miejscowej stylizowanej gospodzie ludowej i wsiadamy do podstawionego autokaru. Jedziemy wertepiastymi ulicami. Po drodze mijamy, ni to miejskie, ni to wiejskie, zabudowania pamiętające tamte i jeszcze dawniejsze lata.

Przechodzimy po remontowanym moście. Pod nami rwie swoje zielonkawe nurty nieznana z nazwy rzeka. Na drugim brzegu czeka inny autobus i jedziemy dalej.

Jesteśmy na miejscu. Wysiadamy i wpadamy w gliniastą breję, a jest lipiec, środek lata.

Jaka jest odległość od stacji kolejowej do tego miejsca? Dziesięć..., piętnaście kilometrów? Rozważania przerywają przepiękne dźwięki wielu dzwonów. Czy jest to wkomponowane w scenariusz filmu, czy przedziwny zbieg okoliczności?

Tak blisko i tak daleko

ustawia polowy ołtarz i rozpoczyna Mszę Świętą. Naszemu księdzu pomaga spotkany tu przypadkiem młody duchowny z Wrocławia. Jeszcze jedna niezwykłość sytuacji. Słowa księdza zagłuszają poszum wiatru.

— *Stoimy obok Ołtarza, a jednocześnie na Ołtarzu. Jest to jeden wielki Relikwiarz Męczenników... Wtedy, we wrześniu żegnaliśmy Was śpiewem „Wróć Jasieńku z tej wojenki wróć...". Ale Ty Jasieńku nie wróciłeś i ległeś tu z roztrzaskaną czaszką... Odszukaliśmy Wasz grób. Jesteśmy z Wami... Wzywam Was na ten modlitewny apel... Polsko, gdzie Twoje groby, a gdzie ich nie ma?... Chcemy, tak jak nakazywał Chrystus przebaczyć, ale chcemy urzędowo wiedzieć, komu mamy przebaczyć!*

Wciąż szukam. Czy te cztery trawniki z betonowymi krawężnikami to jest to miejsce? Czy tu, pod tą zieloną letnią darnią, leżą Ci, których szukamy? 30 kwietnia 1940 roku kula kalibru 7,65 rozłupywała czaszkę mego Ojca. Poprzednio w taki sam sposób mordowano Brata mojej matki ppor. Mieczysława Kuczyńskiego, brata mojej babki ppor. Tadeusza Tyszkę i Jego Zięcia Władysława Kolanko. Wszyscy czterej, wszyscy z jednej rodziny leżą tu gdzieś w tym Lesie Katyńskim. Ale gdzie jest to miejsce?

Mierzę obwód najbliższej sosny. Jej grubość to cztery moje piędzi — 88 cm. Chyba ta rozszumiała sosna ma więcej niż pół wieku. Czy ona była świadkiem?

Pielgrzymi porozchodzili się i każdy w swojej samotności szuka tego, co pragnie odnaleźć, szuka przeszłości tej sprzed pół wieku. Biało-czerwone kwiaty pod krzyżem. Migotliwe płomyki zniczy.

Ktoś wygłasza inwokację do Pomordowanych. Alicja recytuje swój wiersz. Ktoś inny śpiewa jakąś pieśń. Poszarpane słowa przez wiatr w strzępkach tylko dochodzą do słuchaczy, ale przecież nie dla nich są przeznaczone.

A ja szukam i szukam. Zadaję sobie to jedno, ale najważniejsze dla mnie pytanie. Gdzie? Nie przekonuje mnie wiatr sosnową szyszkę. Wieczorem wsiadamy do naszych wagonów, które podłączają do jakiegoś niemiłosiernie telepiącego się pociągu.

Jedziemy do Kozielska.

Nasz pociąg toczy się po tym samym szlaku co pociąg Tamtych, ale my jedziemy do miejsca, które było jeszcze dla nich nadzieją, kierujemy się jakby pod prąd. Jedziemy przez lasy. Czasami są w nich przecinki i wtedy widać bezkres ugorów. Czasami tylko jakieś chałupy z niewielkimi poletkami kartofli, niekiedy jakaś samotna krowa beznamiętnie przeżuwa swoją trawę. I znowu las.

Nocy nie mamy spokojnej. Wzywają nas na „przesłuchania". Tak nazywamy nasze wspomnienia o bliskich przeznaczone dla filmu. Małgosia Jaworska i Krysia Pohorecka ze swymi „nagrami" będą rejestrować każde nasze słowo. Jacek Petrycki ustawia kamerę, by uchwycić każdy nasz ruch, każdy gest. A nad wszystkim ma swoje reżyserskie oko Marceli Łoziński. Zaczynamy. Klaps!

Jest czwartek, 6 lipca 1989 r.

Jakaś stacja! Nikt nie wie gdzie jesteśmy. Chrapliwe przekrzykiwania robotników kolejowych. Na nasze pytania nie reagują. Słów z kilku głośników nie można zrozumieć. Wreszcie wyczulone ucho wychwytuje rosyjskie słowa: „*Co z tymi szatańskimi Polakami zrobić?*". Przetaczają nas z toru na tor. Odstawiają na bocznicę, by po wielu minutach znowu przetoczyć szarpiącymi zrywami, a wszystko to przy wtórze wrzasków z megafonów. Wreszcie dołączają nas do jakiegoś towarowego pociągu i jedziemy w szarzejący świt.

W pełni dnia ze zgrzytliwym piskiem hamulców pociąg zatrzymuje się w Kozielsku. Na stacji czeka błękitnooka miejscowa piękność. Przedstawicielka tutejszej władzy. Odtąd spojrzenia jej chabrowych oczu towarzyszyć nam będą wszędzie.

Śniadanie w miejscowej stylizowanej gospodzie ludowej i wsiadamy do podstawionego autokaru. Jedziemy wertepiastymi ulicami. Po drodze mijamy, ni to miejskie, ni to wiejskie, zabudowania pamiętające tamte i jeszcze dawniejsze lata.

Przechodzimy po remontowanym moście. Pod nami rwie swoje zielonkawe nurty nieznana z nazwy rzeka. Na drugim brzegu czeka inny autobus i jedziemy dalej.

Jesteśmy na miejscu. Wysiadamy i wpadamy w gliniastą breję, a jest lipiec, środek lata.

Jaka jest odległość od stacji kolejowej do tego miejsca? Dziesięć..., piętnaście kilometrów? Rozważania przerywają przepiękne dźwięki wielu dzwonów. Czy jest to wkomponowane w scenariusz filmu, czy przedziwny zbieg okoliczności?

Gliniasta breja. Tamci, sprzed pół wieku zmordowani do kresu ludzkiej wytrzymałości, w siąpiącym jesiennym deszczu kroczyli tą samą drogą. Z nadludzkim wysiłkiem wyciągali swoje oficerskie buty z gliniastej mazi. Ta droga to była Ich Golgota.

Obóz Kozielski. Wzniesienie wokół podmokłych łąk. Opasuje je prostokąt muru. Gdzieniegdzie tkwią jeszcze wieżyczki strażnicze, ale nie ma zwojów kolczastych drutów. Ponad murem widoczne zabudowania i cerkiew. Przed nim spory budynek z okratowanym parterem. Czy to tutaj Zarubin i jego podwładni dokonywali przesłuchań...?

Tuż za murem pień prastarej lipy. Dlaczego ją ścięto? W obrębie murów, na przestrzeni może dziesięciu, może dwunastu hektarów liczne budynki i wyniosła bryła cerkwi. W blasku lipcowego słońca lśnią jej kopuły i złocą się krzyże. To do niej kieruję pierwsze swoje kroki. To w niej pragnę odszukać ślady sprzed pół wieku.

Chłód wnętrza. Białe, marmurowe posadzki. Świeżo otynkowane ściany. Nasi obiegają pomieszczenie w złudnej nadziei, że odnajdą ślady z tamtych miesięcy. Niestety! Szukam przede wszystkim chóru, gdzie przez tamte miesiące głos mego Ojca rozbrzmiewał wśród piętrowych pryczy. Prowadził razem z innymi gazetę mówioną. Pozostał i tu wierny swej publicystycznej pasji. Niestety z chóru nie ma najmniejszego nawet śladu.

Nie mogę w żaden sposób wczuć się w atmosferę tamtych czasów. Nie wyobrażam sobie owych setek czy tysięcy wtłoczonych na tej niewielkiej przestrzeni. Nie ma ani jednego skrawka muru, ani jednego kawałka posadzki, które by przypominały tamte dławiące tęsknotą i nadzieją miesiące. W sprzedawanym przez mnicha prospekcie o dziejach Monastyru ani jednej wzmianki, że był tu jeniecki obóz oficerów polskich.

Po długich pertraktacjach nasz kapelan ks. Czesław Szymański odprawia przy prawosławnych świeczkach i przywiezionych z kraju zniczach Mszę. Ma ona wymiar ekumeniczny, jak i ekumeniczne są nasze znicze płonące pod prawosławnym krzyżem na dziedzińcu.

Chodzę po terenie. Przedeptuję te same ścieżki, które przedeptywali Tamci. Chodzimy po tych sześciu, czy siedmiu rozrzuconych budynkach. Co wtedy w nich było, kto w nich przebywał? Szukamy śladów, szukamy napisów. Nie ma ani jednego słowa po polsku. Nie ma śladów, nie ma świadków.

Na dziedzińcu pełno pracujących ludzi. Wielu z nich nosi brody. Może to mnisi? Ciężkie samochody potężnymi oponami rozjeżdżają gliniaste podłoże. Betoniarka pracuje bez przerwy. Mężczyźni wykonują ciężkie prace fizyczne, kobiety i dzieci kopią i grabią teren. Przyjechali tu z Moskwy, Kijowa, Leningradu, poświęcają swoje urlopy na odnowę świątyni.

Miłe i pogodne kobiety chętnie rozmawiają z nami, ale o historii tych zabudowań nic nie wiedzą. Wyjaśniamy o losie naszych oficerów, którzy tu przebywali do wiosny 1940 roku. Błękitnookie spojrzenie towarzyszy nam wszędzie.

Idziemy do skitu oddalonego o jakieś dwieście — trzysta metrów. Tu gdzieś był cmentarzyk Tych, którzy nie doczekali Lasu Katyńskiego. Nie ma ani śladu tamtego miejsca. Kilka różnych budynków, zamknięta cerkiew. Jest tablica! Ważne wydarzenie: „*Tu przebywał krótko Lew Tołstoj*". I znów ani śladu tego czego szukamy.

Ktoś tryumfalnie krzyczy „Patrzcie co mamy!", i unosi drewnianą ławeczkę. To dar jednej z chłopek zamieszkałej w pobliżu. Wykonali ją polscy oficerowie. To jedyna pamiątka, to jedyna relikwia, jaką wywozimy z Kozielska.

Kozielski Monastyr żegna nas przepięknym wielogłosowym śpiewem i dźwiękiem dzwonów.

Przy wieczornym posiłku zaskakująca wiadomość. Mamy natychmiast opuścić Kozielsk! W planie mieliśmy odjechać następnego dnia rano. Pakujemy się do wagonów, żegnani przez błękitnooką opiekunkę i odjeżdżamy w nieznanym kierunku. Stajemy na jakiejś niewidocznej stacyjce. Nikt nic nie wie.

Wreszcie Smoleńsk. Prysznic i krótki odpoczynek. Niedospane noce dają o sobie znać.

Autokar już miał odjechać, kiedy milicjant zainteresował się brakiem klucza od pokoju 204, a następnie spytał o dwóch nieobecnych. Ostatnie drapanie się na smoleńskiej bocznicy do naszych wagonów. Pociąg rusza.

Przejechałem setki kilometrów, by być zaledwie o setki metrów od tego najważniejszego Miejsca. Nie Kozielsk, a właśnie Katyń był dla mnie największym przeżyciem.

WŁADYSŁAW KOROWAJCZYK

„Archipelag GUŁag" — fragmenty.

Czerwone sznury wagonów — to najlepszy środek transportu, kiedy sądy zaczynają gdzieś pracować na pełnych obrotach, albo jeśli gdzieś zborniak jest przepełniony. Można wtedy od razu wyprawić w drogę dużą masę aresztantów. W ten sposób wysłano miliony chłopów w latach 1929-31. Tak wysiedlano Leningrad z Leningradu. W latach 30. tą metodą przeprowadzono akcję osiedleńczą na Kołymie i stolica nasza, Moskwa, codziennie wypluwała taki pociąg w stronę Sowgawani i portu Wanino. Każda stolica okręgu również wysyłała podobne czerwone pociągi, tyle że nie codziennie. W 1941 roku przesiedlono tak całą Republikę Niemców Nadwołżańskich do Kazachstanu, a później szereg innych narodów.

W 1945 roku takie pociągi wiozły rosyjskich marnotrawnych synów i córki z Niemiec, Czechosłowacji, z Austrii, albo po prostu — z zachodnich przejść granicznych, jeśli ktoś sam się tam zgłosił. W 1949 roku w ten sposób przewieziono skazanych z artykułu 58 do Obozów Specjalnych.

Stołypinki kursują w zgodzie z trywialnym rozkładem kolejowym, czerwone zaś towarniaki — na mocy zleceń specjalnych podpisanych przez bardzo ważnego generała z GUŁagu. Stołypinka musi jechać do jakiejś określonej miejscowości, u kresu jej marszruty jest zawsze jakiś dworzec, a więc miasteczko, choćby nawet nędzne, a zatem jest również areszt pod dachem. Ale czerwony eszelon może jechać w pustkę: gdzie przyjedzie, tam obok niego natychmiast wyłania się z odmętów stepu czy tajgi nowa wyspa Archipelagu.

Nie każdy czerwony wagon — i nie od razu — może służyć do przewozu więźniów. Naprzód musi być odpowiednio przygotowany. Nie tak jednak, jak to sobie może zdążył już wyobrazić czytelnik: nie chodzi o to, żeby go zamieść i oczyścić z węgla, albo wapna, które przedtem się w nim woziło, to robi się nie zawsze. I nie na tym ma polegać przygotowanie, że — jeśli to zima — uszczelniają go i wstawiają piec.

Gdy wybudowany był odcinek kolei między Kniaź-Pogostem a Ropczą, jeszcze przed włączeniem do ogólnej sieci kolejowej zaczęto tamtędy przewozić więźniów w wagonach pozbawionych zarówno pieców, jak nar. Więźniowie leżeli zimą na podłodze pokrytej skorupą śniegu, nie otrzymując przy tym nic gorącego do jedzenia pod pretekstem, że pociąg pokonywał tę przestrzeń w czasie krótszym niż 24 godziny. Kto sądzi, że potrafi przeleżeć tam z nimi tych 18—20 godzin, niech sobie to wyobrazi!

A oto czego dotyczą przygotowania: trzeba sprawdzić podłogi, czy szczelne i mocne, to samo ze ścianami i sufitami wagonów; trzeba starannie okratować malutkie ich okienka; trzeba wyciąć w podłodze otwór na zlew i miejsce to starannie zabezpieczyć dookoła blachą i gęstymi rządkami ćwieków; wzdłuż całego eszelonu trzeba równomiernie i w odpowiednio bliskich odległościach urządzić budki hamulcowe (stoją w nich wartownicy z karabinami maszynowymi), jeśli zaś nie ma odpowiedniej ilości wagonów z budkami, to trzeba te budki skonstruować, trzeba umocować drabinki do wchodzenia na dach, trzeba rozplanować stanowiska reflektorów i zapewnić im stały dopływ prądu; trzeba sporządzić drewniane młotki z długimi rączkami; trzeba doczepić osobowy wagon dla sztabu, a jeśli nie ma go pod ręką — to należy przyzwoicie urządzić specjalne wagony towarowe z ogrzewaniem i meblami dla naczelnika eskorty, dla pełnomocnika służby bezpieczeństwa i dla konwojentów, trzeba wreszcie urządzić kuchnię — jedną dla konwojentów, drugą dla więźniów. Dopiero po tym wszystkim można przejść wzdłuż wagonów i wypisać na nich kredą, ukośnie: **„sprzęt specjalny"**, albo nawet **„ładunek łatwo psujący się". (...)**

Adaptacja wagonów jest zakończona, i teraz rozpoczyna się skomplikowana operacja bojowa: załadowanie więźniów. Ma ona dwa ważne i pilne cele:

— ukrycie załadunku przed ludnością oraz

— sterroryzowanie więźniów.

Utrzymać załadunek w tajemnicy przed ludnością trzeba dlatego, że transport składa się z około tysiąca ludzi (co najmniej dwadzieścia pięć wagonów), a to nie jest już mała grupka ze stołypinki, którą można prowadzić nawet przy świadkach. Wszyscy wiedzą, oczywiście, że nie ma dnia, nie ma godziny bez aresztowań, ale nikt nie powinien doznać szoku, widząc tych ludzi wszystkich RAZEM.

W Orle, w 1933 roku nie dawało się ukryć, że nie ma w mieście domu, z którego by kogoś nie wzięto za kraty, również chłopskie wozy z płaczącymi babami wypełniały plac przed orłowskim więzieniem, jak na obrazie „Poranek strzeleckiej kaźni" Surikowa. (...) Ale nie wolno pokazywać naszym sowieckim ludziom, że w ciągu doby zebrać można tym sposobem cały eszelon kolejowy (a w Orle tamtego roku tak właśnie było). **I młodzież też nie powinna tego widzieć. Młodzież — to nasza przyszłość.** I dlatego tylko w nocy — noc w noc, noc w noc, przez kilka miesięcy z rzędu — z więzienia na dworzec wyprowadzają na piechotę czarną kolumnę (karetki są zajęte nowymi aresztowaniami).

Co prawda, baby zawsze się połapią, te kobiety zawsze się jakimś cudem dowiedzą — i oto już z całego miasta skradają się w nocy w stronę dworca, czatują tam na transport na bocznych torach i biegną potem wzdłuż składu, potykając się o podkłady i szyny, żeby krzyczeć pod każdym wagonem: nie ma tu takiego, a takiego...? I nagle słychać odzew z zamkniętego na głucho wagonu: **„jestem! tu jestem!"**, albo: **„szukajcie dalej! jest w następnym wagonie!"**, albo: **„słuchajcie, kobiety! moja żona jest tu gdzieś niedaleko, koło dworca, lećcie ją zawołać!"**. Te nie licujące z duchem współczesności sceny są jedynie dowodem nieudolnej organizacji załadunku do transportów. Ale omyłki brane są pod uwagę i którejś nocy kolejny transport otoczony jest już szerokim kordonem ujadających i wyjących psów policyjnych.

Również w Moskwie — i ze starego Sretienskiego zborniaka (dziś więźniowie już go nie pamiętają) i z Krasnej Presni — wyprowadzano więźniów do czerwonych pociągów tylko w nocy, to była zasada.

Nie chcąc korzystać ze zbyt jaskrawych promieni słonecznych, eskorta wykorzystuje jednak nocne słońca-reflektory. Wygodne to już dlatego, że można je zgromadzić tam, gdzie są najpotrzebniejsze — w punkcie, gdzie przerażony tłumek aresztantów siedzi na ziemi w oczekiwaniu rozkazu: **„Następna piątka — wstać! Do wagonu biegiem — marsz!" (...)**

Powinny też oświetlać i tę wyboistą ścieżkę, po której biegną, i trap, po którym się wdrapują. Widmowe, złowrogie snopy reflektorów służą nie tylko do oświetlenia; są ważnym teatralnym elementem atmosfery strachu, razem z brutalnymi groźbami i ciosami kolb, którymi pogania się opieszałych; razem z rozkazem — **„Siadać na ziemi!"**. A niekiedy — właśnie w Orle na placu dworcowym: **„Na kolana"! (...)**

Najważniejsze jest zmiażdżenie, zniweczenie siły woli aresztanta, do tego stopnia, aby nikt nawet pomyśleć nie mógł o ucieczce i żeby jeszcze przez czas dłuższy więźniowie nie potrafili zrozumieć wagi swojego nowego przywileju: z kamiennego więzienia przeniesiono ich do wagonu z cienkich desek.

Ale żeby tak składnie móc załadować w nocy tysiąc ludzi do wagonów, trzeba, żeby zaczęto wyciągać ich z cel i przygotowywać do transportu już poprzedniego dnia rankiem i żeby konwój przez cały dzień z drobiazgowością i surowością przejmował swoich eskortowanych po to, aby później przez długie godziny trzymać ich nie w celach, tylko na dziedzińcu, na ziemi; niech nie mieszają się z resztą więźniów. W ten sposób nocny załadunek jest dla więźniów tylko ulgą, zakończeniem całodziennej udręki.

Oprócz zwyczajnych apelów, sprawozdań, strzyżenia, dezynfekcji i kąpieli, zasadniczą częścią przygotowania do transportu jest generalna rewizja, czyli kipisz. Rewizje przeprowadza nie personel więzienny, lecz eskorta. Zgodnie z instrukcją o transportach kolejowych i własnymi planami operacyjno-bojowymi, eskorta powinna przeprowadzić tę rewizję tak, aby nie zostawić więźniom niczego, co mogłoby pomóc im w ucieczce: zabrać wszystkie narzędzia ostre i spiczaste; odebrać proszki wszelkiego rodzaju (do zębów, cukier-farynę, sól, tytoń, herbatę), aby nie można było oślepić nimi konwojenta; skonfiskować wszelkie lin-

Rys. Dariusz Romanowicz

Karawany niewolników

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ki, sznurki, paski do spodni itd., ponieważ wszystko to może być wykorzystane przy ucieczce (a więc również rzemyki! i oto obcina się rzemyczki, którymi przywiązuje do kikuta protezę więzień bez nogi — kaleka zarzuca sobie sztuczną nogę na ramię i skacze, podtrzymywany przez sąsiadów). Pozostałe zaś rzeczy — cenniejsze przedmioty, a także walizki z zawartością, powinny być według instrukcji zabrane do wagonu-przechowalni, zwrócone zaś być mają właścicielom dopiero po przybyciu na miejsce.

Ale władza moskiewskiej instrukcji nad konwojem z Wołogdy albo Kujbyszewa jest słaba, kusa, władza zaś eskorty nad aresztantami jest namacalna. I to jest czynnik decydujący dla osiągnięcia trzeciego celu całej operacji załadunku:

— zaprowadzić sprawiedliwość, odbierając porządne rzeczy wrogom ludu, aby mogli mieć z nich pożytek jego synowie.

„Usiąść na ziemi!", „Na kolana!", „Rozebrać się do naga!" — te regulaminowe komendy to głos udzielnej władzy, z którą nie ma dyskusji. Przecież goły człowiek traci pewność siebie, nie może już dumnie wyprostować się i rozmawiać z kimś ubranym, jak z równym. Rozpoczyna się rewizja (Kujbyszew, lato 1949 roku). Nagusy podchodzą szeregiem, niosąc w ręku swoje rzeczy i odzież. Dookoła — mnóstwo gotowych do akcji, uzbrojonych żołnierzy. Nastrój jest taki, jakby za chwilę miano nie ruszyć w drogę, tylko rozstrzeliwać, albo palić w komorach gazowych — nastrój, w którym człowiek przestaje się już troszczyć o swoje rzeczy.

Eskorta zachowuje się z ostentacyjną, grubiańską surowością; ani słowa — ludzkim głosem, przecież chodzi o to, ażeby nastraszyć i zacukać tych ludzi. Walizy są opróżniane (rzeczy wytrząsa się na ziemię) i rzucane osobno na kupę. Papierośnice, portfele oraz inne żałosne więźniarskie „skarby" też są odbierane i bezimiennie rzucane do stojącej obok b e c z k i. (I właśnie fakt, że nie jest to żadna kasa ani kufer, ani nawet skrzynia, lecz beczka — szczególnie przygnębia rozebranych do goła właścicieli i odbiera wszelką chęć do protestu). Goli ludzie dążą tylko podnosić z ziemi swoje, poddane już rewizji, szmatki i wpychać je do węzełka, albo zawijać w koc. Walonki? Możesz oddać, rzuć no je tam, pokwituj w tym wykazie! (Nie tobie dają kwit, tylko ty musisz potwierdzić podpisem, że rzuciłeś na kupę!). I kiedy z więziennego dziedzińca, już o zmroku odjeżdża ostatnia ciężarówka z aresztantami — widzą oni jak konwojenci zabierają sobie najlepsze skórzane walizki i wyławiają z beczki najładniejsze papierośnice. Po nich rzucają się na łupy klucznicy, a w ślad za nimi sfora l i g a w y c h ze zborniaka. (...)

Jeżeli w wagonie są knajacy (a też przecież nie trzymają ich oddzielnie w czerwonych transportach), to zajmują swoje tradycyjne miejsca, na górnych narach przy oknie. Tak jest latem. Zgadnijmy teraz, jakie miejsca wybierają sobie zimą? A obok piecyka, rzecz jasna, ciasnym kręgiem wokół piecyka! Jak relacjonuje były złodziej Minajew w czasie lutych mrozów ich wagon towarowy na całą trasę od Woroneża do Kotłassu — (to znaczy — na kilka dni i nocy) w 1949 roku dostał t r z y w i a d r a węgla! Tu już knajacy nie tylko że zajęli wszystkie miejsca dokoła piecyka, nie tylko że odebrali f r a j e r o m wszystkie ciepłe rzeczy, owinąwszy się nimi, ale nie powstrzymywali się nawet od wytrząśnięcia onuc z ich butów i opatulenia nimi swych szemranych nóg. Ja zdechnę jutro, ale ty już dzisiaj! Kiedy zaczyna brakować jedzenia — cały przydział dla wagonu przechodzi najpierw przez ręce knajaków, którzy biorą sobie wszystko, co najlepsze, albo co im się podoba.

Łoszczylin wspomina trzydobową jazdę z Moskwy do Pereborów w 1937 roku. Na byle trzy doby nie warto było konwojentom bawić się w kucharzy, więc wydano więźniom suchy prowiant. Złodzieje zabierali dla siebie tylko cukierki, a chleb i śledzie pozwalali rozdzielać między resztę, dowód, że nie czuli głodu. Gdy dają zaś coś gorącego, a złodziejska ferajna ma apetyt, sama ona zajmuje się nawet rozdzielaniem sałamachy (trzytygodniowy etap Kiszyniów-Pieczora, 1945). Z tym wszystkim nie brzydzą się knajacy również zwyczajnym rabunkiem: zobaczyli u pewnego Estończyka złote zęby, więc położyli go na ziemi i wybili zęby pogrzebaczem.

Za dużą zaletę towarniaków uważają więźniowie gorącą kuchnię: na głuchych przystankach (znów chodzi o to, żeby ludzie nie widzieli) eszelon zatrzymuje się i każdy wagon dostaje ciepłą szałamachę i kaszę. Ale nawet to gorące żarcie potrafią tak podać, żeby bokiem wyszło. Albo (jak we wspomnianym już kiszyniowskim eszelonie) nalewają bałandę do tych samych wiader, w których nosi się węgiel. Nie ma nawet czym opłukać! — ponieważ także woda do picia jest porcjowana, jeszcze bardziej jej skąpią niż sałamachy. Siorbie człowiek tę bałandę, a okruchy węgla trzeszczą mu między zębami. Albo znowu — przyniosą bałandę i kaszę do wagonu, ale misek wydadzą mniej niż trzeba, nie 40, tylko 25, a jeszcze przygadują: **„Prędzej, prędzej, inne wagony też musimy nakarmić nie tylko wasz jeden!"**. Jak tu jeść? Jak to dzielić? Nie sposób rozlać sprawiedliwie, bo trzeba pierwszej grupie dać mniej, mierząc na oko, żeby dla reszty starczyło. (Ci pierwsi krzyczą „Mieszaj, no, mieszaj!", ci drudzy milczą: niech na dnie zostanie to, co gęste). Pierwsi jedzą, reszta czeka — pospieszcie się, bośmy głodni i bałanda stygnie w kubie, a ci na zewnątrz poganiają: **„Już skończone? Długo czekać?"**. Teraz trzeba nakłaść tej reszcie — i nie więcej, i nie mniej, i żeby nie było gęstsze, ani rzadsze, niż w pierwszej turze. Teraz trzeba jeszcze zgadnąć czy zostanie na repetkę i rozlać to — choćby do jednej miski na dwóch. **Przez cały ten czas** czterdziestu ludzi nie tyle je, ile przyglądu się temu dzieleniu i zadręcza się.

Nie uratują od chłodu, nie obronią przed knajakami, nie napoją, nie nakarmią człowieka — **ale spać też nie dadzą.** We dnie konwojenci dobrze widzą cały pociąg i tory za nim, widzą, czy kto nie wyskoczył, albo nie leży między szynami; w nocy natomiast czujność nie daje im chwili spokoju. Drewnianymi młotkami na długim stylisku (GUŁagowski standard) nocami na każdym przystanku hałaśliwie opukują każdą deskę każdego wagonu: czy jej przypadkiem już nie zdążono wypiłować?

Na niektórych zaś stacjach otwierają drzwi wagonu. Światło latarek, albo nawet promień reflektora: **„Kontrola!"**. Znaczy to, że trzeba się zerwać i być gotowym do przejścia w lewo, albo na prawo, gdzie ci wskażą. Wskoczyli do środka konwojenci z młotkami (inni zaś, z najeżonymi automatami, stoją półkolem przed drzwiami).

Pada rozkaz: „Na lewo!" — To znaczy, że ci z lewej stoją, jak stali, a ci z prawej mają przebiec na tamtą stronę, jak popy skacząc jeden przez drugiego. Kto za mało zręczny, kto się zagapił — ten dostanie młotkiem w bok albo po grzbiecie — żeby nabrał rzeźkości! Oto już konwojenckie buciory depczą nasze nędzarskie łoża, rozkopują nasze szmatki, świecą lampami i popukują młotkami, czy aby nie jest gdzieś przepiłowane. Nigdzie. Wówczas konwojenci stają pośrodku wagonu i zaczynają przepuszczać nas z lewa na prawo, po jednym: **„Pierwszy!... Drugi! ... Trzeci..."** Wystarczyłoby liczyć zwyczajnie, palcem kiwać, ale to by strachu Bożego nie budziło. Bardziej poglądowo, dokładnie, żwawo i szybko **będzie przecie prowadzić ten rachunek** młotkiem po grzbietach, bokach, głowach, gdzie popadnie. Przeliczono całą czterdziestkę. Teraz trzeba jeszcze rozgrzebać, oświetlić i opukać lewą stronę.

Koniec, wyszli, zatrzasnęli wagon. Możecie spać do następnego przystanku.

Z czerwonych wagonów można uciec, jeżeli się kto zna na rzeczy. Ot, puknęli młotkiem po desce — a deska już prawie przepiłowana. Albo rano, przy rozdawaniu sałamachy straż widzi, że wśród nie golonych twarzy jest też kilka gładkich. I zaraz otaczają wagon, trzymając automaty w ręku: **„Oddać nożce."**. A wszystkiemu winne fircykowskie zapędy knajaków oraz ich świty: uprzykrzyło im się chodzić ze szczeciną na gębie i teraz trzeba będzie oddać MOJKĘ, czyli brzytwę.

Od innych bezpośrednich pociągów dalekobieżnych czerwony eszelon jeszcze tym się różni, że pasażer wcale nie wie, czy kiedykolwiek z niego wysiądzie. Kiedy z Solikamsku rozładowywano transport z więzień leningradzkich (1942) — cały nasyp usłany był trupami, tylko niewielu żywych dojechało. Podczas zim 1944-45, 1945-46 do posiołka Żelaznodorożnyj (Kniaź-Pogost), jak zresztą bywało w innych stacjach węzłowych Północy, aresztanckie eszelony z wyzwolonych terenów — nadbałtyckich, polski, niemiecki — przybywały, mając w składzie wagon, albo dwa z trupami. Ale to znaczy, że tutaj w czasie drogi starano się przenosić trupy z wagonów dla żywych do wagonów — kostnic. Tak jednak było nie zawsze. Na stacji Suchobezwodnaja (Unżłag) zdarzało się często, że drzwi wagonów uchylano tylko po to, żeby zapytać kto tu żyje, a kto już umarł: jak nie wyłazi na zewnątrz, to znaczy, że umarł.

Jazda zimą to rzecz budząca strach i grożąca śmiercią, bo konwój tyle ma kłopotów z czujnością, że sił mu już nie starcza, aby nosić węgiel dla dwudziestu pięciu piecyków. Ale nie tak znowu słodko jeździć w trakcie upałów: z czterech małych okienek dwa są zabite na głucho, dach jest rozpalony; a eskorta musiałaby się bardzo nadwerężyć, chcąc nosić wodę dla tysiąca ludzi, jeżeli trudno im było napoić jedną stołypinkę. Najlepsze miesiące dla jazdy to, zdaniem więźniów, kwiecień i wrzesień. Ale nawet najlepszy sezon zdąży przeminąć, jeżeli pociąg idzie TRZY MIESIĄCE (Leningrad-Władywostok — 1935). Skoro zaś już zaplanowano długi kurs, to zatroszczono się też zawczasu o szkolenie polityczne konwojentów i opiekę duchową nad więźniami: w osobnym wagonie jedzie z transportem k u m — pełnomocnik operacyjny bezpieczeństwa.

Przygotował się zawczasu do tej podróży — jeszcze w więzieniu i aresztanci rozmieszczeni są w wagonach nie byle jak, ale według spisów opatrzonych jego wizą. To on zatwierdza starostę każdego wagonu, to on przeinstruował i wsadził do każdego wagonu swojego kapusia. Na długich przystankach kum zawsze znajdzie pretekst, żeby wezwać jednego i drugiego i wypytać, o czym w danym wagonie się rozmawia. Takiemu o p e r o w i wstyd byłoby zakończyć podróż bez widomych rezultatów — więc już w drodze wszczyna śledztwo przeciw komuś. Patrzeć — a zanim człowiek dojdzie na miejsce przeznaczenia, już ma doczepiony nowy wyrok. (...)

Nadzieja i niecierpliwość — oto czym żyje człowiek. Wierzy, że w obozie o p e r będzie bardziej ludzki, a kapusie — nie tak nieludzcy. Ależ przecenił! Myśli, że kiedy tam przybędziemy — to nie usłyszymy zaraz tych samych gróźb, tego samego psiego ujadania i tego samego rozkazu: **„Siadać na ziemi!"**. Albo sądzi, że jeśli teraz śniegiem zaciąga wnętrze wagonu, to później, po zejściu na ziemię, warstwa jego nie okaże się jeszcze grubsza.

Skoro za chwilę nas wyładują, to sądzisz, że jesteśmy już na miejscu, że nie **powiezą nas dalej wąskotorówką, na otwartych platformach?** A jak tu ludzi wieźć na otwartych lorach? jak konwojować? — oto łamigłówka dla eskorty. Robi się to tak: każą nam skupić się, położyć pokotem i wtedy przykryją wszystkich na lorze wielką płachtą brezentową, jak marynarzy w filmie „Pancernik Potiomkin" przed rozstrzelaniem. Ten brezent to jeszcze dobrodziejstwo! Oleniew z grupą towarzyszy musiał na dalekiej północy przesiedzieć w październiku na otwartych lorach cały dzień. (Już ich załadowano, a lokomotywa nie nadchodziła). Z początku padał deszcz, później chwycił mróz i lachmany na zekach zamarzły. Samowarek rozkołysze się w biegu, niskie burty platformy zaczną trzeszczeć i popękają, wreszcie od tego kołysania ktoś wypadnie pod koła.

A teraz zagadka: z Dudinki trzeba jechać wąskotorówką 100 km na otwartych platformach. Jeśli mróz jest polarny, to gdzie rozsiadają się knajacy? A w samym środku każdej platformy, tak, żeby bydełko grzało ich ze wszystkich stron i żeby samemu nie spaść na szyny. I słusznie.

Jeszcze jedno pytanie: a co zobaczy zek na stacji końcowej tej wąskotorówki (1939)? Czy będą tam jakieś budynki? Ani jednego. Ziemianki? Owszem, ale już pełniusieńkie, nie dla nich. A więc będą musieli od razu wykopać ziemianki dla siebie? Nie, bo jak tu je kopać w czasie zimy polarnej? Pójdą natomiast wydobywać rudę. — No a co z mieszkaniem? — Z jakim mieszkaniem? ... Ach, gdzie będą mieszkać? ... Mieszkać będą w namiotach.

Ale czy zawsze trzeba jechać wąskotorówką? ... Pewno, że nie. Oto scena przyjazdu na ostatni przystanek: Jercowo, luty 1938. Wagony odryglowano w nocy. Wzdłuż pociągu rozpalono ogniska. I w ich blasku odbywa się wyładowanie ludzi na śnieg, liczenie ich, ustawianie szeregiem, ponowny apel. Mróz — 32 stopnie poniżej zera. Transport — z Zagłębia Donieckiego, aresztowano wszystkich jeszcze latem, dlatego mają na nogach półbuty, pantofle, sandały. Próbują pogrzać się przy ogniskach — zostają odpędzeni: ogniska rozpalono nie po to, tylko żeby jaśniej było. Już po minucie martwieją palce. Śniegu już pełno w lekkim obuwiu, już wcale nie taje. Żadnej litości, rozlega się rozkaz: **„Zbiórka! Szeregiem!... Krok w prawo... krok w lewo... Strzelam bez uprzedzenia... Marsz!"**.

Zawyły na łańcuchach psy, słysząc najmilsze im słowa, podniecone nadejściem lubej chwili. Ruszyli konwojenci w półkożuszkach, a skazańcy w letnich szmatkach pobrnęli zaśnieżoną i zupełnie nieprzetartą drogą — gdzieś w głąb ciemnej tajgi. Przed nimi — ani światełka. Tylko zorza polarna się pali — nasza pierwsza i na pewno ostatnia... Świerki trzaskają na mrozie. Ludzie bez butów mieszą i orzą śnieg drętwiejącymi stopami i goleniami.

Albo inny przyjazd — na Pieczorę, w styczniu 1945 roku. („Nasze wojska zdobyły Warszawę!... Nasze wojska odcięły Prusy Wschodnie!..."). Puste, zaśnieżone pole. Wyrzuconych z wagonów zeków posadzono w śniegu, po sześciu w każdym rzędzie. Długo ich liczono, myląc się i znów zaczynając od początku. Transport też z południa (Mołdawia), wszyscy mają na nogach tylko skórzane obuwie. Owczarkom pozwolono iść tuż za ostatnim szeregiem, szturchały więc idących tam zeków łapami, psim oddechem zionęły w karki (w ostatnim szeregu szło dwóch duchownych — stary, siwowłosy ojciec Fiodor Floria i podtrzymujący go młody pop, Wiktor Szypowalnikow). To się nazywa życie pod psem! Nie, podziwiać trzeba raczej panowanie nad sobą tych psów! — toż tak im się chce ukąsić!

No, nareszcie dotarli do celu. Obozowa łaźnia: rozbieralnia w jednym budyneczku, potem trzeba przebiec przez dziedziniec na golasa, żeby wykąpać się w drugim. Ale teraz już wszystko będzie do zniesienia; najgorsze już mają za sobą. Teraz już człowiek PRZYJECHAŁ! Zapadł zmrok. (...)

Z rosyjskiego przełożył:
MICHAŁ KANTOWSKI

(Według wydania Instytutu Literackiego, Paryż 1974.)

Wideonotes

FILM TV WIDEO

„Jeniec Europy" Jerzego Kawalerowicza, to film o upadku giganta, mocarza, wodza i męża stanu, Napoleona Bonaparte. Opowiadą o ostatnich miesiącach życia tego człowieka na wyspie św. Heleny, ostatnim miejscu ziemskiego pobytu, gdzie — czujnie strzeżony — dożyje swych dni w otoczeniu najwierniejszych towarzyszy i nielicznych członków rodziny. Oglądamy Napoleona nieznanego: podstarzałego, schorowanego, otyłego. Pod witalnym i ostrym niegdyś kochankiem — dziś parnicznoność zawsze polegnie wobec wyobraźni artysty. Jeniec i jego stróż widzą się zaledwie kilka razy, ale „towarzyszą" sobie bez przerwy, wypełniając wzajemnie myśli, oplątując nimi aż do obsesji. Gubernator, nawet ściągając gacie w sypialni żony, myśli i mówi tylko o Napoleonie.

Śmierć Cesarza Francuzów kładzie się długim cieniem na nazwisku i postaci gubernatora, który bojkotowany jest przez swych rodaków nawet w odległych koloniach, kolejnych etapach służbowego pobytu, jako wątpliwej moralności prześladowca uwięzionego i sprawca jego przedwczesnej śmierci. Odwoływany i przenoszony w coraz to inne miejsca, zmienia nazwisko i wreszcie sam umiera, a do dziś nie jest znane miejsce jego wiecznego spoczynku. Nazwisko jego przeszło do historii dzięki Bonapartemu, co w czasie jednej z nielicznych bezpośrednich rozmów obu bohaterów Napoleon zgryźliwie, acz trafnie przepowiedział. Te uzupełniające informacje pochodzą od reżysera, który w czasie popremierowego spotkania z publicznością w kinie ŁDK odpowiadał szczegółowo na pytania dotyczące filmu. Na marginesie: Jerzy Kawalerowicz był bardzo zadowolony z przebiegu łódzkiej premiery, a porównując ją z warszawską, powiedział, iż tamta była „odfajkowana".

Kawalerowicz zrealizował film kameralny, ale pełen napięć, dramatyzmu i emocji. Pasjonujący jest pojedynek jego bohaterów na tle surowego, skalistego pejzażu filmowej wyspy św. Heleny, pejzażu filmowanego wybornie przez **Wiesława Zdorta**. **Roland Blanche**, wcielający się w postać Napoleona, jest uderzająco podobny do najbardziej znanych wizerunków cesarza. Gra drapieżnie, ekspresyjnie, przykuwa uwagę. Inne postacie przy nim bledną, stają się mało ważne, prócz osoby gubernatora — o ostrym, wyrazistym obliczu — godnemu partnera ekranowych zmagań.

Napoleon umiera jako moralny zwycięzca ostatniej batalii swego życia. Jest to więc także film o godności, o rzadkiej umiejętności przegrywania. Tym bardziej, że przegrany nie zawsze znaczy pokonany. Nie histeryzuje więc jak egzaltowana idiotka, nie ucieka się do niegodnych, podstępnych metod, nie naciera za węgła. Staje twarzą w twarz z przeciwnikiem, korzysta z fantazji i wyobraźni. Jego siła, duma i nieugiętość stawiają na baczność gubernatora, wywołują wściekłość, ale i szacunek, powodują cofnięcie niektórych restrykcji, a kto wie, czy nie wprawiają w ukrywany umiejętnie podziw. Ten więzień panuje nad swoim strażnikiem, paraliżuje go, znniewala.

„Jeniec Europy" zamyka jakby cykl filmów Kawalerowicza o władzy, jej mechanizmach i tajnikach. Tu bohater przegrał władzę, musiał ją oddać, by w oddaleniu od świata smakować gorycz porażki. Nie chciał jednak godności osobistej, honoru, dumy dawnego zwycięzcy, bo tego — jeśli już jest w człowieku — nikt odebrać nie może. I ta warstwa filmu jest uniwersalna, ponadczasowa i ponadnarodowa, a w dzisiejszej Polsce szczególnie aktualna. Film Kawalerowicza powinni obejrzeć byli prominenci i dzisiejsi sternicy „przewodniej siły narodu", ze szczególnym uwzględnieniem sterników Łodzi (miasta). Niech się uczą na najlepszych wzorach, jak należy przegrywać z honorem.

MAREK KOPROWSKI

Zwyciężyć przegrywając

tnerka aktu seksualnego jest wyraźnie znudzona, bo on jakiś niezdarny, spocony, ospały — ku zdumieniu widza przyzwyczajonego do zupełnie innego opisu tej niezwykle popularnej w Polsce (i nieco przemitologizowanej) postaci historycznej. Nie osłabł jednak jego duch, charakter i honor; imponuje potęga dumy, godności i siły woli. Urodzony wojownik, wódz i strateg, prowadzi swoją ostatnią walkę, z angielskim gubernatorem wyspy panem Hudsonem Lowe **(Vernon Dobtcheff)**, twardo, konsekwentnie i skutecznie. Właściwie Bnaparte skupia się tu na dwóch rzeczach: na analizie przyczyny niepowodzeń wojennych i obmyślaniu strategicznych posunięć skierowanych przeciwko gubernatorowi. Udaje mu się wywołać (na odległość) dezaprobatę i niechęć dworu angielskiego do sztywnej, formalistycznej postawy pana Lowe'a i jego decyzji zawężających i tak dość wąski margines swobód jeńca. Kurczowo trzymający się przepisów regulaminu urzędnik przegrywa pojedynek z eks-cesarzem, bo urzędnicza ogra-

Kibice z Warszawy przyjechali do Łodzi.

„Legia" wygrała, zadymy nie będzie

ANNA GRONCZEWSKA

Łodzi i Warszawy nie darzą siebie sympatią. Stąd taka ilość milicjantów. Wszystko w myśl zasady, iż ostrożności nigdy nie za wiele. Bywały bowiem lata, iż po takich spotkaniach kibice obu zespołów skrupulatnie liczyli rannych...

Cały peron błyskawicznie zapełnia się hałaśliwą grupą, bez przerwy skandującą: *„CWKS, CWKS, mistrzem jest"*. Ich zachowanie nie wzbudza entuzjazmu pozostałych podróżnych:

—Co za hołota! — mówi starsza pani — *pijane to wszystko, cały czas wulgarne słowa wykrzykiwali. Nawet w pociągu człowiek spokoju nie ma.*

— *A widziała pani jak się bili w Koluszkach?* — wtrąca mężczyzna w dużym kapeluszu.

— *Widziałam, hołota!* — stwierdza ze zgorszeniem starsza pani starając przecisnąć się do wyjścia.

Warszawskimi kibicami troskliwie zaopiekowali się milicjanci. Zarówno ci z Łodzi, którzy czekali na peronie, jak i ci z Warszawy — przybyli pociągiem. Błyskawicznie sformowali kolumnę. Na daną komendę 300 kibiców „Legii", w asyście panów w niebieskich mundurach rusza w stronę stadionu ŁKS.

Pochód młodych ludzi otoczonych kordonem milicji budzi duże zainteresowanie przechodniów. Na skrzyżowaniu al. Adama Mickiewicza i ul. Jana Kilińskiego przystanął staruszek. Nie może się nadziwić:

— *Co ich tak milicją obstawiają?* — pyta stojącego obok chłopaka.

— *Na mecz idą!*

— *Pewnie rozrabiać będą?*

— *A jak się ktoś napatoczy to i bić będą* — dodaje chłopak.

— *Świat się do góry przewraca!* — staruszek kręci głową.

— *Dlaczego?*

— *A czy od razu trzeba zabić kilkunastu?*

— *Nie będzie tak źle dziadku!* — mówi chłopak i odchodzi.

Staruszek jeszcze przez chwilę stoi i kiwa głową. Pewnie nie może zrozumieć dzisiejszego świata...

Marsz kibiców przebiega spokojnie. Pewnie niebieskie mundury odstraszyły „szalikowców" ŁKS. Nie ma okazji do zrobienia „zadymy". Można najwyżej *„nadziać się na milicyjną pałkę"*.

Kiedy kibice „Legii" grzecznie mijali ulicę Łąkową, w rejonach Dworca Kaliskiego doszło jednak do drobnych „nieporozumień". Nieliczni „odczepieńcy", czyli ci z warszawiaków, którzy zdołali się wymknąć spod milicyjnej eskorty i „solo" dotarli w te okolice, działają na łódzkich kibiców niczym czerwona płachta... W rejonie przystanku tramwajowego (obok kiosku, w którym zawsze można kupić papierosy) dochodzi do ataku na grupkę warszawskich kibiców. Siły są wyrównane — ośmiu na ośmiu. Jeden z chłopaków chwyta gruby kij, przypominający sztachetę. Może ten „argument" zadecydował, że przeciwnicy rozeszli się, nie robiąc sobie krzywdy? Do kolejnej potyczki dochodzi na skrzyżowaniu przy al. Unii. Tym razem szybka interwencja „mundurowych" zapobiega nieszczęściu. Milicjanci zatrzymują jednego z uczestników bójki:

— *Niech pan mnie puści* — prosi sympatyk „Legii" rodem ze Szczecina — *to oni zaczynali.*

— *Puść go* — niespodziewanie z pomocą szczecinianowi przychodzi inny milicjant.

— *Dobra, ale jak zacząłem spisywać to muszę dokończyć.*

Na stadionie ŁKS kibicom „Legii" wyznaczono specjalny sektor. Tam, za bramką dokładnie oddzieleni od łódzkiej publiczności mieli w spokoju obejrzeć mecz.

Przy wejściu do *„sektora zadżumionych"* porządkowi pilnie dokonują segregacji. Każdej próbującej dostać się tam osobie zadają pytanie: *Pan z Łodzi?* Jeśli odpowiedź jest twierdząca, delikwent musi poszukać sobie innego miejsca.

Kiedy Jacek Ziober i jego koledzy pierwszy i ostatni raz w tym meczu cieszyli się ze zdobycia bramki, większość kibiców w czerwono-biało-zielonych szalikach tłoczyła się jeszcze przy kasach. Nic więc dziwnego, że fani ŁKS przecierają oczy ze zdumienia. Z około 300-osobowej grupy, w chwili rozpoczęcia meczu „pod zegarem" siedzi z 40 warszawskich kibiców. Jednak stopniowo sektor zapełniał się...

Milicja nie miała zbyt wiele pracy. Wyprowadza kilka osób w *„stanie wskazującym na spożycie"* oraz paru desperatów usiłujących przedostać się na drugą stronę, z nadzieją, że jednak uda się zrobić „zadymę". W tej grupie jest i „znajomy" ze Szczecina. Tym razem milicjanci nie mieli litości i... szczecinianin meczu nie obejrzał.

Mija 15 minut i siły na trybunach wyrównują się (przy zachowaniu stosunku goście—gospodarze). Rozpoczyna się wojna na śpiewy, krzyki i wzajemne zagłuszenia. Trzeba przyznać, że repertuar warszawskich kibiców jest bardziej różnorodny. Oprócz miłosnego wyznania: *„Moja jedyna miłość CWKS..."*, można usłyszeć i taki „poetycki" tekst: *„W tramwaju jest tłok, kibice na „Legię" jadą, gdy nagle ktoś wstał, zaśpiewam wam pieśń o „Legii" mej ukochanej CWKS". „Do boju „Legia" Warszawa..."*.

W pewnej chwili stadion rozbrzmiał melodią starego przeboju Maryli Rodowicz, ale ze zmienionymi słowami: *„Wsiąść do pociągu prosto do Łodzi, wziąć z sobą kosę, na sztorc osadzoną, ściskając w ręku nóż sprężynowy..."* i dalej w tym samym „zaangażowanym" stylu, ulubioną piosenką kibiców „Legii" była chyba „Ballada o Mariuszu", zaśpiewana z wielkim „taktem i wyczuciem". Oto fragment tej pieśni": *... roku pamiętnego zabiła wam „Legia" kibica łódzkiego, cała Łódź płakała, Warszawa się śmiała..."*

Te „utwory" najlepiej obrazują stosunki panujące między łódzkimi i warszawskimi kibicami. Repertuar ŁKS jest bardziej jednostronny. Co pewien czas niczym bumerang powracał ten sam refren: *„CWKS, CWKS... jest"* (chodzi oczywiście o słowa uznane powszechnie za obelżywe). Nie zabrakło też standardowego: *„ŁKS, kochany klubie nasz, pokonasz „Legię", pokonasz"*.

Wśród sympatyków „Legii" (zresztą nie tylko) przeważają młodzi ludzie. W większości 16—17-latki. W dżinsowych kurtkach i z papierosem w ustach. Wyróżnia się pewien 20-latek, ubrany w sweter o klubowych barwach. Jest on chyba „duchowym przywódcą" grupy. Intonuje poszczególne „pieśni", zachęca do zagrzewania oklaskami do walki ukochanych piłkarzy:

— *Ej ty!* — strofuje jednego z chłopaków — *no klaszcz, klaszcz! Po co tu przyjechałeś?*

„Szef błyskawicznie reaguje na wszelkie przejawy wulgarnego zachowania ze strony swoich „podopiecznych":

— *Te, zamknijcie się, lumpy jedne! Słyszycie mongoły?!*

— Dobrze powiedziałeś! — chwali „szefa" kumpel.

Pośród kilkuset chłopców dostrzegam kilka dziewczyn. Podchodzę do nich:

— *Jesteście z Warszawy?* — pytam.

— *Tak* — odpowiadają.

— *Należycie do klubu kibica, czy przyjechałyście prywatnie?*

— *Prywatnie* — odpowiada „farbowana" blondyna.

— *Kibicujecie „Legii"??*

— *Tak.*

— *Kto jest waszym idolem?*

— *Romek Kosecki* — odpowiadają chórem, a w ich oczach pojawia się błysk.

— *Powiedzcie mi, dlaczego „Legia" tak nie lubi ŁKS-u?*

— *Ja tam kocham ŁKS* — odzywa się niewysoka czarnula o ostrym makijażu.

— *Żartujesz sobie* — mówię.

— *Bo kibice „Legii" zabili takiego chłopaka z Łodzi, tego Mariusza, co o nim śpiewali* — wtrąca siedzący w pobliżu chłopak.

— *Ale przedtem też nie było między wami najlepiej. Tak więc kto prowokuje? Wy czy ŁKS-iacy?*

— *ŁKS-iacy!* — czuję, że blondyna dysponuje „poważnymi" argumentami. — *Na przykład dzisiaj: „staliśmy w pięć na przystanku. Tu, niedaleko stadionu. Zobaczyli nas ŁKS-iacy i zaczęli krzyczeć: „Warszawskie k...!". Wyzywali nas po prostu. Dobrze, że nam nie wlali. Jeden już się do tego zabierał. Na szczęście jego kumpel zawołał, żeby nas nie bił, bo jesteśmy dziewczynami.*

— *Ale jakby łodzianie przyjechali do Warszawy, byłoby tak samo* — próbuje rozgrzeszyć łódzkich kibiców czarnula, ta co „kocha" ŁKS".

— *A w którym mieście jest najgorzej?*

— *Chyba w Poznaniu. Tam to już „idzie na noże"!*

— *Będzie dzisiaj zadyma?* — pytam na koniec.

— *Chyba nie, za dużo milicji. Zresztą jak „Legia" wygra, to na pewno nie będzie.*

Legia wygrała. Zadymy nie było.

Wideoteka „DK"

W maju 1988 r. na kiermaszu **„Domu Książki"** jako pierwszy w Polsce zaczął handlować wideokasetami. Dopiero po kilku miesiącach kasety zadomowiły się w księgarniach miast wojewódzkich, a w tym roku spowszedniały. I to tak dalece że w samej Łodzi stały się rarytasem trudnym do wypatrzenia na półkach.

Największy sukces odniósł zestaw bajek **Walta Disneya**, kopiowanych przez **„Polskie Nagrania"**. Dotąd ukazało się 7 tytułów. W Łódzkiem, Sieradzkiem, Skierniewickiem i Piotrkowskiem, gdzie handluje nasz „Dom Książki" — sprzedano od 3200 do 4500 sztuk kaset każdego tytułu. Ciekawe, że bestsellery książkowe trafiają do nas w mniejszych ilościach i są wielokrotnie tańsze. Obecnie bajki z „jaskiniowcami" i całą menażerią Disneya są wznawiane od pierwszej części po 30 tys. zł za 2-godzinne nagranie.

Dużym dostawcą wideokaset jest Przedsiębiorstwo Zagraniczne „ITI" z Warszawy, które sprzedało 29 tytułów, począwszy od **„10 lat kabaretu DUDEK"** (200 sztuk) po pełnometrażowy obraz dla młodej widowni pt. **„David i Sandy"** (1500 szt.). Bardzo dobrze sprzedawała się 2-częściowa adaptacja **„Mistrza i Małgorzaty"** według **M. Bułhakowa**, najsłabiej **„Kolędy"**. Z filmów polskich pojawiły się tylko hity w rodzaju **„Kariery Nikodema Dyzmy"**, **„Szaleństw panny Ewy"**, z zachodnich — **„Wielki skok"** i **„W pułapce czasu"** — oba sprawdzone na ekranach telewizyjnych — oraz nie znane u nas jeszcze: western **„Był sobie pociąg"** i sensacyjny **„Zrywanie więzi"**.

Rynek wideo penetruje także „Interpress-Film" rozpowszechniając **„W labiryncie"** (do 30 części włącznie) na taśmach „Kodaka" oraz **„Monografie twórców polskiego teatru"**. W tej serii ukazały się m.in.: **„Wajda"**, **„Kantor"**, **„Stuhr"**, **„Jasiński"**, **„Swinarski"**, **„Świderski"** i **„Jarocki"**. „Interpress-Film" dostarcza również taśmy wideo do nauki języków: angielskiego, francuskiego, niemieckiego i rosyjskiego. Wysoki nakład sprawia, że są w ciągłej sprzedaży. Również „ITI" wznawiało m.in. **kabarety „DUDEK" oraz „Panie kontrolerze"** z Pietrzakiem, ale firma ta nie jest w stanie zapełnić księgarni poszukiwanymi tytułami. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale jest faktem.

Wynika stąd, że ekspansja (?) oficjalnego wideo zaczęła się nietypowo, albowiem wszyscy producenci rozpoczęli działalność bardzo ambitnie, bo od teatru, kabaretów o najlepszych tradycjach, filmów instruktażowych — od nauki języków obcych po „Kuchnię chińską". Są to rzeczy adresowane do wąskich grup odbiorców. Nie ma praktycznie nic dla najliczniejszej rzeszy wideopubliczności, tj. dla grupy wiekowej od 12 do 25 roku życia. Brakuje drastycznie filmów fabularnych — polskich i zagranicznych oraz zestawów wideoklipów.

Licencje na zachodnie filmy kosztują w granicach tysiąca dolarów za jeden tytuł do skopiowania na kasetach. Przy obecnym swobodnym dostępie do twardej waluty (przetargi, dewizy w kantorach z pisemnym potwierdzeniem zakupu) — dziwi opieszałość „Polskich Nagrań", Przedsiębiorstwa Zagranicznego „ITI" oraz „Interpress-Filmu" w inwestowaniu w tak chodliwy towar, który najpóźniej po kilku miesiącach sprzedaży zwraca koszty. A już zupełnie niezrozumiałe jest pomijanie rodzimej produkcji filmowej.

ANDRZEJ WERBIK

„Odgłosy" proponują:

Film:

„Szklana pułapka" — reż. **John McTiernan**, produkcja USA — to opowieść o samotnej walce upartego i przebiegłego policjanta, odznaczająca się niezwykle szybką akcją, efektownymi bójkami oraz niewiarygodnymi wręcz wyczynami kaskaderskimi. Policjant z Nowego Jorku przyjeżdża do Los Angeles, gdzie przebywa jego żona, która opuściła go zabierając ze sobą dwoje dzieci. Trafia na świąteczne przyjęcie w wieżowcu korporacji Nakotomi, dla której pracuje jego żona. Beztroską zabawę przerywa wtargnięcie terrorystów, którzy zamierzają obrabować sejf korporacji i zatrzymują kilkudziesięciu zakładników. Odcięty od pomocy z zewnątrz policjant staje do nierównej walki z mordercami... W rolach głównych: **Bruce Willis**, **Bonnie Bedelia**, **Alan Rickman**.

TV:

„ZŁODZIEJSKA MIŁOŚĆ", to sensacyjny dramat amerykański, zrealizowany przez **Rogera Younga** z udziałem znanej gwiazdy — **Audrey Hepburn** (**„Rzymskie wakacje"** i Oscar, partnerka **Bogarta** w komedii **„Sabrina"**, wspaniała rola Nataszy w amerykańskiej wersji **„Wojny i pokoju" Vidora**, partnerka **Gary Coopera** w **„Miłości po południu"**, wspaniała kreacja w musicalu **„My Fair Lady"**, potem thriller — **„Doczekać zmroku"** i komedia **„Dwoje na drodze"...**). Jest to historia kobiety, która za wszelką cenę stara się odnaleźć swego narzeczonego, porwanego przez nieznanych sprawców. Ślad prowadzi do jednego z krajów Ameryki Południowej. **(Sobota, 4 listopada, godz. 20.05. TV 1).**

„OSMY DZIEŃ TYGODNIA" Aleksandra Forda, oparty na motywach noweli **Marka Hłaski**, obejrzymy w cyklu filmów o miłości. Bo też, jak mówił reżyser, pokazuje on czystą miłość na tle brutalnego, trywialnego życia. „Bywa tak, że mówi się o poezji, a ma się na myśli... łóżko. W naszym filmie nazywa się rzeczy po imieniu, niekiedy w sposób szokujący, ale walczy się o prawdziwą miłość, o najpiękniejsze uczucia pomiędzy kobietą i mężczyzną". W rolach głównych wystąpili **Zbigniew Cybulski** oraz zachodnioniemiecka aktorka — **Sonja Ziemann**, późniejsza wielka miłość i żona Marka Hłaski. **(Sobota, 4 listopada, godz. 15.15. TV 1).**

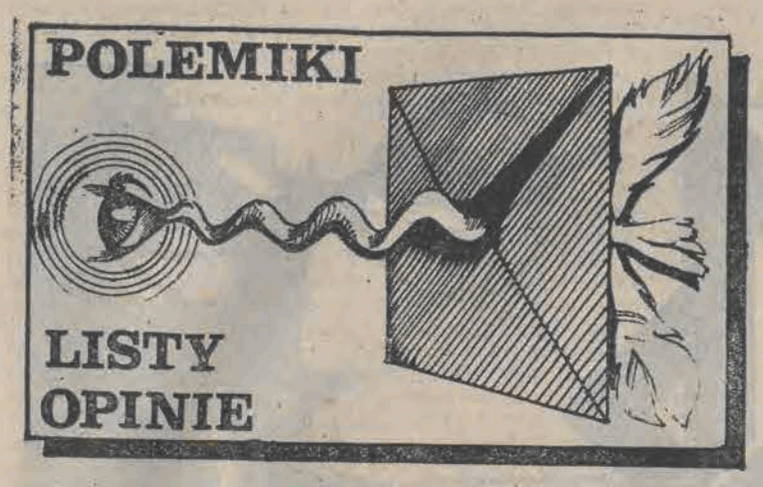

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

STANISŁAWOWI ZADYMIE W ODPOWIEDZI...

W „Odgłosach" 29 października br. (nr 44) ukazał się list podpisany nazwiskiem Stanisława Zadymy, który Redakcja opatrzyła tytułem „Prezydencki kryzys inaczej widziany" i dystansującym komentarzem. Sposób rozumowania i argumentacji autora listu są na takim poziomie, że w zasadzie nie nadają się do polemiki. Na odpowiedź zdecydowaliśmy się wyłącznie dlatego, że list jest odzwierciedleniem mentalności nie tylko Stanisława Zadymy (?), ale również grupki jego politycznych przyjaciół mających aspiracje do sprawowania „rządu dusz" w Łodzi i nie tylko w Łodzi.

O co ma do nas pretensje autor listu? Ano o to, że poparliśmy kandydata na prezydenta w osobie Waldemara Bohdanowicza zgłoszonego przez NSZZ RI „Solidarność" Ziemi Łódzkiej mimo że RKO zgłosiło wcześniej inną kandydaturę — dr. Jerzego Drygalskiego. Zaiste wielka jest nasza wina. Zamiast poprzeć jedynie trafną, jedynie słuszną i jedynie niezależną kandydaturę (made in RKO) ośmieliliśmy się udzielić poparcia komu innemu. Wszystko, co się potem stało jest następstwem naszego „efektownego" i „wulgarnego" scenariusza. A więc to, że Waldemar Bohdanowicz zyskiwał sobie — wraz z rozwojem kampanii wyborczej — coraz szersze społeczne poparcie, że na sesji 11 października 1989 radni słuchali go z większą uwagą niż kontrkandydata, że nasz protegowany otrzymał przeszło dwukrotnie większą liczbę głosów niż jego przeciwnik i że wreszcie... do wyboru nie doszło.

Stanisław Zadyma (?) zapomniał napisać, że — w przeciwieństwie do niego — popierając naszego kandydata nigdy nie dezawuowaliśmy walorów kontrkandydata i że jeden z nas, zabierając głos na sesji RNMŁ oświadczył, że premier zgłasza dwóch równorzędnych kandydatów i apelował do radnych o dokonanie wyboru zgodnego z sumieniem. Zapomniał również napisać o tym, że liczna grupa radnych (58 osób) skreśliła zarówno jednego jak i drugiego kandydata i tym samym uniemożliwiła dokonanie wyboru prezydenta. Ale o takich drobiazgach panowie monopoliści wszelkich maści i odcieni lubią zapominać, bo są one niewygodne dla ich jedynie słusznej „linii".

List zawiera następujący akapit:... *„Radosne oblicze sekretarza Adama Walczaka śni się, być może, po nocach dwóm posłom z „S"*. Nie przyglądaliśmy się panu Walczakowi, a więc nie wiemy, co malowało się na jego obliczu. Jednemu z nas natomiast przyśnił się pewien sen. Śnił się mianowicie Stanisław Zadyma (?), przypominający z wyglądu pewnego znanego nam człowieka, ubrany był w zieloną koszulę i czerwony krawat, kroczył w pochodzie i śpiewał pieśń masową:

„...każdy, kto serce ma nieulękłe,
zdolne do wielkiej ofiary;
wszystko, co w Polsce młode i piękne
idzie pod nasze sztandary..."

Tu sen się przerwał. Pozostało tylko pytanie: jawa to czy sen?

List kończy się stwierdzeniem: *„Panowie, granice przyzwoitości jeszcze się nie zatarły. Patrzą na Was"*. Ano, właśnie!

ANDRZEJ KERN
STEFAN NIESIOŁOWSKI

ZDROWO I BEZ UPRZEDZEŃ

J.S. Knypl w opublikowanym w „Odgłosach" dwa tygodnie temu liście do redakcji twierdzi autorytatywnie, że **„w regionie łódzkim niemożliwe jest wytworzenie żywności »zdrowej«"**. Dlaczego? Ano dlatego, że zdaniem J.S. Knypla — rolnicy nie mają dosyć obornika, aby nawozić nim ziemię, która jest zanieczyszczona, nie mają **„oligoceńskiej wody"**, a i powietrze wokół Łodzi też przecież nie jest krystalicznie czyste. Słowem, żadnych szans, nie warto nawet próbować. Co więcej: **„unikanie chemii prowadzi nie tylko do obniżenia plonów i jakości handlowej produktu, ale do pogorszenia się jego wartości zdrowotnej"**. Stąd też tzw. zdrowa żywność, to — pisze J.S. Knypl — **„robienie interesu na durniach"**, gdyż choć **„...»zdrowe« jabłka czy gruszki rzeczywiście nie były »pryskane«"**, to jednak są **„zrobaczywiałe, porażone przez grzyby pstrzące skórkę czarnymi piegami"**, ponieważ **„zabrakło pestycydów lub też nie stało chęci do zadawania sobie trudu pryskania we właściwym czasie"**. I tak dalej, i temu podobnie.

Czy J.S. Knypl ma rację?

Zanim padnie odpowiedź na to pytanie, spróbujmy najpierw uporządkować nieco poruszone w liście sprawy, gdyż — można odnieść wrażenie — jego autorowi wszystko dokładnie się poplątało. I tak:

Rzeczywiście, od kilku lat daje się obserwować w Polsce, swego rodzaju modę na zdrową żywność, na której to modzie kosztem ludzkiej naiwności i niewiedzy różni oszuści robią znakomite, choć nieuczciwe interesy. Zdarza się więc istotnie, że ten czy ów reklamuje swoje parchate jabłka, czy też zrobaczywiałą marchew jako produkty zdrowe, bo „nie sypane". Czy jednak przypadki takie dają podstawy do negowania faktu, że zdrowa żywność istnieje? Na pewno nie.

Rzeczywiście, środki chemiczne pozwalają rolnikom uzyskiwać wyższe niż niegdyś plony, skutecznie niszczą zagrażające uprawom szkodniki i chwasty. I prawda, że jeśli już się ich używa, to należy to robić zgodnie z instrukcją, ponieważ zmniejsza się wówczas zanieczyszczenie środowiska i zatrucie żywności. Ale czy przypadki stosowania „chemii" na oko, nawet częste — a tak się, niestety, u nas dzieje — upoważniają do wyciągania wniosku, że rolnictwo bez tej „chemii" nie może dziś już się obyć, plony muszą być mniejsze, a wartość zdrowotna artykułów spożywczych gorsza? Znowu — nie!

„...przemysł chemiczny — mówi doc. dr Mieczysław Górny z Akademii Rolniczej w Warszawie — **produkuje nawozy syntetyczne, które osłabiają rośliny i zanieczyszczają środowisko. Osłabione rośliny są podatniejsze na choroby i częściej atakowane przez szkodniki i wtedy ten sam przemysł podsuwa rolnikowi pestycydy. Pestycydy zatruwają żywność i otoczenie i oto wtedy chorujemy my, a ta sama chemia produkuje dla nas leki"**. Tak tworzy się błędne koło, w którym J.S. Knypl widzi nasze zbawienie, inni zaś — naszą klęskę. Koło chemizacji rolnictwa kręci się bowiem coraz szybciej i coraz drożej nas kosztuje. Także, a może przede wszystkim w znaczeniu utraty zdrowia i jakości życia, gdyż ważne jest nie tylko ile lat, ale i — jak żyjemy.

A teraz pytanie: czy może być inaczej? J.S. Knypl twierdzi, że nie, nie może być nowoczesnego rolnictwa bez „chemii". M. Górny — przeciwnie — że może, ba, już jest i że zyskuje sobie coraz więcej zwolenników.

Takie rolnictwo nazywa się biodynamicznym i — najogólniej mówiąc — polega na umiejętności wykorzystania tego, co dała nam sama Matka Natura. I to — jak się okazuje — zupełnie wystarcza, aby osiągać plony wcale nie mniejsze niż przy pomocy „chemii". Oczywiście o ile dysponuje się odpowiednią wiedzą.

W rolnictwie biodynamicznym — mówią jego propagatorzy — nie ma jakiegoś zakazu stosowania nawozów syntetycznych, ale też nie ma takiej potrzeby. Są one po prostu zbędne, gdyż doskonale zastępuje je dojrzały kompost (a nie — jak wydaje się J.S. Knyplowi — obornik, który — o czym nie wszyscy wiedzą — też może zamienić płody rolne w truciznę, jeśli jest nieodpowiednio używany!) do którego w zależności od potrzeb można dodawać zmielone minerały, jak np. dolomity. Uzupełnieniem są nawozy zielone oraz preparaty biodynamiczne. Preparat oparty na odchodach krów poprawia na przykład odżywianie korzeniowe roślin, a preparat z krzemionki ogranicza wyleganie zbóż. Inne preparaty, jak chociażby ze skrzypu, czy pokrzywy, znakomicie zastępują środki owadobójcze, jak również przeciwdziałają chorobom roślin.

Choć może się to wydać dziwne, rolnictwo biodynamiczne, po dłuższym okresie praktykowania jego metod, nie wymaga też prawie dokonywania orek. Wystarczy spulchnić tylko glebę, w której nie ubywa, a przybywa próchnicy. Na ogół odwrotnie niż w rolnictwie „chemicznym". Nie ma tu również — wbrew twierdzeniom J.S. Knypla — tak wielkich strat w procesie przechowywania, ponieważ płody rolne wyhodowane w naturalnym środowisku po prostu mniej się psują. Nie jest więc prawdą, że koniecznie „żywność musi być chemizowana".

Ponadto nie sposób zgodzić się z nazywaniem produkcji zdrowej żywności **„ignorowaniem osiągnięć nauki"**. Nic bardziej mylnego. Rolnictwo biodynamiczne opiera się na rzetelnej, popartej wynikami wieloletnich badań i obserwacji, wiedzy. Wiedzy, którą najpierw trzeba zdobyć — np. na organizowanych i w Polsce kursach — a potem wykorzystywać na co dzień z wielką precyzją i konsekwencją. Nie jest tu bowiem obojętne, kiedy i jak przeprowadza się poszczególne zabiegi agrotechniczne, zaś choćby terminów siewu przestrzegać trzeba niemalże co do godziny. Nawiasem, na każdy rok opracowywane są specjalne kalendarze, które określają kiedy i co należy robić.

Jak zatem widać, produkcja naprawdę zdrowej żywności, zupełnie bez udziału „chemii" jest w pełni możliwa. Jest także, a w każdym razie może być opłacalna. I to nie tylko dzięki wyższym cenom zdrowych produktów, ale i uzyskiwanym plonom, które jedynie w przypadku okopowych są nieco niższe, co jednak rekompensują, jak zostało już powiedziane, mniejsze straty w procesie przechowywania. Plony zbóż natomiast są porównywalne, zaś warzyw — nawet zdecydowanie wyższe.

Niestety, jest też pewne „ale", a mianowicie — nie dzieje się to od razu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Mało tego, w pierwszych latach po przejściu na biodynamiczne metody uprawy, wydajność zazwyczaj spada. Przede wszystkim dlatego, że zanim ziemia zacznie sama, bez „chemii" dużo rodzić, najpierw musi się z niej oczyścić, przejść swoistą kwarantannę. Po wtóre — że jej użytkownik musi nabrać doświadczenia, nauczyć się patrzeć na swe gospodarstwo jako na spójną całość, a jednocześnie — jako na nieodłączną część ekosystemu, w którym się ono znajduje. I jedno i drugie trwa co najmniej kilka lat. I to w zasadzie tłumaczy, dlaczego na razie tak niewielu polskich rolników decyduje się produkować zdrową żywność. Zresztą nie tylko polskich, jako że i za granicą gospodarstwa biodynamiczne stanowią raczej margines. Trafnie ujął to prof. Czesław Opaliński z Akademii Rolniczej we Wrocławiu, pisząc, iż **„rolnictwo przemysłowo-towarowe stało się w większości krajów powszechnym biznesem, którego głównym celem jest zarabianie pieniędzy, a produkcja żywności schodzi na plan drugi"**.

Rzecz jasna, słusznie J.S. Knypl uważa, że **„chwytliwe hasło »zdrowa żywność« powinno być weryfikowane przez Sanepid"**. Tu trzeba oddać mu sprawiedliwość, gdyż naprawdę zdrowa żywność, to dziś — żywność atestowana. Ale jest to w zasadzie jedyne zdanie z jego listu, z którym zgodzić się można bez zastrzeżeń. Już następne bowiem — **„uprzedzam, że »zdrowa żywność« z okręgu łódzkiego okaże się bardzo niezdrowa"** — budzić musi poważne wątpliwości, choć zgoda i na to, że warunki ekologiczne pod Łodzią nie są tak dobre, jak w innych rejonach kraju. Wątpliwości te zaś biorą się stąd, że oto w sierpniu br. w Centralnym Laboratorium Jakości Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Przemysłu Gastronomicznego i Art. Spożywczych w Łodzi (ul. Kopernika 15/17) przebadano próbki marchwi, pomidorów oraz słonecznika **„na zawartość substancji szkodliwych dla zdrowia, tj. azotanów, azotynów, metali ciężkich jak ołów, kadm, arsen"**. Przebadano i wystawiono im taką opinię:

„...warzywa i słonecznik charakteryzują się nieobecnością lub minimalną ilością substancji szkodliwych dla zdrowia przy jednoczesnym posiadaniu związków korzystnie działających na organizm, co uzasadnia określenie w.w. produktów jako wysoce bezpiecznych i zasługujących na zaliczenie ich do »zdrowej żywności«".

A teraz — uwaga! — produkty te pochodzą z gospodarstwa Franciszka Urbańskiego, położonego we wsi Modlica, kilkanaście kilometrów od Łodzi. Tam też metodą biodynamiczną zostały wyhodowane.

Czy rzeczywiście więc **„pod Łodzią nie może być zdrowej żywności"?**

PAWEŁ TOMASZEWSKI

DOMAGAM SIĘ ODROBINY SPRAWIEDLIWOŚCI!

29.VII.1989 r. ukazał się artykuł (Polityka nr 30) St. Podemskiego pt. „Zbrodnia nieprzedawniona". Dotyczy zbrodni dokonanej na oficerach polskich w Katyniu. Stanisław Podemski pisze:

„Sądzę, że Prokurator Generalny PRL powinien się zwrócić do radzieckich władz prokuratorskich o wszczęcie śledztwa wobec nieokreślonej z imienia i nazwiska grupy zbrodniarzy, odpowiedzialnych za zbrodnię katyńską!".

Prokurator Generalny PRL powinien również wszcząć dochodzenie przeciwko naszym zbrodniarzom. Mam na myśli oficerów śledczych, którzy w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości „fabrykowali" fikcyjne oskarżenia, przy stosowaniu tortur, zmuszając swoje ofiary do podpisania i przyznania do czynów, których nie popełnili. Dotyczy to również sędziów, którzy ferowali wieloletnie wyroki — łącznie z karą śmierci — bez odpowiednich dowodów winy.

Było wielu AK-owców, którzy chcieli spokojnie żyć i pracować. Byliśmy zmęczeni okupacją. Ja od jesieni 1940 r. do stycznia 1945 r. byłem w konspiracji, parokrotnie rannym w czasie walk i po rozwiązaniu oddziału „Jędrusia". Chciałem wrócić do normalnego życia. Niestety.

Jedną z kar śmierci (miałem trzykrotną karę śmierci) otrzymałem za posiadanie magazynu broni w mieszkaniu w Sandomierzu. Nigdy w Sandomierzu nie mieszkałem. W śledztwie oficer śledczy o nazwisku LEBERGIN ani razu nie wspomniał o żadnym magazynie broni. Po każdym przesłuchaniu żądał, abym podpisał protokół, nie pozwalając na przeczytanie tego, co mam podpisać. Ja oczywiście odmawiałem podpisu.

Ostatnie przesłuchanie — któryś tam raz z rzędu — rozpoczęło się wieczorem, ale udział w nim brało kilka osób. Całą noc „namawiali" mnie do podpisania protokołu bez przeczytania jego treści. Nad ranem podpisałem go, ale miałem już całe siedzenie i plecy „poszatkowane", połamane żebra i wybite sześć zębów.

Rozprawa odbyła się w siedzibie Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Kielcach 30.VI.45 r. przed Okręgowym Sądem Wojskowym w Łodzi, na sesji wyjazdowej w Kielcach. Rozprawa odbyła się przy drzwiach zamkniętych, bez oskarżyciela, obrońcy, świadków i ani aktu oskarżenia. Tuż przed rozprawą otrzymałem kartkę do podpisu (po podpisaniu zabrano ją), na której wypisane było szereg paragrafów, z których miałem odpowiadać.

W czasie rozprawy Sąd operował tylko paragrafami i ja nie miałem pojęcia, co który paragraf oznacza. Rozprawa była zbiorowa. Odpowiadało dziesięć osób równocześnie. Ja odpowiadałem pierwszy z tej grupy za AK, inny za zabójstwo sąsiadki (otrzymał dwa lata), inny za posiadanie pistoletu, a pozostali za dezercję z wojska.

Czy tacy „oficerowie śledczy" i sędziowie nie są zbrodniarzami? Niestety. Wielu z nich korzysta z dobrodziejstw przynależności do ZBoWiD-u. Czy nie należy przeprowadzić weryfikacji?

Po spędzeniu prawie 10 lat w więzieniu odzyskałem wolność. Trzy lata moich starań o rewizję procesu, wreszcie Najwyższy Sąd Wojskowy uchylił poprzedni wyrok, przesłał sprawę do Naczelnej Prokuratury Wojskowej do ponownego śledztwa. Prokuratura śledztwo umorzyła z braku dostatecznych dowodów winy.

To nie jest z mojej strony żadna zemsta. To jest żądanie odrobiny sprawiedliwości w imieniu tych, którzy przeżyli oraz tych, którzy zostali zamordowani, aby nasi oprawcy ponieśli odpowiednią karę.

STANISŁAW WIĄCEK

BIBLIOTEKI W SZPITALACH

Powstawanie bibliotek dla chorych w szpitalach ma już w Polsce kilkunastoletnią tradycję. Pierwsza taka placówka w Łodzi powstała w roku 1973 w Szpitalu Zespolonym im. M. Kopernika.

Ma ona dwa oddziały w Ośrodku Onkologicznym i Ośrodku Rehabilitacji przy ul. Popioły, a oprócz pięciu bibliotek podległych dyrekcjom szpitali i dwóch podległych Wydziałowi Oświaty i Wychowania działają biblioteki publiczne w następujących szpitalach: im. dr. K. Jonschera, im. dr. M. Pirogowa, im. K. Pasteura, Szpitalach Klinicznych AM nr 1 i nr 3 oraz w Zespole Opieki Zdrowotnej dla Szkół Wyższych. Ponadto rejonowe biblioteki publiczne prowadzą punkty biblioteczne w trzech szpitalach (im. dr. Wł. Biegańskiego, im. dr. E. Sonnenberga, im. dr. M. Madurowicza) i przy Oddziale Reumatologii Szpitala im. M. Kopernika na ul. Mińskiej.

Stopniowo w ciągu ostatnich lat kształtował się system obsługi i czytelnictwa chorych i niepełnosprawnych w Łodzi głównie dzięki staraniom Dzielnicowych Bibliotek Publicznych i dyr. MBP im. L. Waryńskiego mgr Elżbiety Pawlickiej, wiceprzewodniczącej Sekcji Czytelnictwa Chorych i Niepełnosprawnych Zarządu Głównego Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich.

Zrozumiałe więc, że już w okresie projektowania budowy Szpitala Pomnika Centrum Zdrowia Matki Polki, dyrektor Dzielnicowej Biblioteki Publicznej Łódź—Górna mgr Iwona Szymczak rozpoczęła starania o otwarcie tamże biblioteki publicznej. W wyniku przeprowadzonych rozmów projekt architektoniczny zakładał usytuowanie biblioteki w pawilonie A na poziomie I, a ponadto przewidywał lokal biblioteczny w osiedlu przyległym do szpitala.

Jak się jednak okazało aktualnie proponowane pomieszczenie na bibliotekę na poziomie 01 (parter niski) jest nie do przyjęcia ze względu na formalne wymogi stawiane lokalom bibliotecznym. Lokal ten źle oświetlony, o małych okienkach pod sufitem, z rurami biegnącymi przez ściany daleko odbiega od modelu reprezentacyjnej placówki kulturalnej służącej pacjentkom i pracownikom służby zdrowia tak wspaniałego Zespołu Szpitalnego, jakim jest CZMP. Czas płynie, dogadać się obu stronom trudno, a sytuację komplikuje czekający na odbiór w magazynach Krajowej Agencji Wydawniczej kilkutysięczny księgozbiór będący rezultatem społecznej akcji instytucji wydawniczych i różnych organizacji.

IZABELA NAGÓRSKA

KTO CHORUJE, NIE BIEDNIEJE

Z podziwem dla autorów dzieła przestudiowałem ogłoszony ostatnio w Monitorze Polskim nr 28 tekst zarządzenia Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej w sprawie cen za usługi świadczone przez zakłady społecznej służby zdrowia osobom nie uprawnionym do bezpłatnych świadczeń leczniczych.

A oto niektóre pozycje cennika: porada lekarska — 600 zł, płukanie uszu — 200 zł, badanie dna oka — 300 zł, Solux lub lampa kwarcowa do 15 min. — 100 zł, morfologia — 240 zł, leczenie próchnicy powierzchniowej — 380 zł, usunięcie zęba ze znieczuleniem — 600 zł, resekcja — 1.400 zł, porada na ortodoncji — 500 zł, przewóz karetką — ryczałt w granicach miasta — 600 zł, przewóz chorego samolotem sanitarnym — 200 zł za kilometr. Pobyt w sanatorium — 2.000 zł za dzień.

Nie bardzo wiem, kto w PRL nie jest uprawniony do bezpłatnych świadczeń leczniczych, lecz śmiem przypuszczać, że nie dotyczy to większości ludzi, którzy przez całe swoje życie pracowali, lepiej czy gorzej. Natomiast tych, którzy do świadczeń społecznej służby zdrowia nie mają uprawnień — jest chyba znakomita mniejszość, pracą się nie splamili, a żyją nie najgorzej.

Czy z cennika skorzystają — też nie wiem. Faktem jednak jest, że skoro porówna się wymienione wyżej stawki z ceną butelki piwa, nie mówiąc już o stawkach pobieranych w spółdzielniach, czy prywatnie — to wiadomo, gdzie m.in. są źródła deficytu budżetowego. Jeśli się w tym rozumowaniu mylę — proszę o polemikę.

W. AFELT

KIEDY ZMARŁ KRÓL JERZY V?

W tekście Jana Bąbińskiego znajduje się następujące zdanie *„W czerwcu 1934 r. Tuchaczewski wyjechał do Londynu, by uczestniczyć w pogrzebie króla Jerzego V"*. („Komu zależało na usunięciu Michaiła Tuchaczewskiego?") — „Odgłosy" nr 41/89. Jest interesujące, na czyim pogrzebie był M. Tuchaczewski, ponieważ król Jerzy V zmarł w styczniu 1936 roku. Krótkotrwałym następcą jego był Edward VIII, który abdykował jeszcze w tym samym roku, a tron objął Jerzy VI, ojciec obecnej królowej Elżbiety II.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

CO ROBIŁ W KINIE RECENZENT?

Marek Koprowski chyba jednak przespał niektóre fragmenty filmu ewentualnie zapatrzył się na siedzącą obok piękność, czemu stara się zaprzeczyć w swojej recenzji z filmu W. Krzystka „Ostatni prom" (nr 42 „Odgłosów"). Oglądając film w miarę uważnie można się było zorientować w owych nieustannych pościgach i osobach w nich uczestniczących. Fabuła filmu nie jest bowiem zbyt skomplikowana. To jednak można wybaczyć autorowi recenzji.

Nie mogę natomiast zrozumieć (i jako kobieta — wybaczyć), jak można było pomylić Annę Ciepielewską, grającą zupełnie kogo innego, z Ewą Frąckiewicz, która to właśnie zagrała panią z pieskiem. Nie były to przecież postacie wspomniane migawkowo, a dość duże role drugoplanowe. O różnicach wieku i urody właściwie nie powinnam wspominać, bowiem mowa jest o kobietach. „Jakiś facet" (sympatyczna rola bardzo sympatycznego p. Barcisia) zostaje na promie, ponieważ jego młodziutka żona jest w ciąży i boi się skoczyć z promu do wody, co również jest dość wyraźnie w filmie powiedziane. A scena opuszczania promu przez pasażerów — dla M. Koprowskiego nadmiernie wydłużona — to bodajże najlepsza część filmu. No, ale to już moje odczucie.

F.B.

◄ P I E C Z Ą T K I ►

w ciągu dnia (express)
lub
tygodnia (normalnie)

ZAMÓWISZ W FIRMIE

„T A G A R"
Łódź, ul. Kilińskiego 59/63
(HOTEL CENTRUM)
pokój 1311.

55340-g

OGŁOSZENIA DROBNE

MEBLE, komplety wypoczynkowe, ławostoły — Swarzędz oferuje sklep pl. Kościelny 4 54176-g

FLOKOWNICĘ z technologią tanio — sprzedam 18-11-73 52537-g

PŁYTKI lastriko — sprzedaję. Zgierz, Szczawińska 127. Kustosik 16-53-21 55331-g

SPRZEDAM TVC zachodni. 48-14-33. 56244-g

SPYCH DT75, Star 28 — sprzedam. Łódź, Szafera 14/24. 56319-g

KUPNO-SPRZEDAŻ

SPRZEDAM działkę, Tel. 87-79-49 wieczorem. 56202-g

MODNE kurtki z lisów pustynnych — sprzedam 57-23-33. 54147-g

LOKALE

KUPIĘ lub wynajmę lokal sklepowy Tel. 86-34-98. 55337-g

STUDENT obcokrajowiec szuka mieszkania niekoniecznie z telefonem, najchętniej centrum. Tel, 36-21-27. 55928-g

NAUKA-PRACA

LEKCJE gry na pianinie dla początkujących. Tel. 34-82-59. 55887-g

USŁUGI

ZE SLAJDÓW — odbitki na materiałach zachodnich — wykonuje „STUDIUM", Łódź, Wacława 9 (od Tatrzańskiej). 55108-g

USŁUGI hydrauliczne. 84-13-09. 55441-g

RÓŻNE

RADCA prawny Wiesław Jarnecki — sprawy gospodarcze, spółki. Łódź, Limanowskiego 31, 57-71-41. Poniedziałek — czwartek 16—19. 56142-g

Biuro Projektów
BIPROWTÓR

92-328 Łódź, ul. Zbiorcza 19 a,
tel. 74-83-52, 74-64-70, telex 886123
PRZYJMIE DO WYKONANIA
w 1990 roku:

- **prace projektowe i studialne z zakresu:**
  budownictwa ogólnego i przemysłowego (projekty architektoniczno-budowlane, technologiczne, instalacje sanitarne, elektryczne, wentylacja, klimatyzacja i inne instalacje przemysłowe),
  budownictwa towarzyszącego (kotłownie, wymiennikownie osiedlowe, infrastruktura).
  ochrony środowiska (analizy i pomiary stanu zanieczyszczenia atmosfery),
- **opracowanie opinii i ekspertyz technicznych,**
- **kosztorysowanie robót budowlanych i instalacyjnych,**
- **analizy ekonomiczne dot. analizy inwestycji oraz modernizacji i remontów,**
- **funkcje inwestora zastępczego,**
- **weryfikacje i oceny prac projektowych wykonanych przez inne jednostki projektowe.**

KRÓTKIE TERMINY REALIZACJI,
CENY KONKURENCYJNE.
ZAPRASZAMY
DO KORZYSTANIA Z NASZYCH USŁUG. 3551-k

OGŁASZAJ SIĘ
W „ODGŁOSACH"

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

2 listopada — BOGDA MADEJ — godzina 10—15.

9 listopada — EUGENIUSZ IWANICKI — godzina 10—15.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO Z DN. 26.10.1989 R.

Szanowni Czytelnicy. Publiczne piętnowanie idiotów, brudasów, nierobów i cwaniaków staje się nudne i bezcelowe. Przez wiele lat pisano o brudzie i jest... coraz brudniej, wykazywano bezmyślność urzędowych decyzji, a wyścig głupoty nie tylko trwa, ale jakby nabierał szybkości, itd., itp. Zastanawialiśmy się, czy dyżury przy telefonie nie są po prostu stratą czasu. Nie są, gdy chodzi o sprawy istotne, niekiedy dramatyczne, przyczynkarskie, powiedzielibym, w odsłanianiu pewnych mechanizmów sprawowania władzy, ciasnoty umysłowej, bezduszności, nieuczciwości — tak dokuczliwych dla nas wszystkich, gdy spotykamy się z nimi bezpośrednio. Ale jak długo można pisać o brudnych ulicach, koszach pełnych śmieci czy idiotycznych decyzjach remontowania w tym samym czasie trzech sklepów tej samej branży położonych blisko siebie. Oczywiście, to drażni i utrudnia życie, dobrze jednak świadczy o tych z Państwa, którzy się z tym nie chcą pogodzić, dostrzegają nieprawidłowości i powiadamiają nas o nich. Jesteśmy wdzięczni za zaufanie. Ja jednak nie chcę być palcem wskazującym i miotłą do zamiatania. Ktoś przecież bierze za to pieniądze (okazuje się, że za nic), a ktoś, kto kontroluje te... do diabła — nie pracuje za „Bóg zapłać". Są instytucje, do których należy te sprawy zgłaszać bezpośrednio, gazeta — nawet taka jak „Odgłosy" — nie uczyni cudu.

Dziś jeszcze — po raz ostatni — wskazuję takie miejsca, jak **skrzyżowanie ul. Pabianickiej i ul. Stanisława Dubois,** gdzie od dwóch miesięcy nie są sprzątane przystanki autobusowe, a z koszy wywalają się śmiecie, wskaże sklep **„Otexu"** przy ul. **Pojezierskiej 2/7,** który sprzedaje kurtki rozlatujące się po pierwszym praniu, a potem nie chce przyjąć reklamacji, bo rzeczoznawca stwierdza, że **„uszkodzenie powstało mechanicznie"** (co to znaczy?) i nic dziwnego, że klient czuje się wykantowany i naciągnięty na niemałe pieniądze. Trzy sklepy w rejonie Wojska Polskiego, Spornej i Emilii Plater przeznaczono w tym samym czasie do remontu. Kto tym rządzi? — pyta Czytelniczka. Ano ludzie, którzy takimi decyzjami sami sobie wystawiają świadectwo.

Oczywiście, żadna to przyjemność mieszkać w źle rządzonym śmietniku, zwanym miastem, ale czas, by społeczeństwo tego miasta się wreszcie obudziło i zaczęło szukać winnych. Wspólnie coś możemy zdziałać, sami — nic.

Jest jeszcze kwestia reagowania na krytykę. Nie wszyscy, mimo obowiązku, to czynią. A jeśli czynią, nie jesteśmy w stanie sprawdzić, czy wyjaśnienia są zgodne z prawdą. Np.: w poprzednim numerze dyrekcja **MPK** informuje, że **„likwidacja linii autobusowej 74 wiąże się jednocześnie ze skierowaniem całego taboru tej linii na linię 83, co powinno usprawnić obsługę pasażerów".** Tymczasem dzwoni Czytelniczka i twierdzi, że **jest gorzej niż było. Być może,** dyrekcja **MPK** (jeżdżąca prawdopodobnie samochodami) z perspektywy swych gabinetów zdecydowała słusznie, tyle, że brutalna rzeczywistość nie zawsze chce się podporządkować najsłuszniejszym nawet teoriom. Należy więc „nękać" dyrekcję, by następne decyzje były rzeczywiście trafione. Ta sama Czytelniczka wskazuje: osiedle Mireckiego, **ul. Perla przy bloku 83** leżą rury gazowe i niszczeją obijane kamieniami przez dzieci. To już karygodne marnotrawstwo („sabotaż" — mówi głos w słuchawce) w sytuacji, gdy wiele domów w śródmieściu odcięto dawno temu od gazu z powodu braku właśnie rur.

Pani **Z. M.** (personalia do wiadomości redakcji) ma inny, bardzo specyficzny problem. Mieszka w mieszkaniu służbowym, bowiem mąż przyjął kiedyś **dozorcostwo. Teraz zmienił** pracę, więc dostali nakaz eksmisji i obowiązek zamiany mieszkania. **I wszystko byłoby** w porządku, gdyby nie fakt, że wychowują 13-letnie dziecko specjalnej troski (zespół Downa), upośledzone umysłowo. Przywiązane do miejsc i ludzi, których zna, czułoby się niepewnie w nowym otoczeniu. Wzbudzenie ufności u tak chorego dziecka trwa wiele lat. Za 4 lata gdy dojdzie do wieku dojrzewania, będzie łatwiej — twierdzą lekarze. Kto wie, czy w ogóle będzie żył dłużej niż cztery lata — głos w słuchawce łamie się i ledwie panuje nad wzruszeniem. **Spółdzielnia Mieszkaniowa „Polesie"** jest nieubłagana i formalistyczna. Może jednak potraktować przypadek jako szczególny, rozpatrzyć osobno i dostrzec za murem przepisów tragedię dziecka i zatroskanych o jego los rodziców? Tu ludzki odruch byłby bardzo na miejscu, nie trzeba się takich odruchów wstydzić.

Pani **M. A.** (prosi o dyskrecję) z **Ozorkowa** była w lipcu w tamtejszej przychodni z 6-letnim, gorączkującym dzieckiem i ze skierowaniem z pogotowia. Po poradę i zwolnienie z pracy przysługujące matce. Pani doktor stwierdziła stanowczo, że chodzi jej tylko o wyłudzenie zwolnienia i że tacy ludzie nie zbudują Polski Ludowej, że może zostawić dziecko w domu i iść do pracy. 6-letnie dziecko z 40-stopniową gorączką! Lekarz z pogotowia przepisał sefril, a pani doktor zaordynowała dodatkowo penicylinę, nie bacząc, że może to być zabójcze dla dziecka. Pani doktor zna dziecko, bo się nim zajmowała od urodzenia, tyle, że w ciągu 6 lat „nie zauważyła" stulejki u pacjenta, cały czas lecząc doprowadziła do tego, że się angina przewlekła przywlekła. Teraz moja rozmówczyni dowiedziała się ze zdumieniem, że pani doktor wygrała konkurs na najlepszego pediatrę woj. łódzkiego i w nagrodę jedzie na wycieczkę do Finlandii. Pani doktor nazywa się **Jadwiga Dutczak. W** tej samej przychodni inny pediatra przyjmuje małych pacjentów w zadymionym gabinecie, a na pytanie, czy przyjmie dziecko, odpowiedział żując gumę i rozwalając się na krześle: — **co pani, ja mam dość własnych dzieci.** Murowany kandydat do zwycięstwa w przyszłorocznym konkursie na najlepszego pediatrę. Ciekawe, czy pojedzie **też do Finlandii?**

Następna sprawa dotyczy lekceważenia pracowników. Otóż **w szpitalu im. Madurowicza,** szwaczka z kilkunastoletnim stażem pracy, zarabia 70 tys. zł, a pracuje w piwnicy, w bardzo kiepskich warunkach. A „różne ochłapusy", po porzuceniu pracy gdzie indziej, na „dzień dobry" otrzymują wyższe stawki. Ostatnio dzielono podwyżki. Nie wszyscy byli zadowoleni, co normalne. Popłynęły więc podania do dyrekcji, wśród nich i od szwaczek. Inni pracownicy już dawno otrzymali odpowiedzi — najczęściej pozytywne — a szwaczki do dziś nie mogą się doczekać. W sekretariacie kręcą i uchylają się od odpowiedzi. Tymczasem, jakby na złość, stale obniża się szwaczkom premie.

— **Szwaczka siedzi i nic nie robi** — mówi kierownik.

— **A ja nie umiem szyć na stojąco** — skarży się Czytelniczka, której imienia i nazwiska ze zrozumiałych względów nie ujawniamy.

Kochani — brudasów i głupców tępcie sami. W sprawach istotnych — dzwońcie!

MAREK KOPROWSKI

Coś z życia

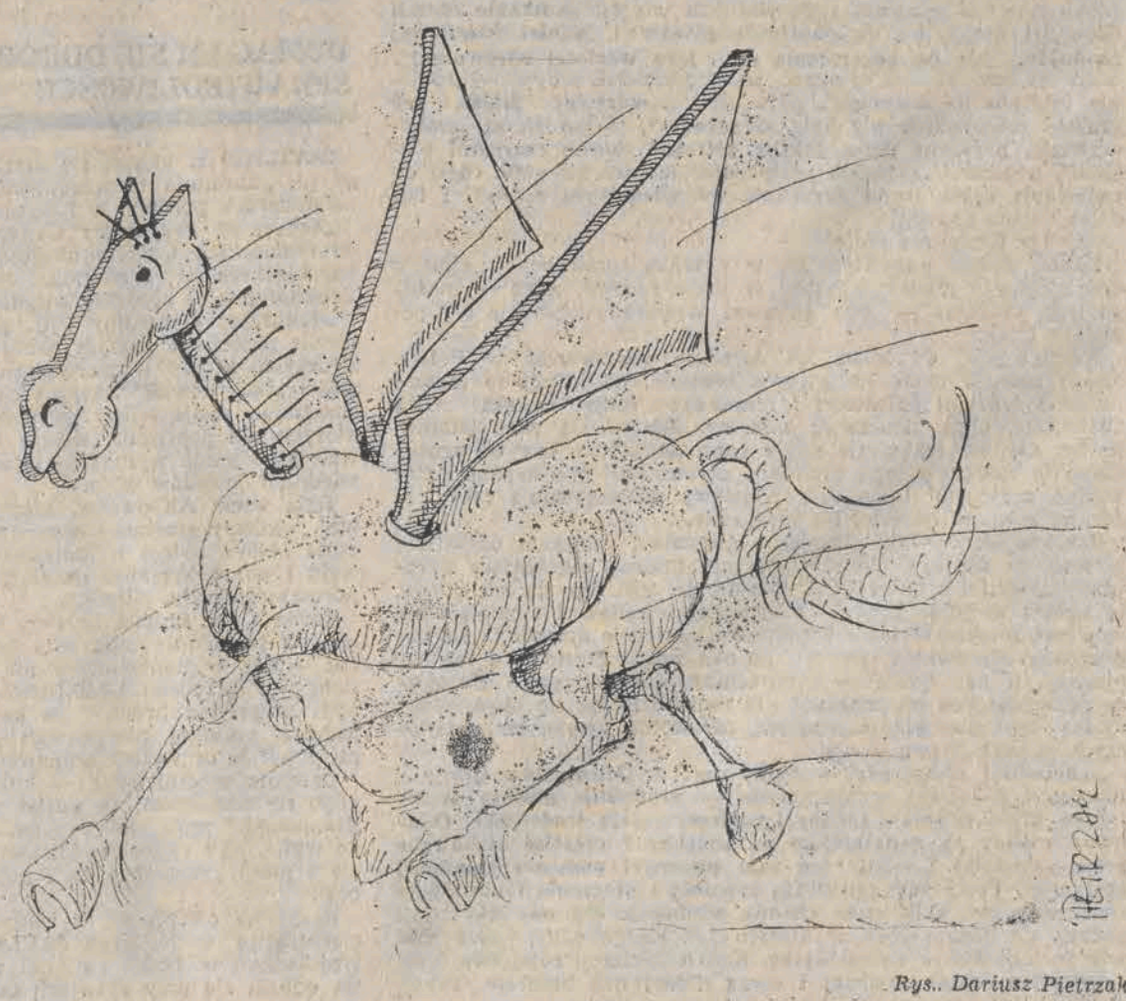

Rys.. Dariusz Pietrzak

Z różnych szuflad.

Pan Nicot i jego poddani

Nie spodziewał się pewnie poseł francuski w Lizbonie Jean Nicot, że nazwisko jego związą nierozdzielnie z pewnym zgubnym nałogiem, któremu poddaje się znaczna część mieszkańców naszego globu. Jako wytrawny dyplomata był po trosze szpiegiem, bez trudu więc odkrył, że przyboczny lekarz króla hiszpańskiego Filipa II Don Francesco Hernandez de Toledo przywiózł z Portugalii jakieś tajemnicze liście i stosuje je z powodzeniem w leczeniu niektórych chorób skórnych. Przekonawszy się naocznie, że owe liście, zwane tabaką, miały istotnie właściwości lecznicze, Nicot posłał w 1560 r. nasiona tabaki i samą roślinę swemu monarsze Franciszkowi II i jego matce Katarzynie Medycejskiej. Wiedziano już, że tytoń przywieźli do Europy członkowie ekspedycji Korteza. Wkrótce Sir Francis Drake i Walter Raleigh, wróciwszy z Wirginii do Anglii nauczyli swoich rodaków ćmić tytoń, zwany tabaką od wyspy Tabago na Małych Antylach. Od nazwiska Nicota botanicy nadali roślinie łacińskie miano herba nicotiana, z którego pewien amator utworzył anagram „in bona charitate", tzn. „w dobrej miłości". Inny znów pisarz, żyjący w XVII w., wysnuł wniosek, iż *„ludzie powinni tytoń jako wyborne ziele kochać i cenić, i że niejako powinien on być zaliczany do powszedniego chleba. A jak grzeszy ten, który gardzi chlebem, tak również popełnia grzech każdy, kto tytoniem gardzi"*. Warto dodać, że dawniej tytoń zwano i u nas tabaką, która służyła nie tyle do palenia, ile do zażywania przez nos w celu pobudzenia do kichania, a więc odświeżenia dróg oddechowych. Z biegiem czasu nazwą tabaka objęto również tytoń fajkowy. Wyraz tytoń pochodzi z języka tureckiego i oznacza dym, zaś tiutiundżym nazywano sprzedawcę tytoniu i zawiadowcę fajkami na dworze dostojników tureckich.

Do Polski trafił tytoń dzięki naszym południowym sąsiadom — Turkom. Sułtan Murad III około 1580 r. przesłał Stefanowi Batoremu, oprócz innych darów, także suszone liście tytoniu. W dziesięć lat później podobnie postąpił Uchański, poseł polski w Stambule, dołączając do korespondencji dyplomatycznej adresowanej do wdowy po Batorym, królowej Anny, liście tytoniu.

Stosunkowo szybko dostrzeżono również szkodliwe skutki nałogu tytoniowego. Papież Urban VIII wydał w 1624 r. bullę, zakazującą palenia tytoniu pod groźbą klątwy, król angielski Jakub I osobiście wystąpił przeciwko zgubnemu nałogowi w broszurze „Misokapnos" (1619), w Rosji, Turcji i Persji surowo karano palących i zażywających tytoń, zaś w Szwajcarii jeszcze w 1670 r. nakładano na palaczy wysokie kary pieniężne, gdy nie skutkowało wprowadzenie do dziesięciorga przykazań stosownego zakazu palenia tuż po szóstym przykazaniu.

Przedsiębiorczy Wenecjanie, a za nimi Francuzi objęli wkrótce produkcję wyrobów tytoniowych monopolem państwowym, przynoszącym Wenecji 40.000 dukatów a Francji 50.000 franków rocznego dochodu. W Polsce dopiero od 1776 r. zaprowadzono monopol na fabryki tabaczne, a dochód z nich pod koniec Rzeczypospolitej przynosił państwu przeszło cztery i pół miliona złp. *„Tylko rządowi wolno było tytuniem kupczyć"* — powiadali dawni prawodawcy, zaś spekulanci karani byli za podwyższanie cen monopolowych ustalonych przez państwo na długoletnie więzienie lub wysokie grzywny. Aż dziw, że współcześni stróże praworządności z mundurową i tajną policją na czele tolerują czarnorynkową spekulację wyrobami tytoniowymi.

Około 1632 r. powstała pierwsza w Polsce rozprawka pióra Jerzego Szlichtynga pt. „Nauka jako o dobrym, także o złym używaniu proszku tabakowego, przy tym żart piękny o tabace dymnej". Autor użalał się w niej na Polaków, kochających się tak bardzo *„w tej nieszczęsnej tabace, że już nie masz ani chłopka, ani flisa, ba, co większa, ni najlichszego żebraka, który by pudełka tabaki, choć mu na chlebie schodzi, sobie sporządzać nie miał"*. Z rozprawki wynikało, że nałóg palenia tytoniu i zażywania tabaki opanował powszechnie wszystkie stany, ale nawet i kobiety: *„Widziałem, że i białe główki już też proszku tabakowego często zażywają, lecz dla jakiej to uciechy i pożytku czynią, nie wiem. Nasze Polki niektóre czy też krasy nabyć myślą tym proszkiem?"*. Nie doczekawszy się odpowiedzi na to retoryczne pytanie Szlichtyng dodał:

Aż już i wdzięczna Polska bawi się tabaką,
Psując dowcip i rozum by trucizną jaką.
Tu kończąc ciebie proszę, przezacny Polaku:
Porzuć to, a zażywaj inszego przysmaku.

A przecież, proszę poety, jak to dobrze było w fotelu się wyciągnąwszy dymek wonny pykać z antypki, zakończonej glinianą stambułką pełną aromatycznego diubeku:

Gdy nad ciągnieniem tytuniu czas trawię,
Tym rozważaniem myśli moje bawię,
Jak próżne ludzi światowych zapędy.
A widząc, jak ich słodkie łudzą błędy,
Zawołać muszę, że tak, jako i ja
Karmią się dymem, co wychodząc mija.

Tak oto rezonował Józef Epifani Minasowicz w wierszu „Dym tytuniowy", ogłoszonym w 1782 r. w „Zbiorze mniejszym poezyj drobniejszych". Na przełomie stuleci rzucono kosztowne tabakiery do lamusa, pojawiły się zato bogato haftowane kapciuchy wypełnione tytoniem. Zrazu nieśmiało, początkowo tylko w salonach kontemplowano w oparach fajczanego dymu, ale już wkrótce Krasiński na paryskich bulwarach, Słowacki błądząc po ruinach Pompei a Chłopicki po krętych krakowskich uliczkach kurzyli cygara. *„Słyszałam, że czasem nasze panie biorą się do cygar, a później się może wezmą do lulek i fajek* — zwierzała się pewna dama, gdy tymczasem już Maryla Wereszczakówna ćmiła fajeczkę a Delfina Potocka sekundowała Zygmuntowi Krasińskiemu w paleniu długiej cygaretki. Nie dość tego. *„To najgorsze, że ten obrzydliwy nałóg przeszedł już w używanie aż do małych chłopców, nietrudno zobaczyć 13-letniego świniopasa, jak, stąpając poważnie z fajką w gębie, ma się za coś lepszego od swych rówieśników, a że chęć naśladowania prędko się zatliwa, a więc też i reszta pauprów małych, nie mając na kawałek chleba, woli kunić sobie fajkę choćby glinianą, tabaki za parę groszy, aby tej mniemanej godności dostąpić i do cechu tabakowego się wpisać"*.

Na ulicy trzeba się było z fajką lub cygarem w ustach przesuwać chyłkiem, by nie dostrzegł strażnik miejski. Jeszcze do 1837 r. obowiązywało na terenie Galicji zarządzenie magistratu miasta Wiednia, zabraniające palenia tytoniu na ulicach i placach z uwagi na przyzwoitość publiczną i niebezpieczeństwo pożaru. Niebaczne wyjście na ulicę z zapaloną fajką w ustach przypłacił Maurycy Mochnacki zamknięciem na odwachu. W Łodzi stróże domów byli w 1864 r. zobowiązani przez policmajstra do pilnowania, by nikt nie palił koło domu powierzonego ich opiece fajek, cygar i papierosów. Ambroży Grabowski, księgarz i obywatel miasta Krakowa, pisał u schyłku życia: *już małe paupry, wszyscy studenci, kupczyki, rzemieślniczkowie, służebne fagasy i wszelka niższa hałastra nie obejdzie się bez cygara, które sterczy z każdego lokaja gęby, pomimo że ten na kupno chustki do nosa zdobyć się nie może, a posługę jej zastępuje mu poła sukni lub jej podszewka"*. Nie pomogły zakazy i groźby, fajka, cygaro a wreszcie papieros wciąż zyskują nowych poddanych.

ANDRZEJ KEMPA

1 Pod prąd

Pozwólcie mi oszczędzać!

Kiedy słyszę biadolenia naszych energetyków na temat trudnych warunków, w jakich pracują, małych zapasów węgla na zimę, złej jego jakości i coraz wyższych cen, wyeksploatowanych maszyn, nie płaconych przez przedsiębiorstwa rachunków, itp., a równocześnie — groźby, że przy dużych mrozach może zabraknąć dla wszystkich ciepła i prądu, ogarnia mnie dzika złość. Bo ja tego, proszę Państwa, nie pojmuję. To znaczy nie tego, że sytuacja w energetyce jest bardzo trudna, ale — jak do takiej sytuacji można było dopuścić.

Będąc laikiem, nie chciałbym zapuszczać się w takie bezdroża naszej gospodarki, jak kilkakrotnie większa energochłonność polskiego przemysłu w stosunku do innych krajów, czy też — w ogóle model polskiego przemysłu i na jego tle — polskiej energetyki. To bowiem zostawić należy specjalistom. Niech oni najpierw zabiorą głos. Mam prawo natomiast i pełne podstawy, by mówić o bezmyślności oraz marnotrawstwie, jakie obserwuję na co dzień w gospodarce komunalnej, a których skutki będę miał zapewne okazję odczuć już w najbliższych miesiącach na własnej — dosłownie! — skórze.

Zacznę od uderzenia się w piersi i przyznania publicznie, że oto ja sam jestem od dawna niepoprawnym marnotrawcą energii tak cieplnej, jak i elektrycznej, a na dodatek jeszcze wody oraz gazu. Oceniam skromnie — każdego roku marnotrawię tego co najmniej na wartość tony węgla. Czy robię to jednak z rozmysłem i premedytacją w myśl zasady, że im gorzej, tym lepiej? Nie! Robię tak, ponieważ nie dano mi możliwości oszczędzania, zaś w wielu przypadkach wręcz zmusza się mnie, abym był niegospodarny i nie szanował efektów ciężkiej pracy górników i energetyków.

Konkretnie wygląda to tak, że na przykład nie mogę regulować temperatury powietrza w mieszkaniu, gdyż zawory na grzejnikach od lat już nie działają i nie ma ich kto naprawić lub wymienić. Kiedy więc na zewnątrz jest ciepło, jak choćby dziś — 20 października, muszę otwierać okna tak szeroko, by nie zemdleć w domu z przegrzania. Oczywiście ciepło, a właściwie nadmiar ciepła z kaloryferów ucieka bezpowrotnie i nikt nie płaci za to ani złamanego grosza, choć logicznie rzecz biorąc, ktoś powinien jednak płacić. Z kolei kiedy za oknem panuje trzaskający mróz, by nie popaść w stan hibernacji, muszę dogrzewać mieszkanie prądem tudzież gazem, a to dlatego, że mieszkam w tzw. szczycie, w którym przemarzają ściany. Po prostu zaoszczędzono kiedyś na materiałach budowlanych, a właściwie nie tyle na nich, co na myśleniu, ponieważ — jak się okazuje — można budować ściany cieńsze, a mimo to cieplejsze.

Dalej — wspólnie z innymi lokatorami oraz odwiedzającymi nas gośćmi, marnotrawię sporo energii cieplnej w klatce schodowej, w której drzwi wejściowe od dawna nie chcą się zamykać z powodu ich ruiny oraz braku zamka. Interwencje w administracji nie przynoszą skutku — nie ma stolarza, nie ma drewna, nie ma czasu na takie „drobiazgi".

Dalej — woda zimna i ciepła. Nic, absolutnie nic nie zmusza mnie do jej oszczędzania, skoro nie ma wodomierzy i ile bym nie zużył, i tak płacę od metra kwadratowego. Zamiast w wannie, chętnie myłbym się pod prysznicem, bo to i szybciej, i zdrowiej. Oczywiście — w znacznie mniejszej ilości wody. Widziałem w niektórych krajach na własne oczy baterie natryskowe, które samoczynnie po około minucie wyłączają wodę i żeby poleciała znowu — np. aby spłukać namydlone ciało — trzeba nacisnąć ponownie „guzik". Co więcej, nie tylko widziałem, ale i korzystałem z nich z zadowoleniem i podziwem dla prostoty tego rozwiązania. Cóż z tego jednak, skoro ani takich baterii nie ma u nas w sklepach, ani w mojej małej łazience nie bardzo można zainstalować natrysk. Ktoś zadecydował przed laty, że ma być wanna i już.

I tak mógłbym jeszcze długo wymieniać. Tylko po co? Robiłem to już parę razy, robili inni. Nic się nie zmieniło — zamiast decyzji i konkretnych działań wciąż jedynie groźby i biadolenia. A ja mówię: mogę być oszczędny, ale dajcie mi szansę. Może nie być kryzysu energetycznego, ale zacznijcie wreszcie działać!

Słowa te kieruję i do Państwa, i do państwa.

JÓZEF RETMAN

2 Wyprzedzać życie

W poprzednim felietonie pisałem o niemożności wydawania w Polsce całkowicie niezależnego pisma. Boć przecież nawet gdyby znalazła się odpowiednia ekipa ludzi, to koszty wydawania są tak ogromne, że nikogo nie będzie na to stać. Potrzebny jest więc bogaty sponsor, a ten, wiadomo, jeśli daje pieniądze to czegoś w zamian będzie wymagał. A swoją drogą, to bardzo ciekawe (w naszym kraju takich ciekawostek jest ogromnie dużo), że na Zachodzie pismo wydaje się wtedy, gdy przynosi ono zysk. U nas nigdy tak nie było, no, może poza kilkoma wyjątkami, które zresztą potwierdzają regułę. Dlatego też, jeśli przez tyle lat ktoś zawsze do interesu dokładał, to teraz trudno się dziwić, że wielu ludzi nie wyobraża sobie, jak może funkcjonować czasopismo, do którego nikt nie dopłaca.

Gorzej, że w najbliższym czasie wiele pism zostanie zlikwidowanych i około 12 proc. dziennikarzy pozostanie bez pracy. Podejrzewam, że ten wskaźnik po kilku następnych miesiącach może jeszcze wzrosnąć. Gdyby natomiast w poszczególnych gazetach były wyższe honoraria, wielu mogłoby się pokusić o zostanie tak zwanymi „wolnymi strzelcami". Niestety, i w zawodzie dziennikarskim najważniejszą rzeczą jest pensja, tak więc bez owych pieniędzy regularnie otrzymywanych miesiąc w miesiąc przeżyć się nie da. No, ale to już cały ogromny temat i nie mnie łamać nad nim głowę. Sądzę jednak, że jakieś zmiany w wynagradzaniu dziennikarzy powinny jak najszybciej nastąpić. Zmieniłaby się wtedy efektywność pracy i, co się z tym wiąże, poziom artykułów. Przestałoby się może wreszcie pracować na ilość, a zaczęło na jakość. I tu bowiem nie potwierdza się prawo, że ilość przechodzi w jakość.

Wróćmy jednak do sprawy wydawania pisma. Otóż, w jednym z ostatnich numerów „Kultury" Jan Marx przeprowadził wywiad z redaktorem naczelnym florenckiego dwumiesięcznika „Archeologia Viva", Pietro Prunetim. Pan ów opowiadał bardzo interesujące rzeczy, na przykład: „Nakład ustalany jest w zależności od wysokości sprzedaży. Dwudziestoprocentowe zwroty traktuje się jako bardzo dobrą sprzedaż i natychmiast podnosi nakład, wychodząc z założenia, że im więcej egzemplarzy się rozprowadzi, tym więcej się sprzeda." Trzeba tutaj jeszcze powiedzieć, że pismo „Archeologia Viva" wychodzi w nakładzie 35 tysięcy egzemplarzy i: „Przy obecnym nakładzie mamy 40—50 proc. zwroty i ciągle jeszcze dobrze zarabiamy. We Włoszech, nie tylko w naszym koncernie, czasopismo o 30—35 proc. poziomie zwrotów jest znakomicie dochodowe. Dopóki zwroty nie przekraczają 50 proc., dopóty należy systematycznie zwiększać nakład." Wychodzi się w tym wypadku ze słusznego założenia, że czasopismo musi przez cały czas leżeć w kiosku, być po prostu w ciągłej sprzedaży. Tak zresztą powinno być i tak jest na całym świecie. To tylko u nas redaktorzy cieszą się, gdy pismo szybko znika, bo wtedy mają pewność, że nikt im nie będzie truł za zbyt duże zwroty. Niestety, żeby było jeszcze śmieszniej, nawet jeśli cały nakład zniknie, to wcale od razu nie oznacza, że dany tytuł jest dochodowy. Coś więc z tym wszystkim trzeba zrobić. Stare kanony myślowe już tutaj nie pasują. Sęk jednak w tym, że jakoś nie widać nic nowego. A życie niestety będzie zmuszało do szybkich decyzji. W każdym biznesie jest bowiem tak, że jeżeli chce się wyjść na swoje, to trzeba wyprzedzać życie. Chciałoby się więc, by tych, którzy to rozumieją w dziennikarskiej branży było jak najwięcej.

TOMASZ
A. WŁODKOWSKI

3 Lewym okiem

W tym kraju

Nie lubię zwrotu „w tym kraju". Używał go i używa, a może nadużywa Jan Pietrzak, zwrot się upowszechnił, w moich uszach brzmi w nim odcień lekceważenia i pogardy dla własnego przecież kraju. Jeśli nawet nie ma lekceważenia i pogardy, to mimo wszystko jest jakieś zdystansowanie — „w tym kraju" — ja jestem z innego kraju, a w tym patrzcie jakie się głupstwa nieszczęsne dzieją. Nie lubię tego zwrotu, zwłaszcza jeżeli posługuje się nim rodak, chociaż słyszę go czasem także w ustach korespondentów zagranicznych, biorących udział w telewizyjnej imprezie „Bliżej świata". W tym kraju żyją ci ludzie. Ci ludzie to znaczy my, Polacy, są pełni kompleksów, łaszą się do cudzoziemców oczekując na komplementy, przeceniają te komplementy, które rzucać tak łatwo, wierzą nawet czasem w ich prawdziwość. Ale, uwaga, ostrożnie z tą nazbyt pochopną wiarą.

Mówi się na przykład czasem, że Polacy za granicą są niezmiernie cenieni jako robotnicy, pracują świetnie, wyróżniają się inteligencją, pomysłowością i pracowitością. Ale oto Szwajcaria postanowiła ostatnio zwiększyć kwoty imigracyjne, bo zaczęła odczuwać braki na rynku pracy. Po długich dyskusjach przyznano duże kwoty Turcji i państwom arabskim, Jugosławii i innym, wykluczono natomiast całkowicie Polaków. Polacy nie są w Szwajcarii pożądani.

Mówi się, że kochają nas za granicą i podziwiają za nasze, tu w kraju, wyczyny. Ale popatrzcie na jakąkolwiek granicę między państwami europejskimi. Już chyba nie ma takiej, na której nie byłoby osobnego, specjalnego przejścia dla Polaków i przejazdu dla polskich samochodów. To jest po prostu numerus clausus, to jest swoisty apartheid — jedno przejście graniczne dla ludzi, drugie — dla Polaków... Trzeba mieć naprawdę miedziane czoło, żeby mimo wszystko pchać się tam, wysłuchiwać ordynarnych wymysłów, a czasem poszturchiwań jak ostatnio na granicy rumuńskiej i mimo to dalej pchać się, byle by załapać jeszcze parę groszy na pokątnym handelku.

I jeszcze jedna uwaga. Dowiedziałem się z notatki w „Odgłosach", że istnieje zamiar zbudowania w Łodzi pomnika Marii Rodziewiczówny. Jednym z ulubionych typów jej bohaterek była panienka z wiejskiego dworku, niosąca pod strzechy oświatę, ucząca wiejskie dzieci czytać i pisać, leczące wiejskie kobiety, które za to całowały ją po rękach. Myślę, że lepiej byłoby ponieść oświatę, a ściślej oświetlenie na Piotrkowską i na kilka bocznych ulic, zamiast pomnika stawianego autorce „Strasznego Dziadunia". Całowania w rękę za latarnię na Piotrkowskiej nie będzie. Ale, mój Boże, za pomnik Marii Rodziewiczówny, także nie.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Rys. Sławomir Łuczyński

Morderczy urlop

RYSZARD BINKOWSKI

Ruchliwą asfaltową szosą toczyły się w kierunku nielegalnego wysypiska łódzkie śmieciarki. Wielka dziura po wybranym żwirze, do której zrzucano odpady, z każdym dniem stawała się płytsza i bardziej śmierdząca, toteż wiatr roznosił po Nowosolnej wszelkie wonie miejskiej cywilizacji, strzępy papieru i podartej folii, tekturę, puszki po śledziach, płachty ulubionych łódzkich gazet. Pewnego razu przed Urzędem Gminy znalazła się o świcie elegancka wersalka. Komitet gminnej partii pomówił natychmiast naczelnika Bystrońskiego o łapownictwo i byłoby z nim naprawdę kiepsko, gdyby milicja nie dowiodła w porę, że mebel spadł z przepełnionej śmieciarki.

Podmuch wiatru zerwał z brzozy garść zwiędłych liści. Pofrunęły nad ziemią niby rój złotoczerwonych motyli, rozpraszając się z szelestem w powietrzu. Przez chwilę trzepotały lękliwie, uczepione gałęzi świerku, aż wiatr poniósł je dalej i spuścił lotem wirowym na trawę, gdzie dopadła je wszędobylska kulawa suka, polująca na wszystko, co się porusza.

Wspinająca się piaszczystą drogą wjazdową kobieta w okularach przystanęła na chwilę i wytrząsnęła piasek z buta. Miała na sobie spódnicę z teksasu, beżowy golf i brązowy kożuszek bez rękawów. Gdy płowa suka zbliżyła się w podrygach, by liznąć ją przyjaźnie w rękę, odskoczyła z takim popłochem, jak gdyby pijany szaleniec postraszył ją znienacka rewolwerem bez tłumika.

— Zabierz to bydlę! — wrzasnęła wymachując torebką na długim pasku.

— Boisz się własnego psa?

— Brzydzę się nią, rozumiesz!

— Ależ ona wita cię jak swoją panią, ranny ptaszku.

— Nie chcę jej znać! Nienawidzę psów, kotów i tego domu!

— Mnie również — mruknął, po czym dodał głośniej: — Wiem, ale czasem tu wracasz...

— U-uuf! Przepraszam, Witoldzie, jestem zmęczona. Dzwoniłam, że przenocuję u ojca, prawda?

Sel skinął nieznacznie głową, rzucając jej ukradkowe spojrzenie człowieka, który przyłapuje na kłamstwie kogoś bliskiego. Owszem, telefonowała wieczorem, on zaś nie przedstawiwszy się zadzwonił tam po godzinie. Zaskoczony teść odwarknął, że córki u niego nie ma.

Maszerowała teraz przodem z wyrazem zaciętości na twarzy, niby surowa profesorka lustrująca szeregi uczniów na apelu. Była nią. Pracowała jako polonistka w łódzkim liceum i pewne nawyki przenosiła ze szkoły do domu. Wkroczyła z impetem do dużego pokoju, w którym nie zaschła jeszcze farba po wizycie malarzy. Stało tam jedynie nakryte kocem żelazne łóżko i bujający fotel z powycieranym obiciem. Rzuciwszy torebkę na podłogę wsunęła się z westchnieniem w zagłębienie fotela i przez chwilę bujała się z przymkniętymi powiekami.

— Nie wygłupiaj się, Teresa!

— Co-oo?

— Wyglądasz, kochanie, jak ułan walczący ze snem na idącym stępa koniu...

— Och, przestań! — żachnęła się niemile. — Doprawdy, irytujesz mnie, Witoldzie!

— Przepraszam. Obawiam się, że twój zły nastrój pogłębiają spędzane tam noce — powiedział miękkim, a zarazem nieco chropawym głosem.

— Przestań! — wrzasnęła. — Ach, te twoje maniery, te obawy, ta twoja obrzydliwa popia broda... I jeszcze ten dom, który rzekomo dla mnie zbudowałeś...

— Zbudowałem go z myślą o nas i o naszych dzieciach.

— Bóg zapłać! Popatrz na swoje dzieło, człowieku. Jest tak wspaniałe, wielkie i wychuchane jak hotel robotniczy po remoncie.

— Pomieszkaj w nim trochę, to może się coś zmieni.

— Cha-cha! Jeżeli weterynarz utrzymuje się z pensji sprzątaczki, to nigdy nie urządzi takiego domu. Na mojego ojca też nie ma co liczyć, Witoldzie. Gdyby chciał ci pomóc w ukończeniu tej inwestycji, musiałby mieć lewe dochody.

— Niestety, Karol nie jest krezusem. Myśliwskiego domku z modrzewia jeszcze się nie dorobił.

— Tyś za to wyciągnął kredyty, materiały i kawał chłopskiej ziemi. Wygryzą cię stąd, dobrodzieju.

— Dali, to wziąłem. A na Piotrkowską nie wrócę, moja droga. Zostanę tutaj, aby mieszkać w Łodzi. To prawda, że miejscowi radni się zbuntowali, ale tak czy siak Nowosolną przyłączą do Łodzi.

— No pewnie, niech żywi nie tracą nadziei. Wszystko, co się w życiu rozpoczyna — parodiowała — musi bezwzględnie dobiec końca, niezależnie od tego, jak sobie ten finał zaplanujesz. Czekaj więc na przyłączenie do miasta i trwaj na posterunku, dopóki cię nie zwolnią.

— Z jakiej racji, do cholery? Za to, że zbudowałem nową lecznicę?

— Aha! Lecznica stoi pusta, a w Wiączyniu zdychają konie...

— O rany, tylko jeden! To był skręt kiszek. Chciałem uśpić chabetę, lecz rolnik nie pozwolił i przegnał mnie w diabły.

— Sekcja wykazała, że twoja diagnoza była mylna.

— Sfałszowali wyniki.

— Oczywiście, oczywiście! Oni wszystko fałszują, ponieważ Wojewódzki Zakład Weterynarii ma już kogoś na twoje miejsce.

Uśmiechnął się z goryczą.

— Słuchaj, Teresa, nie żądam od ciebie litości ani współczucia. Przykro mi, że gdy wracam późno z terenu, brudny i zmęczony, musisz tu leżeć nocą w chłodzie i słuchać, jak wzdycham za ścianą.

Zdjęła okulary i przeciągnęła się w fotelu rozszerzając bezwstydnie nogi.

— Do dibała z twoim wzdychaniem! — rzuciła prowokacyjnie. — Zanim podejmiesz męską decyzję, stracisz płuca.

Podszedł do niej rozkołysanym krokiem, wyciągnął z paczki papierosa. Nie pozwoliła mu przypalić.

— No więc jak, Witoldzie? — rzuciła przez zęby. — Zawsze się mam dopraszać, aby mnie zachęcano?

Zgniótł w palcach papierosa, świdrując ją złym, pociemniałym wzrokiem. Śmiała się cicho, potrząsając wypiętymi piersiami. Poderwał ją z fotela i cisnął jak snopem żyta na łóżko, po czym zwalił się na nią z taką furią, że sprężyny, stuknęły o podłogę. Usiłowała go ugryźć, ale zęby zaplątały się jej w omotującej twarz bujnej brodzie. Splunęła w bok, przekręciwszy głowę.

— Nie chcę! — pisnęła histerycznie.

Ale nie broniła się zbyt energicznie, gdy zdzierał z niej odzież. Potem zaś, gdy przyjęła go w głąb siebie i gdy ciała ich zaczęły poddawać się zgodnie rytmowi aktu miłosnego, pojękiwała już tylko cicho, podnosząc coraz wyżej nogi.

— Chciałaś tego! — wychrypiał. — Powiedz, że chciałaś!

— O-ooch! — zawyła jak opętana. — O-o, tak, tak!...

Wygięła się w łuk, zakołysała biodrami jak Tahitanka na plaży i naraz wysunęła się spod niego i stoczyła ze spazmatycznym szlochem na podłogę.

Sel dźwignął się na łokciu, aby popatrzeć na nią z łóżka. Leżała na boku, z głową nakrytą wyrzuconym w górę ramieniem. Oddychała niczym poławiacz pereł po wynurzeniu. Miała drobną i delikatną figurę, piersi zaś białe i soczyste, symetryczne jak u młodej dziewczyny. Reszta, łącznie z twarzą, nie była już tak cudowna. Brzuch opływał sadełkiem, skóra była lekko zaczerwieniona, na udach widniały niebieskawe plamki.

Podniósł zrzucone w trakcie szamotaniny okulary i założył jej na nos. Mruknęła coś i usiadła, odwracając się do niego plecami.

— Mam zamknąć oczy?

— Och, nie! W twojej paskudnej wyobraźni wyglądałabym jeszcze gorzej.

Ubierała się bez pośpiechu, a jej ruchy przypominały zachowanie sportsmenki po zakończonym zwycięsko biegu przez płotki. Były dokładne i oszczędne, jakby przed chwilą nie zaznała rozkoszy ani wzruszenia.

— Zadowolona? — spytał z głupia, podając jej zapalonego papierosa.

Zaciągnęła się chciwie, zadzierając brodę.

— Czułabym się szczęśliwsza, gdybyśmy robili to gdzie indziej.

— Wiem. Chciałabyś po prostu żyć w innym świecie — stwierdził cierpko. — W takim, jakiego ja nie mogę i nie potrafię ci stworzyć.

Teresa potarła kciukiem podbródek. W kąciku jej ust zaigrał metaliczny uśmieszek.

— Myślę, że mógłbyś zrobić coś w tej sprawie, ale nie chcesz. Wolisz cierpieć na posterunku albo zapijać się nieszczęśliwie, bo w takim stanie łatwiej sobie wszystko wybaczyć — stwierdziła z iście profesorskim majestatem. — Może się mylę, ale wydaje mi się, że o tym, iż jesteś, jaki jesteś, mogło zadecydować coś, czego ty nie znasz. W dzieciństwie, mój drogi, nawał doznań i informacji jest tak przytłaczający, a sił umysłu i doświadczenia tak mało, że niewiele wówczas dociera do świadomości. A jeśli ciebie skrzywdzono kiedyś, Witoldzie, lub oszukano? Przecież ty nic o sobie nie wiesz! Gdybyś znał przeszłość, mógłbyś przynajmniej szukać zadośćuczynienia. A może twój ojciec był kimś znaczącym, zasługującym na szacunek i uznanie? Nie twierdzę, że mógłbyś czerpać z tego profity, ale z pewnością czułbyś się o wiele lepiej na tym świecie.

Sel drgnął i jakby zesztywniał. Po chwili jednak mięśnie jego rozprężyły się i zdobył się nawet na martwy uśmiech, który zdołał jakoś przylepić do twarzy.

— No, no... A nie pomyślałaś, że za mną mogło zostać coś, czego nie warto odgrzebywać?

— Nie wiem... Sądzę jednak, że żyjąc z tą myślą, będziesz zamykał się w sobie, staniesz się nieufny i zgorzkniały. Przykro mi, ale niekiedy sprawiasz wrażenie wyjałowionego z głębszych uczuć...

— To prawda, jestem taki. I nie potrafię tego zmienić. Szukałem śladów i do niczego nie doszedłem. Wybacz, ale nie mogę tworzyć mitu bohaterów wokół ludzi, których nie znam.

— Uśmiechnij się więc, Witoldzie! Nie powinieneś bać się przeszłości...

Zacisnął zęby. Podświadomie wyczuwał, że kobieta o długich jasnych włosach i wąsaty mężczyzna mogli być jego rodzicami. Ale on nie chciał ich szukać ani pamiętać ich twarzy. I nie zamierzał z nikim rozmawiać na ten temat, nawet z żoną.

W górze snuły się jeszcze blade refleksy światła rzucanego przez stojące za Łodzią słońce, ale na ziemi już zmierzchało i drzewa kąpały się w zalewie gęstniejących cieni. Zbłąkany wiatr wciskał się między gałęzie, tarmosząc je z zawadiackim poświstem, i drzewa odpowiadały szmerem opadających liści.

Witold Sel odwrócił wzrok od szyby. Uśmiechnął się i poklepał delikatnie po grzbiecie sukę, która trąciła go w kolano wilgotnym czarnym nosem. Była płowa jak lwica, jednakże budową ciała przypominała wyżła skrzyżowanego z jamnikiem. Miała łagodne sarnie ślepia, długie klapiaste uszy, przycięty ogon i krótkie mocne łapy, wygięte jak nogi kawalerzysty na koniu. Dwa lata temu przywiózł ją konającą z Bałut i dzięki troskliwym zabiegom przywrócił do życia. Uczynił to wbrew woli żony, która nie cierpiała psów w domu.

— Wiem, o czym myślisz, stara — przemówił szeptem. — Tak, niektórzy z nas są gorsi od psów. Ludzie moja droga, zachowują się nieraz tak dziwnie, że nie potrafi ich zrozumieć bliźni ani zwierzę. Bywa, że pozbywają się nie tylko zwierząt, ale i ludzi... Kiedy ten pijak rzucił cię z drugiego piętra na bruk, było z tobą naprawdę źle, starucho. Ta-ak, chcieli cię uśpić... No, ale dzięki mnie żyjesz. A potem ktoś wpadł na myśl, że po tej całej reanimacji [illegible] się nazwać Erką...

Suka zastrzygła klapiastym uchem na znak, że zrozumiała. Przypominała wielkiego płowego psa, jaki jawił mu się w sennych widziadłach z dzieciństwa. Można by nawet uznać, że stanowiła spełnienie dziecięcych marzeń, tylko że czas wszystko zmienił... Niespełna czteroletni chłopiec stał się blisko pięćdziesięcioletnim mężczyzną i nie musiał już czekać samotnie w domu na wymarzonego psa ani na kobietę, która zabierze go znad stawu, ani na wąsatego mężczyznę, który przywiezie zabawki lub zrobi spadochronik z kawałka wsypy. Ale teraz, gdy Sel wracał późno z objazdów po wsiach, oprócz kulawej suki nikt na niego nie czekał. Nie mieli dzieci, Teresa nie lubiła wsi i coraz częściej zostawała na noc u ojca. Miła, wrażliwa kobieta, która pisała kiedyś wiersze do szuflady i z tej miłości do poezji nawet nie zauważyła, że traci matkę, chociaż ta nie była chora i na pogrzeb się nie zanosiło...

Zdawał sobie sprawę, że Teresa męczy się z nim, robiąc dobrą minę do złej gry, ale jak dotąd nie wnikała w jego przeszłość. Wkrótce po ślubie przekonał się, że ona jednak najbardziej kocha siebie. Owszem, kiedy wprowadził ją w tajniki seksu i uświadomił, że romantyczna miłość to wymysł pomylonych poetów, lubiła poigrać w łóżku, ale wtedy szukała jedynie przyjemności dla siebie. Jej zachowanie wskazywało, iż nie cierpi mężczyzn, tak samo jak psów i kotów. Był pewny, że jest zdecydowaną monogamistką, ostatnio jednak zmuszony był zmienić zdanie...

Wszedł do łazienki, w której brakowało jeszcze płytek i elektrycznego bojlera. Tuż za długą, głęboką wanną wznosiła się ścianka działowa z oszklonymi drzwiami prowadzącymi do podręcznego magazynku z lekami i narzędziami. Znajdowały się tam naczynia z formaliną, solami, flaszki z katgutem w spirytusie, strzykawki, sondy, kleszcze porodowe, zaciski tętnicze, skalpele i inne niezbędniki weterynaryjne.

Sel odkręcił kurek i spryskał twarz zimną wodą. Prychnąwszy spojrzał w wąskie lustro nad umywalką. Potrząsnął głową w taki sposób, jakby go ktoś połaskotał słomką w ucho. Nie prezentował się jak Marlon Brando z „Młodych lwów". Był szczupły, ale dość szeroki w ramionach, o drobnych dłoniach i stopach, które nie harmonizowały ze wzrostem sięgającym stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów. Ze śniadej twarzy patrzyły w lustro niebieskie oczy, nad którymi zwisał pukiel jasnych, lekko falujących włosów zaczesanych niedbale na bok. Długa i gęsta, przetkana siwizną broda nadawała mu wyglądu artysty malarza, chociaż co bardziej egzaltowane chłopaki widziały w nim Kwiczoła z serialu o Janosiku.

— Artysta? — warknął szczerząc zęby. — Teresa powiedziałaby, że to niechlujny pop z czasów wojny domowej w Rosji.

Dokonawszy ablucji oraz krytycznej oceny własnej twarzy wyszedł na podwórze. W dole, mniej więcej sto metrów od bramy, gęstniały błękitnawe obłoczki spalin. Drogą łączącą Łódź z Nowosolną pędziły z szumem samochody.

Uśmiechnął się z zadowoleniem. Tutaj, na szczycie zadrzewionego pagórka, czuł się wolny od rozkoszy obcowania z ekspansją motoryzacji. Całe to dymiące i warczące piekło ulokowało się w centrum Nowosolnej. Wieś powstała prawie dwieście lat temu w ramach osadnictwa olenderskiego, zachowała do dziś kształt gwiazdy ośmioramiennej i teraz w miejscu przecięcia tych ramion kotłuje się jak na newralgicznych skrzyżowaniach w głębi miasta.

Bardziej na wschód, gdzie nie wolno się budować, pobiegnie wielka autostrada z pasami strefy ochronnej, lecz dla Sela nie stanowi to zagrożenia, a co więcej, gdy Nowosolną włączą do Łodzi, to i tak pozostanie ona wsią, bo miasta nie będzie stać na założenie kanalizacji, gazu, wodociągów ani na modernizację ulic i szybki rozwój wysokiego budownictwa. A na te cholerne śmieci też wkrótce zabraknie miejsca.

Zarzucano mu, że zbyt gorliwie forsuje budowę lecznicy, a on przecież działał zgodnie z życzeniem władz gminy i przygotowywał sobie warsztat pracy. Chcieli związać służbę rolną z terenem, oferując za bezcen działki, więc wziął bez wahania kawał ziemi i postawił dom. Sto dwadzieścia metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej, nie licząc wysokich suteren, które po adaptacji można wynajmować wczasowiczom. Chętni się znajdą, bo wzgórza pomiędzy Zgierzem a Brzezinami sięgają trzystu metrów nad poziom morza, można więc zimą jeździć na nartach, latem zaś wyprawiać się do lasu, choćby do rezerwatu bukowo-jodłowego w Wiączyniu. Poza tym miejscowi długo jeszcze będą uprawiać ziemię i hodować zwierzęta, toteż weterynarz nie powinien narzekać na brak zajęć.

Witold popatrzył z troską na mury swego domu. Wszystko to — szerokie okna, ganek wsparty na okrągłych kolumienkach, wielki blaszany dach o dwóch nierównych modnych spadach — wygląda solidnie, nawet okazale, lecz wewnątrz, jak mówią budowlani, stan niemal surowy. A ceny tak podskoczyły, że na komfortowe wykończenie potrzeba teraz około pięciu milionów.

Pal licho pieniądze, będzie sobie musiał jakoś z tym poradzić. Zresztą, w odwodzie jest zawsze Karol Flis. Dobrał się z teściem, jak w korcu maku, lepiej niż z jego córką. Karol potrafił tak serdecznie umilać życie żonie, że ta uciekła na wieś, on zaś wystąpił o rozwód. Teresa nie rozpaczała z tego powodu, była wtedy jeszcze smarkata i pochłonięta poetyckimi mrzonkami. No cóż, teść ma parę miłych wad, dzięki czemu można wyciągnąć od niego trochę forsy. Lubi się zabawić, i to nie tylko w męskim towarzystwie, a przed ponad dwoma laty stał się taki robotny, że prawie nie widuje się go w domu. Teresa myśli, że stary tłucze dyrektorskie nadgodziny, aby wystukać sobie ciepłą emeryturę.

Sel pokiwał głową i zawrócił do domu. Pomyślał, że dopóki nie ma wezwań do chorych zwierząt, można strzelić kielicha i przespać się z godzinę, tym bardziej, że minionej nocy prawie nie zmrużył oka.

C.D.N.

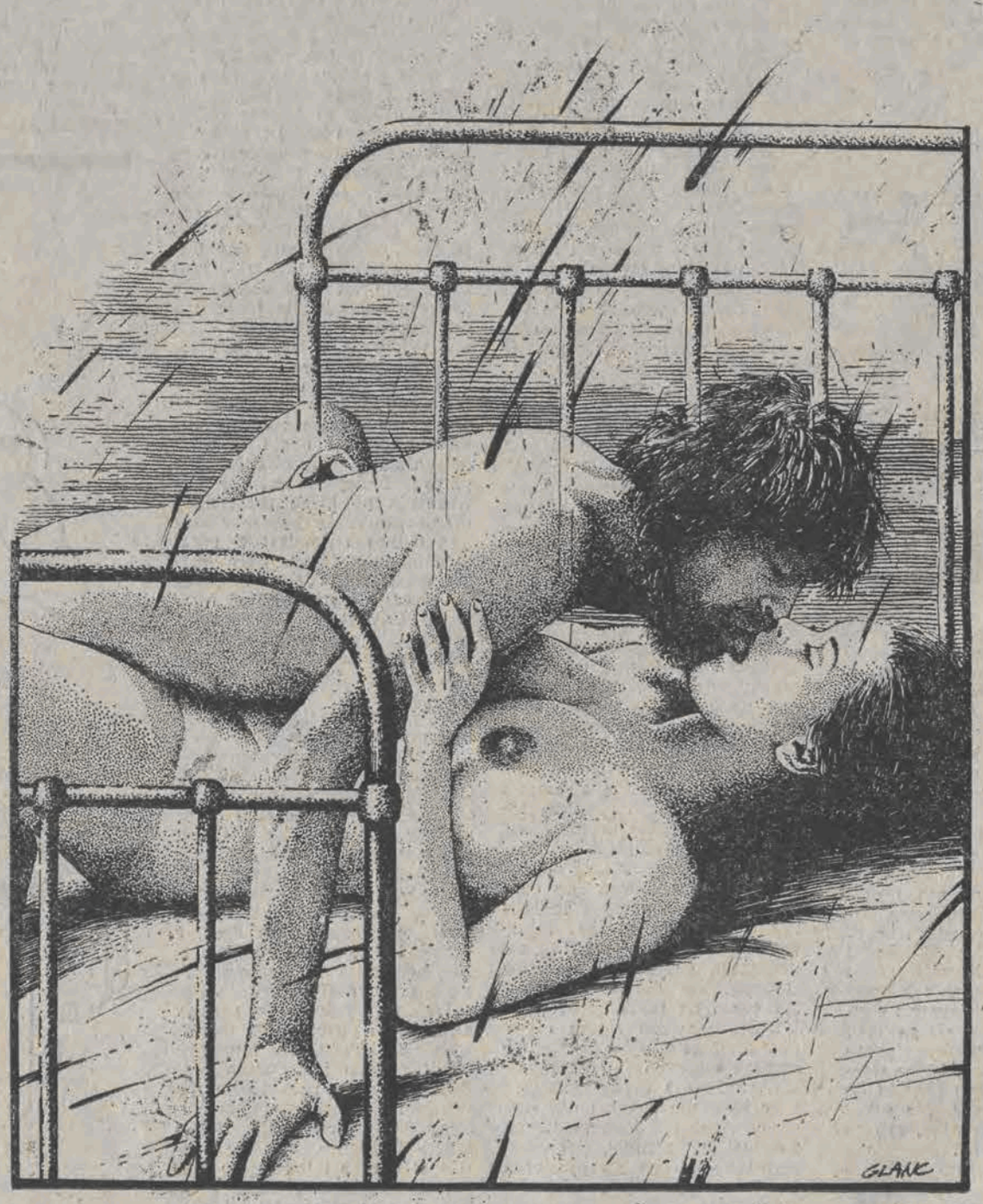

Rys. Janusz Szymański-Glanc